

Sygmund

Kaczkowski



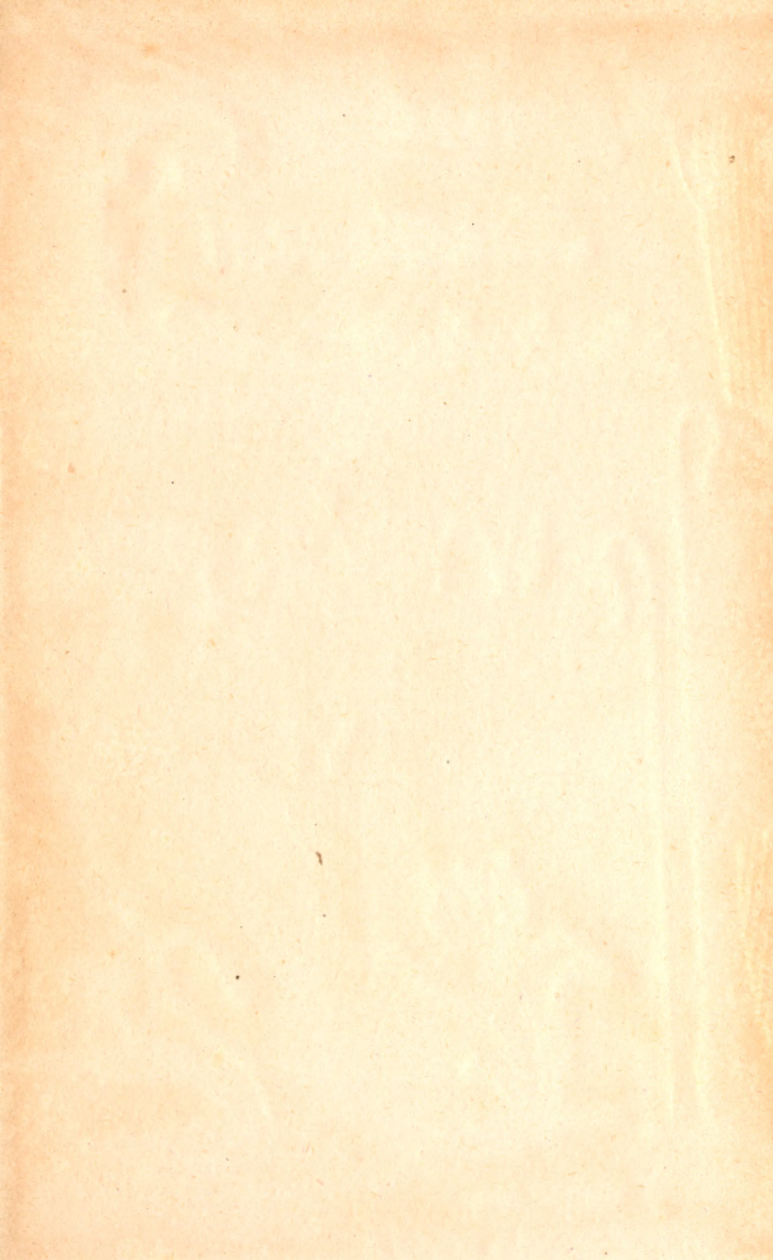
WYBÓR PISM

VI



WARSZAWA

GEORGE W. WILSON



Stebanowski - 287

WYBÓR PISM ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

TOM VI

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WYBÓR PISM

Z PRZEDMOWĄ IGN. CHRZANOWSKIEGO

TOM VI

STAROSTA HOŁOBUCKI

Z PORTRETEM AUTORA



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900



68566

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Июля 1898 года.

ROZDZIAŁ VIII.

Od tego czasu minęło dni kilka; Jacek się ciągle wybierał do starosty Jaorlickiego i nigdy nie mógł się wybrać. Było w nim wtedy jakieś dwoiste uczucie; jedno, które go gwałtownie ciągnęło do panny Petryny i ciągle go niepokoiło; a drugie, które go odpychało i czegoś straszło. Tak się wając na tę i na ową stronę, nie mógł się sam na żadną przeważyć, ale... jak to zwykle się zdarza w takich wypadkach... przeważyli go inni.

Owóż tedy zaraz następnej niedzieli, kiedy wychodził z kościoła, pochwycił go w lot jmé pan pułkownik cudzoziemskiego autoramentu, który niewiadomo czyli jakim przyjaciołom głowy gdzie zmiatał, ale wiadomo było, że przyjaciołom nielitościwie zmiatał półmiski. Ten pan pułkownik zawiązał zaraz z Jackiem konwersacyą i napłótszy mu komplementów bez liczby, spytał go między innemi:

— A czemu to pan starosta nie pokażesz się nigdy u państwa Jaorlickich? Tacy poczciwi ludzie! takie śliczne mają salony! takie ładne tam towarzystwo!

Jacek wiedział o tem, że pułkownik nie mówi nigdy o swoich przyjaciołach nic oprócz tego, co oni sami mówić mu każą; a ponieważ wiedział, że pułkownik jest domownikiem starosty, więc mu to w głowie utkwilo, i ubierając się w domu na jakiś obiad proszony, myślał nad tem. Atoli nim jeszcze cokolwiek wymyślił, wpadł do niego kasztelanie Konarski-łęczycki.

Kasztelanie był to oddawna dobry Jacka znajomy a nawet przyjaciel, który także niedawno do Warszawy przyjechał i zaczął się starać o kasztelanę warszawską (z którą się nawet jeszcze w tym samym roku ożenił), teraz zaś mieszkając w mieście, często widywał się z Jackiem i dawał mu dowody zawsze wiernie dotrzymywanej przyjaźni.

Rozmowa obudwóch przyjaciół nie zawierała w sobie nic szczególnego, ale kiedy kasztelanie już wziął za kapełusz, ażeby razem z Jackiem zejść do czekającego na nich powozu, zatrzymał się jeszcze i rzekł:

— Ale *à propos!* czy nie myślisz być u starosty Jaorlickiego?

— Albo dlaczego mnie o to pytasz? — spytał Jacek z zadziwieniem.

— Mam do tego bardzo wiele powodów — odpowiedział kasztelan z uśmiechem — bo najpierwej mógłbyś tak dla samej etykiety pokazać się w tym domu, gdzie bardzo pochlebnie i bardzo często wspominają o tobie. Powtóre, że panna Petryna sama bardzo wiele mówiła o tobie, i zdaje mi się, że coś mi pan Jacek...

Resztę pokrył kasztelanie uśmiechem, a natomiast z niewyczerpanemi pochwałami się rozniósł nad panną Petryną.

— A nakoniec — dodał on jeszcze — przyznam ci się, że i ja bym był z tego kontent, gdybyś tam bywał choć czasem, bo jak wiesz, staram się o pannę kasztelanę warszawską, kasztelanka jest w nierozzerwanej przyjaźni z panną Petryną, ty, jak uważam, mógłbyś mnie poprzeć u panny Petryny, panna Petryna u kasztelenki... i tak dalej; krótko mówiąc, kto wie, jakabyś mi grzeszność wyrządził, bo przyznam ci się, że jakoś bardzo jestem swego niepewny.

Dosyć, że jak z początku wcale nie ciekawą była konwersacya kasztelanica, tak na końcu dowiedział się z niej Jacek tyle rzeczy ciekawych, że gdyby nie dzisiejszy obiad proszony, byłby zasiadł z nim na jakich parę godzin u siebie.

Wszakże pojechawszy na obiad i zabawiwszy tam do

wieczora, prosto stamtąd kazał się zawieść do pana starosty Jaorlickiego.

* * *

Starostwo Jaorliccy przyjmowali w swoich salonach po dwa i trzy razy na tydzień; byliby przyjmowali i po dwa razy codziennie, gdyby tylko byli mogli dość takich gości nabierać, jakichby byli mieć chcieli. A jakoś im się to zawsze jeszcze nie udawało, a w ich salonie bywała zwykle taka mieszanina nieskładna, że ani ją spiąć było ze sobą, ani złątać. Napróżno starosta zapraszał do siebie wszystkie znakomitości, napróżno staroscina obsypywała grzecznościami każdego przyzwoitszego gościa, napróżno nakoniec panna Petryna wysilała cały swój dowcip na to, ażeby pomiędzy przybywającymi gośćmi jakąś zaprowadzić harmonią, ażeby jakąś zajmującą konwersacyą rozniecić, obudzić życie, wesołość i prawdziwą zabawę; nic to wszystko nie pomagało: salon państwa Jaorlickich nie mógł się dobić nawet nazwiska salonu, a ile w nim było panny Petryny, tyle było świecy i wosku.

Starosta się na to dąsał okrutnie, o towarzystwie warszawskiem coraz gorzej wspominał, a chodząc po swoich wyświeżonych apartamentach, nie mógł się dosyć nadziwić, jak ci ludzie dla samego przepychu tychże apartamentów mogą nie bywać u niego! Ale starosta, jak nie miał pojęcia o tem, co sprowadza i utrzymuje gości w salonie, tak też nie miał pojęcia o dobrym smaku urządzania apartamentów, czego najlepszym dowodem był jego własny salon. Pierwszy z nich bowiem był marmurowy na biało, czarne safianowe miał meble, czarne z oliwnemi lampami kolumny, czarne nawet kapitele u kolumn marmurowych salonu. Na środku stał stół podłużny do lierbaty, ale pan Węgierski powiadał, że tam powinna stać trumna; i pan Węgierski miał słuszość, bo salon ten wyglądał istotnie jak grobowa kaplica. Drugi salon, równie ogromny jak pierwszy, był bez kwestyi błyszczący i świetny, ale wyglądał on tylko jak guzik mosiężny, wypole-

rowany na glanc całą siłą. Bo lubo ściany jego były obite ładnym amarantowym adamaszkiem ze złotem, jednak wszystkie sprzęty do amarantu były obciążnięte żółtym jedwabiem, co przy błyszczących szkiełkach u stropu wiszącego lustra i kilku szklanych z kurantami zegarach, dawało widok jakiś bardzo turecki i nieprzyjemny. To też pan Węgierski powiadał że kiedy się w tym salonie znajduje, to zdaje mu się, że stoi w obec rozwiniętych sztandarów tureckich, które postępują przy dźwiękach janczarskiej muzyki.

Starostwo dzisiaj z gośćmi siedzieli w grobowej kaplicy. Już było po herbacie, więc starościna siedziała w prawym rogu salonu z kilką matronami w rozmowie, panna Petryna w lewym rogu przy stoliku, otoczonym pannami i młodzieżą, kładła im z kart malowanych kabałę, a starosta chodził jakiś kwaśny po środku salonu.

— Pan starosta hołobucki — zameldował służący.

— A! — zawołał starosta — Jagusiu! pan Jahołkowski, czy przyjmujesz?

Starosta w tak ważnych rzeczach zawsze się odwoływał do żony.

— Ale oczywiście — odpowiedziała starościna — prosić.

W tym momencie wszedł Jacek.

— Pan starosta jesteś tak łaskaw... — rzekł do niego gospodarz, podając mu obydwie od razu ręce.

— Mości dobrodzieju — odpowiedział gość nowoprzybyły — miałem sobie to zawsze za obowiązek i bardzo jestem szczęśliwy, że znalazłem chwilę sposobną po temu, ażeby go dopełnić. Ale gdzież pani starościna? Waćpan dobrodziej bądź łaskaw zaprowadzić mnie do niej, ażebym mógł jej wyznać moje uszanowanie.

To mówiąc, szli obadwa razem ku starościnie, która już wstała i podeszła ku nim o parę kroków, zaczynając już zdaleka jakiś oklepny komplement, na który zaraz równym komplementem odpłacił się Jacek i powróciwszy z nią ku jej czarnej kanapie, czarnemi otoczonej krzesłami, był zaraz przez nią prezentowany zgromadzonemu tam towarzystwu w tych słowach:

— Pan Jahółkowski... którego państwo zapewne już znacie z imienia...

Ukłony, spojrzenia, komplimenta i konwersacya... o straszonym mrozie, który był wczoraj, trwał przez wczoraj, trwał przez dzisiaj i jeszcze bierze na jutro.

— *A propos* mrozu — odezwał się nareszcie gospodarz, który w żaden sposób nie chciał pozwolić na to, ażeby przedmiot tak zajmujący był opuszczonym tak prędko — opowiem państwu, co to za figła nam mróz wypłatał, kiedyśmy się bili pod panem Puławskim...

Na te słowa Jacka już z góry mróz przeszedł od stóp do głowy, jakoż wysunął się zręcznie z koła i przeszedł w kąt przeciwległy salonu, gdzie Petrynka ciekawym pannom i paniczom ciągnęła kabałę. Tam na jego szczęście już takiego mrozu nie było; jakoż zaraz po pierwszych ukłonach zawołał po niego kasztelanie Konarski - łączycki, który siedział przy kasztelance warszawskiej.

— W najlepszą porę przychodzisz, kochany Jacku, panna Petryna takie wyborne rzeczy nam przepowiada, że nie możemy wyjść z zadziwienia, jak druga Pythya, jak druga Sybilla!

— Panie kasztelanicu, niechże pan słucha! -- zawołała na to Petryna z zręcznie udanym kaprysem — bo jak mi pan przerwiesz natchnienie...

— Ach! przepraszam panią! słucham z największą uwagą...

— Więc powtarzam panu raz jeszcze — szczebiotała dalej Petrynka — że w zamysłach swoich doznasz pan jeszcze niejednej przeszkody. Zdaje się nawet, że się robi jakaś historia, awantura, czy coś podobnego, w którą pan będziesz także wmieszany, wtenczas będzie panu grozić niebezpieczeństwo z dwóch stron jednocześnie, ale pan potrafiśz i z jednej i z drugiej strony się zabezpieczyć i zostawiwszy obydwie strony w błocie...

— Ah! — zawołał kasztelanie.

— Sam przepłyniesz szczęśliwie przez środek — dokończyła Petrynka, zbierając prędko karty.

— Ach! cóż też mi pani wróżysz! — rzekł kasztelanie.

— Tak stoi w kartach — odpowiedziała naiwnie Petrynka — cóżem ja temu winna? Czy pan także chcesz wiedzieć swoją przeszłość? — spytała Petryna, podnosząc swoje modre oczy do Jacka.

Teraźniejszość i przyszłość, jeżeli pani łaskawa — odpowiedział Jacek — przeszłość, jeżeli się nie mylę, po winnaby mi być dostatecznie znajomą.

— A! tak nie mogę — odpowiedziała Petryna — bo tylko z przeszłości daje się wyczytywać przyszłość w tych kartach.

— Więc jak pani rozkaże.

— Któż mi zbierze? — zapytała Petrynka, podając karty na nowo zmieszane. A kiedy nikt do zbierania nie śpieszył, dodała: — Ten niechaj zbierze, który sądzi mieć najtrwalszy i najdespotyczniejszy charakter.

Na to Jacek prędko wyciągnął rękę ku kartom, ale Petrynka jeszcze prędzej i sama zebrawszy pod jego ręką, rzekła do niego z uśmiechem:

— Otóż ja!

Tym razem się pani udało — rzekł na to Jacek — ale drugi raz już się pani nie uda.

— Zawsze się uda — odpowiedziała Petrynka.

— Obaczmy.

Obaczmy — powtórzyła raz jeszcze i wpatrzywszy się pilnie w rozłożone już karty, mocno się zamyśliła.

Wszyscy milczeli, oczekując ciekawie głosu Sybilli, ona zaś tak mówić zaczęła:

— Nie będę panu powtarzać rzeczy takich, które wie świat cały... Ojciec umarł niedawno, zostawił panu bardzo piękną fortunę, spadły na pana skąd inąd wielkie łaski i zaszczyty, masz pan wielu znajomych, przyjaciół i znajdujesz się w takim miejscu, gdzie się bawisz wybornie. Pomimo to jednak jesteś pan dziwnie smutny na świecie i w gruncie rzeczy nie masz wcale przyjaciół.

— Jakto? ani jednego? — spytał Jacek z uśmiechem.

— Jednego tylko ale i ten nie jest szczerym zupełnie, a nawet pod pewnym względem pana oszukuje, o czym kiedy się pan przekonasz, niezmiernie się zdziwisz, zale

dwie będziesz mógł temu uwierzyć, ale przecie uwierzysz i nawet wtedy zdecydujesz się pan na krok taki, o jakim nigdy nie myślałeś w swem życiu. Widzę pana w mundurze natenczas, ale to tylko jakby przez mgłę, z czego wnoszę, że albo będziesz żołnierzem tylko czas jakiś krótki, albo będzie to tylko mundur dla parady.

— Pani mi powiadasz bardzo ciekawe rzeczy — rzekł Jacek.

— Ale wracając do tej samotności pańskiej — mówiła dalej Petryna — muszę panu powiedzieć że pan sam o niej nie wiesz. Pan jesteś tego mniemania, że masz przyjaciół aż nadto, ale pan się w tem mylisz, bo bierzesz wszystkich tych za przyjaciół, którzy się panem tylko zajmują. Zajmuje się zaś panem najwięcej jakiś dom staroświecki, który podobno jest na wsi, a w którym widzę jakiegoś strasznie zagniewanego mężczyznę i bardzo osmuconą, płaczącą nawet panienkę, która oczywiście płacze za panem. Czy prawda to, panie starosto? — zapytała Petryna, opierając się obudwoma łokciami na stole i patrząc mocno w oczy Jackowi.

— Czy zostawiłeś pan na wsi jakąś osmuconą pasterkę? — spytała jeszcze Petrynka.

To pytanie niebardzo było przyjemne Jackowi i nawet go cokolwiek zmieszało, był jednak panem siebie o tyle, że odpowiedział z uśmiechem:

— Jak panią szanuję, ja o tem nic nie wiem... chybaby...

— Chybaby co? — zapytała Petrynka.

— Chybaby... się komu co uroiło bez żadnego z mojej strony powodu.

— To jest wprawdzie możebne — odpowiedziała Petrynka — ale tak rzadko się trafia, że jest prawie niepodobne.

— W tym razie musi być podobnem.

— I to pewnie, panie starosto? — zapytała jeszcze śmiejąc Petryna.

— Cóż pewniejszego, jak słowo?

— A! jak tylko słowo, to już niema co mówić — od-

powiedziała Petryna i zaczęła znowu patrzeć z uwagą w swe karty.

— Jeszcze panu coś powiem — mówiła wieszczka — i nawet coś bardzo ciekawego dla pana. Niedawno temu i to nawet gdzieś bardzo blisko... zapewne tutaj w Warszawie... poznałeś pan młodą i ładną kobietę, która na pana zrobiła pewne wrażenie... Ona panu chce się podobać i przedsięwzię wszystko z swej strony, ażeby dopiąć swego celu... Początek zrobiła dosyć szczęśliwy i tem zachęcona pójdzie zapewne jeszcze dalej na tej samej drodze... Koło niej stoi jakaś poważna matrona, która zdaje się także myśleć o panu dla niej i ta matrona ma może szczerę chęci dla pana... ale ona sama! to są rzeczy szczególne!... ona sama ma pełno tajemnic około siebie, które, gdyby się kiedy wykryły, rzuciłyby najszkaradniejsze światło na nią... dlatego mówię panu, strzeż się pan, bo z tej strony grozi panu wielkie niebezpieczeństwo.

— Pozwól mi pani — zapytał Jacek ciekawie — czy ta dama jest blondynka, czy brunetka?

— Brunetka.

— Panna, mężatka, wdowa?

— To nie stoi tu dosyć jasno w kartach — odpowiedziała Petrynka, prędko zbierając karty i dodała, patrząc przenikliwym wzrokiem w twarz Jacka — ale zdaje mi się że wdowa.

— O! jeżeli to ta, której ja się domyślam — zawołał na to Jacek domyślając się podkomorzyny kaliskiej — to pani ręczę, że karty panią omyliły. To jest kobieta pół święta, która nie ma żadnych tajemnic i która się nie obawia, choćby samego słońca nawet.

— Teraz już panu nic nie powiem — rzekła na to Petrynka — bo o takich rzeczach tylko z kart mówię, ale tak stało w kartach... Grozi panu niebezpieczeństwo.

— I niebezpieczeństwo nawet żadne grozić mi nie może — powiedział Jacek — bo przyznam się pani, że nawet całkiem o tej damie nie myślę. Ładna jest, bardzo przyjemna, prześlicznie mówi, ale...

— Ale cóż? niech pan dokończy.

— Ale dla mnie jest zackliwą cokolwiek... Przy takiej żonie jabym się na śmierć zanudził...

Kiedy to mówił Jacek inne osoby poodsuwały się po-mału od stolika i pozabierały miejsca opodał, ale Petrynka została na swojej kanapie, z czego korzystał Jacek i przy-siadł się do niej. Patrynka zdawała się być zamyśloną co-kolwiek; *elle était rêveuse*, powiedziałby był pan Węgier-ski, czemu jednak on dawał wcale inne znaczenie. Co wi-dząc, Jacek rzekł do niej:

— Czy pani jeszcze myślisz o tej damie tak tajemni-czej i niebezpiecznej?

— Ja? — zapytała Petryna, budząc się z swego ma-rzenia — och nie! jaknajzupełniej nie! wszakżeż ja nawet nie znam tej damy! a potem... i cóż mi? tyle dam, tyle mężczyzn jest na tym świecie!

— To nie ulega wątpieniu — rzekł na to Jacek z uśmiechem — ale ja, widząc panią tak zamyśloną i chcąc przyczynę tego zamyślenia odgadnąć...

— O! proszę pana! tylko mnie pan nie chciej odga-dnać, bo to się panu nigdy nie uda.

— Nigdy? — zapytał Jacek znacząco.

— Nigdy — odpowiedziała z dziecięcą naiwnością Pe-trynka — bo ja sobie jestem takie dziwaczne stworzenie, że go niepodobna zrozumieć, a zresztą może nawet i nie-warto...

— Ach! jak też pani się cenisz — rzekł na to Ja-cek — gdybym nie wiedział, że pani nawet prawdę bie-rzesz za komplementa, a komplementami pogardzasz, tobym pani teraz bardzo wiele rzeczy powiedział.

— Dziękuję panu, naprzód ich się domyślałam... byłyby to rzeczy istotnie bardzo pochlebne dla mnie, ale może niecałkiem prawdziwe, a przynajmniej wcale niepokiesza-jące dla mnie w tej chwili.

— Czy pani potrzebujesz pociechy?

— O! pociechy nie, wcale, bo czyż mogłyby tam sło-wa pocieszyć, gdzieby były istotne powody do smutku?

— Smutku rzeczywistego zniszczyć żadne słowa nie

mogą, ale przynieść pociechę i ulgę, zawsze, zda mi się, że mogą.

— Istotnie, pan masz słuszość zupełną — rzekła na to Petryna, budząc się znowu z jakiegoś zamyślenia — i w tym momencie jeżeli czyje słowa mogłyby mnie zaspokoić, to słowa pana.

Usłyszawszy to Jacek, aż się cofnął z zadziwienia; nie mógł wierzyć swym własnym uszom i nawet w pierwszym momencie nie wiedział co ma odpowiedzieć, ale to wszystko doskonale uważała Petrynka, roześmiała się na to i rzekła:

— Niewłaściwiem się wyraziła... nie wiedziałam że pan tak uważasz na każde słówko... odtąd w obecności pańskiej będę się wyrażać z precyzją, tak na przykład jak się piszą kodeksy, ustawy prawne i konstytucye.

— Czy pani i na tych rzeczach także się rozumiesz? — zapytał Jacek ze zdziwieniem.

— Tak... cokolwiek... dla ciekawości. Ale wracajmy do rzeczy. Nieporozumienie trzeba wyjaśnić. Lecz mówmy seryo. Tedy panu powiem najpierwej, że istotnie chciała-bym pana o coś zapytać.

— Co tylko pani rozkażesz, na wszystko jaknajdokładniej odpowiem — rzekł Jacek, słuchając coraz więcej ciekawie.

— Ale pan mi dasz słowo, że odpowiesz najszczerzą prawdę bez żadnego względu.

— Bez najmniejszego.

— I damy sobie słowo na to, że to, o czem teraz będziemy mówić, pozostanie pomiędzy nami tajemnicą na wieki.

— Na wieki.

— Pan jesteś istotnie bardzo grzecznym... Pan mi wielką wyrządzisz przysługę.

— Jeżeli się to stanie, będę najszczęśliwszym z ludzi — rzekł na to Jacek z niecierpliwością — ale nie mogę pani nie wyrazić mojego zdziwienia...

— Że pana znam tak mało... — poderwała prędko Petryna; Jacek przyznał a ona dodała: — Niech się pan

temu nie dziwi, *il y a des personnes qu'on connaît tres-bien sans les connaître personnellement, et d'ailleurs...*

— *Et d'ailleurs?*

— Wie pan, przy moich stu innych wadach, mam jeszcze czasem szczególniejsze zarożumienie. Oto zdaje mi się, że tak się umiem poznawać na ludziach, że dosyć mi spojrzeć w oczy z uwagą, ażeby poznać, jaka dusza się pod niemi ukrywa. Ale to nie należy do rzeczy. Przystępuję do pytań. Pan znasz dokładnie pana kasztelanica Konarskiego-łęczyckiego.

— Najdokładniej.

— Powiedz mi pan, co to za człowiek?

— Powiem pani najchętniej, ale pierwej muszę się spytać, do jakiego użytku pani ta wiadomość potrzebna, bo inaczej musiałbym go opisywać przez cały wieczór. A ponieważ daliśmy sobie słowo, że co będziemy mówić ze sobą, zostanie tajemnicą...

— Ale powiem panu bez kwestyi. Oto pan kasztelanica stara się, jak pan wiesz pewnie, o kasztelanek warszawską, a moją najulubieńszą Urszulkę. Urszulka jest to anioł chodzący po ziemi, a jej wszystkich przymiotów nawet nie potrafiłabym panu opisać. Ale to panu muszę powiedzieć, że z Urszulką oddawna wiąże mnie najtkliwsza, najgłębsza, najnierozerańska przyjaźń, jaka kiedykolwiek istniała pomiędzy dwiema siostrami. Jedna to dusza mi krewna, siostrzana i całkiem moja na ziemi!... — rzekła Petrynka z dziwną rzewnością, oczy podnosząc ku niebu. — Teraz wyobraź pan sobie — mówiła dalej — zachodzą takie okoliczności, że tego anioła mogę utracić na zawsze. Pan pojdziesz łatwo, jaka to strata będzie dla mnie, która drugiego takiego serca już nigdy nie znajdę i ani go szukać nawet nie będę. Zachodzi tu nawet ta okoliczność, że tej stracie w żaden sposób zapobiedz nie mogę, bo powiadają wszyscy, że przeznaczeniem kobiety jest pójść za mąż, i to jest celem jej życia na ziemi. Kiedyż już nie mogę temu przeszkodzić, niechże choć wiem przynajmniej, kto i jaki jest ten człowiek, który mi ją wydrzeć zamyśla; jakie jest jego serce, jaki charakter i jaki los czeka tę anielską

dziewczynę, bez której ja nie wiem czy trzy dni potrafię tu przeżyć...

— Pan kasztelanie — rzekł na to Jacek, dziwnem jakimś przejęty uczuciem — jest najlepszy człowiek, jaki się da wyszukać w tłumie dzisiejszej młodzieży. Najpocciwsze serce, najłagodniejszy sposób obejścia, a przytem mężki, pewny, niezachwiany charakter, oto są jego przymioty, które mi są od lat najdawniejszych znajome. A ponieważ dotego posiada dość piękne imię i bardzo przyzwoity majątek, więc nie mogę innym zakończyć wnioskiem, jak tylko tym, że kasztelanie będzie najlepszym mężem i panna Urszula będzie z nim najszczęśliwszą.

— Dziękuję panu — odpowiedziała na to Petrynka, wysłuchawszy Jacka z uwagą — bardzo panu dziękuję, bo teraz jestem przynajmniej tego pewna, że jakbądź głęboko *ja* uczuję stratę mojej kochanej Urszulki, *ona* przynajmniej mojej straty czuć bardzo nie będzie i będzie szczęśliwą... Ale powiedz mi pan jeszcze raz z łaski swojej, czy kasztelanie jest rzeczywiście tak silnej woli i niezachwianego charakteru?... bo przyznam się panu, że on mi na to jakoś nie bardzo wygląda.

— W samej rzeczy pani masz słuszość — rzekł na to Jacek z uśmiechem — kasztelanie istotnie niezawsze i niewszędzie używa swej silnej woli. Czasami jest trochę słaby a nawet miękki i nie wiem ażali wtenczas nie dałby się komuś opanować troszeczkę i poprowadzić; ale jak to pochodzi u niego więcej z dobrego serca, niż ze słabości duszy, tak znowu jest rzeczą pewną, że we wszystkich ważnych wypadkach, gdzie idzie o obronę honoru, imienia albo o dobro publiczne, tam jest on siebie pewny i nie da się zachwiać nikomu.

Kiedy Jacek mówił, że kasztelanie w pewnych razach dałby się opanować, po twarzy Petrynki przeleciał uśmiech albo ironii, albo tylko ukontentowania, ale ten uśmiech błysnął tylko jak błyskawica, poczem przybrała znowu wyraz napół melancholiczny a napół poważny i rzekła:

— Jeżeli tylko w rzeczach ważnych jest siebie pewny i ma sobie za święte dobro powszechnie i czystość swego

honoru, to o resztę już mniejsza. Jeszcze raz tedy panu dziękuję, a lubo bardzo boleć będę nad utratą Urszulki, jednak cieszę się tem przynajmniej, że w tak dobre dostanie się ręce. O! bardzo boleć będę nad stratą Urszulki... przyjaźń nasza już przepadnie na wieki! — dodała Petryna z westchnieniem.

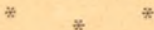
— Bardzo pani wierzę — rzekł na to Jacek — bo dobra przyjaźń jest darem nieocenionem i raz stracona, niczem się nie da nagrodzić. Tu jednak sędzę, że możnaby tak pokierować tą sprawą, ażebyś pani tę drogą przyjaźń zachowała i nadal.

— Cóżbym powinna zrobić?

— Pójść za przykładem panny Urszuli, a zawiązana przyjaźń pomiędzy pannami, trwałaby i nadal pomiędzy meżatkami.

— Oh! — zawołała na to Petryna z jakimś tajemniczym wyrazem na twarzy — ja za mąż nigdy nie pójdę.

Poczem powstała z kanapki i zostawiając Jacka, posunęła się wolnym krokiem w to miejsce, gdzie siedział kasztelan z panną Urszulą i innymi damami.



Dziwnie jakoś usposobiony, wrócił Jacek dnia tego do domu. Czuł on się niby olśnionym, ogłuszonym i strasznie pomieszany wewnątrz; a kiedy sobie chciał wyobrazić Petrynę, to mu się przedstawiała jakaś postać dziwnie fantastyczna i niby mieniąca się, pomimo to jednak pełna najszlachetniejszych uczuć i owej niepokalanej czystości serca i sumienia, która o tyle jest wyższą od prostej cnoty, o ile ją otaczają bystrość pojęcia, przejrzysty rozum i świetne wykształcenie umysłu. Jacek był nadzwyczajnie ujętym dla tej pełnej niewymownego wdzięku figurki, a nawet, co gorsza, czuł w swem sercu wyraźnie, że jakaś moc tajemnicza dziwnie go ku niej pociąga a nawet wszystkie myśli jego koło niej gromadzi i tym sposobem całą istotę jego z nią wiąże. My wiemy z wszelką pewnością, że głównym powodem tego tajemniczego pociągu Jacka ku pan-

nie Petrynie stało się jej zwierzenie się przed nim z tajemnicy swojego serca, co zawsze jest najpewniejszym środkiem pociągnięcia ku sobie odrazu ludzkiego serca, o czem zapewne doskonale wiedziała Petrynka; ale prostoduszny i niepodejrzliwy względem nikogo młodzieniec, ani śnił o podobnych misternościach przebiegłości kobiecej, i swoją sympatyę dla Petryny przypisując jej pięknym przymiotom duszy i serca, coraz głębiej tonął w swoich nowych uczuciach. Nie należał on zresztą do rzędu tych ludzi, którzy lubią subtelnie rozbierać każdą myśl i każde uczucie i powiedzieć sobie: *vogue la galère!* czekał spokojnie, co dalej będzie.

Tymczasem na drugi dzień po Nowym Roku pani podstolina przemyska, która z córeczką swoją mieszkała naówczas w Warszawie, dała dla swoich bliższych znjomych balik maleńki. Jacek należał także do zaproszonych; ale ponieważ miał dosyć zaprosin na bale większe i daleko świetniejsze, a nadto jeszcze dnia tego rano obudził się z najnieznośniejszą migreną, więc ani myślał o tym baliku. Lecz przed wieczorem wpadł do niego kasztelaniec Konarski-łęczycki i tak go umiał rozruszać i zachęcić, że Jacek nie wiedząc nawet z pewnością, czy Petrynka będzie na tym baliku, zmienił swoje postanowienie i kazał sobie suknie balowe przygotować na wieczór.

Pani podstolina z dobrego serca zaprosiła tak wiele gości, że mając tylko dwa większe pokoje na ich przyjęcie, zaledwie ich mogła pomieścić. Jacek przyszedł jeden z ostatnich, a obaczywszy ten tłum ogromny, po największej części nieznanomych sobie figur, mając do tego jeszcze kwas na ustach i trwającą migrenę w głowie, już chciał się z progu wrócić, ale na jego szczęście czy nieszczęście, podstolina ujrzała go natychmiast i przywitała tak uprzejmie, że już niepodobna było się wracać, a kiedy jeszcze do tego gospodyni dodała te słowa: — Wszyscy pana oczekują z niecierpliwością, a niektórzy już się nawet dopytywali o pana — to Jacek nawet ciekawie zaczął się przypatrywać zgromadzeniu i postanowił dowiedzieć się koniecznie, kto się dopytywał o niego?

Na to niewiele potrzeba było i zachodu i czasu, jakoż w kilka minut dowiedział się Jacek, że Petrynka jak tylko weszła pytała się i gospodyni, i jeszcze kogoś drugiego, czy będzie starosta hołobucki na balu? Uderzyło to Jacka niezmiernie a zapewne i pogłaskało, bo natychmiast twarz jego się rozjaśniła, wesoły uśmiech okrzył usta, a rozpromienione oczy zaczęły szukać coraz więcej zajmującej go siostrzenicy starosty.

Petrynka w owej chwili siedziała z Urszulką i kasztelanicem Konarskim-Łęczyckim pod oknem, a mając przed sobą cały tłum rozmaitej młodzieży i zdając się ich zabawiać dowcipną swą konwersacją, rzucała jednak od czasu do czasu oczkiem na Jacka, którego już dawno dostrzegła, i albo mu chciała przez to dać znać o sobie, albo tylko zwrócić jego uwagę na to, jak liczny orszak wielbicieli zgromadził się przed nią. A kiedy Jacek, przecisnąwszy się przez tłum gości, zajmujący środek salonu i nie mogąc się dalej przecisnąć, stanął za młodzieżą ugrupowaną przed oblicznością Petrynki i po nad ich głowy witał ją tylko niemym ukłonem, ona rzekła w głos do niego przy wszystkich:

— *Marchez toujours en avant, ne reculez jamais!*

Był to oczywiście strzał rdzenny, a nawet tego rodzaju, że pan Węgierski byłby o nim pewnie jakąś bardzo złośliwą zrobił uwagę, gdyby był temu przytomny; ale Jacek, człek prostoduszny, już kochający się, a jako taki, cokolwiek próżny, na te słowa tylko zelektryzował się jeszcze bardziej i przecisnąwszy się prawie gwałtem pomiędzy młodzież, stanął w ten moment przy boku tej tak wszechmocnej władczyni. Za takie posłuszeństwo doraźne oczywiście że Petrynka nie mogła być niewdzięczną Jackowi, jakoż nietylko go obdarzyła natychmiast najwdzięczniejszym uśmiechem, ale także w ten moment porzuciła całą ową gawiedź młodzieży i w zawiązanej rozmowie oddała się całkiem młodemu staroście.

Rozmowa ta jednak niedługo trwała, bo wnet zagrano angleza, do którego szczęśliwy Jacek, zaprosiwszy Petrynkę, stanął z nią pod dużym marmurowym kominem, które to

miejsce było najwydatniejsze z całego salonu. Ale Jacek w tej chwili był tak bardzo szczęśliwym, że w tem szczęściu zapomniał całkiem o wyszukaniu drugiej pary dla siebie, bez której nie podobna mieć czynnego udziału w tym tańcu; muzyka już dała znak swojej gotowości, a Jacek dopiero kończył rozpoczęty frazes pod oknem. Spozrzegł się jednak jeszcze dosyć zawczasu i chciał pobiedz za wyszukaniem tej zapomnianej pary, ale Petrynka go zatrzymała, mówiąc:

— Ale dlaczegoż panu tak pilno tej pary?

— Jakże pani chcesz? to nie będziemy tańcować.

— To nie będziemy. A czy to koniecznie tańcować? Jeżeli pan nie masz nic przeciw temu, to zostaliśmy sobie tu pod tym kominem, a przypatrując się tańczącym, ręczę panu, że daleko lepiej się zabawimy, niżeli gdybyśmy sami tańcowali.

— Jeżeli pani to wolisz, to i owszem — odpowiedział Jacek.

I tak zostali oboje razem, żwawą rozmową zajęci, prawie na samym środku salonu.

— Anglez ówczesny, był to jeszcze ów prawdziwy *countrydance* angielski, który, do swego ojca francuzkiego *rigaudon* bardzo podobny, był niezmiernie skomplikowany i niezmiernie trwał długo. Przez ten cały czas państwo młodzi oboje stali ciągle na tej salonowej wystawie, a im się lepiej ze sobą bawili, tem oczywiście tylko większą na siebie zwracali uwagę. Ale Petrynka, lubo nie mogła tego nie uważać, nie miała jednak nic przeciw temu; owszem, nawet, była szczebiotliwą, wesołą, rozpromienioną jak nigdy, czego znowu Jacek nie mógł nie uważać i z czego był kontent niezmiernie.

Po anglezie nastąpiły inne tańce. Jacek tańczył z Petryną, i to rozmową, to tańcem bawił się z nią tak wybornie, że ani mu na myśl nie przyszło obrócić się gdzieindziej i tylko jej samej wciąż asystował. Koło północy atoli, chcąc nie chcąc, musiał się Jacek dać wziąć w objęcia księdzu Wyrwiczowi i kilku innym uczonym, którzy wiedząc jak wiele ksiądz Naruszewicz ze zbiorów Jacka

uzyskał, byli tego zdania, że po księdzu Naruszewiczu jeszcze i oni mogliby z pozostawionych przez niego materiałów korzystać. Te sprawy książkowe wyprowadziły Jacek z salonu do przyległych pokoi i zatrzymały go tam z godzinę. Po godzinie jednak, przyrzekłszy wszystko o co go tylko proszono, wyrwał się Jacek uczonym i wbiegł napowrót do wielkiego salonu.

Ale teraz zastał on zmianę dekoracji zupełną.

Wesoła bowiem i tak rozszczebiotana Petrynka, siedziała teraz sama jedna na kanapce w kącie framugi pod oknem, i złożyłwszy rączki przed sobą a główkę opuściwszy ku ziemi, zdawała się być bardzo smutno zadumaną, i to nawet tak smutno, że kiedy ją Jacek w tym stanie obaczył, to aż mu się serce ścisnęło i ledwie łyzy nie stały mu w oczach. W samej rzeczy nawet, widok jej w owej chwili, widok tej delikatnej twarzyczki rzewnym smutkiem oblanej i tych oczek modrych, tak melancholicznie i nieruchomie spoglądających przed siebie, był tak tkliwym i przemawiającym do duszy, że nie potrzeba było być zakochanym Jackiem na to, ażeby w sercu swoim obudzić choć chwilowe współczucie.

— Jakto? wśród balu pani tak osmucona? — rzekł do niej Jacek, zabierając miejsce tuż przy niej — zaledwie oczom moim mogę uwierzyć.

— Oh! zawołała na to Petrynka głosem pełnym najrzewniejszego dźwięku — najsmutniejsze myśli, najżałośniejsze uczucia przychodzą mi zawsze wśród balu!

— To mnie dziwi niezmiernie — rzekł Jacek ze szczerem uczuciem — bo pani tak młoda, tak piękna, otoczona tem wszystkim co dać może dostatek i szczęście, nie wiem ażali kiedykolwiek powinnaś mieć powody do smutku...

— O! panie! — odpowiedziała zawsze tym samym głosem Petryna — niech pan tylko nie zawsze wierzy temu, co widzą oczy!... Nie jeden człowiek mieszka w najpyszniejszym pałacu, ubiera się w jedwab i złoto, ma zawsze twarz rozjaśnioną, cały świat mu jego dostatków i szczęścia zazdrości, a co się dzieje w jego sercu, to tylko Bogu jednemu wiadomo!...

— Ja temu nie przeczę, bo to nie ulega żadnemu wątpieniu, że pod pokrywą zadowolenia i szczęścia kryje się daleko więcej smutku i żałoby, niżeli się możemy spodziewać; ale cobyś pani mieć mogła za powody do smutku, tego ani przeczuć nie mogę.

— O! nie mów pan tak nawet i nie chcej dowiadywać się o tem...

— Pani mnie najszczęśliwszym uczynisz — rzekł na to Jacek z czułością — jeżeli mi dasz choć oddalone wyobrażenie o tem, co panią tak głęboko dojmuje, bo przysięgam pani na wszystko, że mnie to daleko więcej niżeli mój własny los obchodzi...

— Pan jesteś bardzo dobry... ale cóż panu mogę powiedzieć? Co może powiedzieć o sobie sierota, która jeszcze w kolebce tyle łąz gorzkich połknęła, że ta gorycz jej na całe życie wystarczy?... O! kiedy sobie przypomnę czasy mojego dzieciństwa... ojca mojego, który umarł ze zgryzoty po stracie majątku... matkę moję anielską, która po jego śmierci musiała męki przechodzić piekielne... rodzeństwo moje, sześcioro gołąbków pełnych miłości i niewymownej słodyczy, sześć kwiateczków wiosennych, które wszystkie powiędły pod skwarem słońca... lecz... oh! jakaż ja jestem dziecinna! Zapominam całkiem gdzie jestem i z kim rozmawiam. W naiwności mojej zdaje mi się czasem, że cały świat jest mi pokrewny, a każdy człowiek powinien się dzielić ze mną moimi smutkami, jak brat albo siostra. A tymczasem...

— Świat cały, przerwał prędko Jacek — nie jest nikomu pokrewnym, raczej to można powiedzieć o nim, że jest dla każdego zimnym i obojętnym; ale tymczasem niech mi pani wierzy, że na tym świecie są ludzie, którzy bardzo dobrze pojmują smutki swych bliznich i za największą to sobie mają przyjemność, jeżeli mogą zdjąć z kogoś połowę takiego ciężaru. Jeżeli pani serce także czasem taki ciężar przygniata — mówił Jacek dalej owym głosem czystym i dźwięcznym, którym mówić może tylko poczciwość i szczerłość — jeżeliby pani ulgę to przynosiło, gdybyś pani mogła zrzucić na kogoś połowę tego ciężaru, i jeże-

libym ja nie był niegodnym podobnego w uczuciach pani udziału, to masz pani mnie gotowego do tej przyjacielskiej usługi na zawsze, i ręczę pani, że będę to sobie miał za największe szczęście mojego życia.

Kiedy to Jacek mówił, żywy rumieniec oblał twarz jego. Petrynka patrzyła na niego przez chwilę z tak wyteżoną uwagą, jak gdyby go swemi oczyma chciała na wskrós przeniknąć, a kiedy jej Jacek śmiało wzroku dotrzymał, rzekła mu prawie z wyraźnem uszanowaniem te słowa:

— Z każdym dniem coraz więcej uczę się pana szanować.

Po tym zwrocie konwersacyi, Jacek już był całkiem roztopiony jak wosk na słońcu.

Nie będzie tedy dziwno nikomu, że dalej już go Petrynka tak prowadziła, jak się jej podobało i jak jej było potrzeba.

Konwersacya ich w tem odosobnieniu trwała jeszcze z godzinę, a kiedy Jacek wychodził, oczywiście że po całym zgromadzeniu rozniosły się o nim pewne domysły, które usposobienia jego serca dla siostrzenicy Jaorlickiego starosty nie zostawiły w żadnej wątpliwości.

Kiedy zaś w dwa dni potem był bal wielki u pana marszałka, na którym była zgromadzona ledwie nie cała Warszawa, i Jacek na tym balu, zaraz po przywitaniu z gospodarzem, przeszedł przez środek salonu, prosto do panny Petryny przystąpił i przez cały czas swojej bytności już jej prawie nie odstępował, to na drugi dzień już za pewną podawano sobie z ust do ust wiadomość, że starosta hołobucki kocha się na zabój w pannie Petrynie i nawet już się stara o nią formalnie.

Ta wiadomość, przebiegając wszystkie usta karnawałowych zgromadzeń i obudzając tutaj podziwienie nad Jakiem, gdzieindziej żał za nim, to znowu szczerze powinszowania dla panny Petryny, doszła nakoniec i do samego konkurenta; ale konkurent nietylko nie miał nic do powiedzenia przeciwko temu, lecz owszem, jeszcze z tem większą dokładnością powtarzał sobie: — niechaj tam sobie mówią co chcą, a ja wiem co robię.

Tak mówiąc, zaczął odtąd coraz częściej bywać w domu wujostwa Petryny.

ROZDZIAŁ IX.

Był bal u króla.

Nie potrzebujemy dodawać, że co tylko najznakomitszego tak ze swoich jak z obcych posiadała Warszawa, wszystko to znajdowało się na tym balu.

To wszakże nadmienić wypada, iż pomiędzy znakomitościami widziano tam także panią Kossakowską kasztelanową kamińską i księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku, które to obydwie osoby, słynące z nadzwyczajnie bystrego choć trochę rubasznego dowcipu, a zarazem z nieprzełamanej przeciwko wszelkiemu nowatorstwu opozycji, zwracały na siebie jaknajpowszechniejszą uwagę. Pani kasztelanowa była ubrana w robron nie tylko jaknajbardziej staroświeckiego kroju, ale nawet całkiem czarnego koloru, co na balu królewskim zbyt dobitnie wyrażało usposobie nie jej serca, ażeby nie było zrozumianem przez wszystkich; księżę Karol nie był wprawdzie ubrany czarno, ale czego nie potrafił wypowiedzieć swym staroświeckim litewskim strojem i rękawicami łosiowymi, za pas zatkniętymi, tego się wcale nie wahał dopowiedzieć słowami; a nawet kilkanaście osób razem to słyszało, kiedy nie mogąc się we drzwiach przez żabotowych elegantów po drugiej sali precisnąć, rzekł całym głosem te słowa:

— Już nam tak, panie kochanku, te Niemcy zaperfumowali koronę, że nawet dla oddechu nie wystarcza świeżego powietrza.

Po odbytej ceremonii wstępnej z królem i pierwszymi gośćmi tego świetnego zgromadzenia, ci państwo oboje zasiedli sobie razem pod oknem i z początku ze sobą tylko dość żwawą prowadzili rozmowę. Kiedy to się działo, pra-

wie wszystkich oczy były zwrócone na nich, bo zapewne ani jednej osoby takiej nie było na balu, któraby nie była ciekawa choć kilku ustępów z tej rozmowy podsłuchać. Ale kiedy później zdarzyli się tacy, którzy się ośmielali do nich przysuwać i oni sami komunikowali się z nimi, to niezliczone mnóstwo dowcipnych uwag i żartów co chwila się rozchodziło po salach; pan Węgierski zaś, Trembecki, Turkull i inni, którym nigdy na dowcipie nie brakło, zdaje się że na ich rachunek musieli sami komponować uszczypliwie żarciki, bo do dwóch godzin tyle tego się pomiędzy gośćmi rozeszło, a niektóre z nich były tak nieogłędne i kłuszące, że cały dwór królewski był w nie-małym kłopotcie i nawet sam król jegomość przez cały ten wieczór był dziwnie kwaśny i zachmurzony.

Jednakże kiedy jedni byli tak żywo zajęci księciem Karolem i panią kasztelanową kamińską, drudzy, pilniejsi i oględniejsi od tamtych, wykonywali ze zwykłą żarliwością swe obowiązki balowe. Do tych ostatnich należał także i Jacek. Jacek, lubo jako także po francuzku ubrany i dotego świeżo a nawet za jakieś tam książki kreowany starosta, nie miałby być wcale u tych państwa obojga dobrej rekomendacyi, jednakże gdyby był mógł, byłby na cały wieczór do nich się przyczepił, bo pomimo starostwa i perfumowanej peruki, całem sercem kochał tego starożytnego ducha, który się chował w piersiach grubem żupanem albo robronem nakrytych. Ale Jacek był dziś po raz pierwszy jako gość na pokojach królewskich, bardzo wielu osób jeszcze nie znał, a wielu znajomym winien się był grzecznym i uprzedzającym ukazać, zaniedbanie zaś tego byłoby krokiem bardzo niepolitycznym od niego. Tu trzeba nadmienić o tem, iż na pokojach Stanisława Augusta uchodziło to zawsze, a osobiwie na balach, prezentować się osobom znakomitszym a nawet posłom zagranicznym i nie-tylko to uchodziło, ale niektórzy do zabierania znajomości nawet umyślnie na tę sposobność czekali, ażeby mogli potem powiedzieć: — A znam go, lub znam ją; poznałem ją u króla. — Oprócz tego trza jeszcze i o tem nadmienić, że nadanie Jackowi starostwa za jakieś naukowe za-

sługi (o których powszechnie nie wiedzano pewnego), ile że go to spotkało w tak młodym wieku, bardzo mu ułatwiało wziętość u wyższych osób, które, chcąc iść za przykładem pana, przynajmniej otwartem uznaniem naukowych zasług usiłowali okazywać swoją dla narodowej oświaty sympatya. Z czego wszystkiego korzystając, Jacek był dzisiaj nadzwyczaj czynnym i już przez którego ze szambelanów królewskich, już przez samego księdza Naruszewicza prezentował się wszystkim dotychczas sobie nieznajomym znakomitościom.

Ta praca jaknajszczęśliwiej od posła pruskiego zaczęta, który upodobawszy sobie Jacka szczególnie dla niemieckiego języka, tak dobrze mu znajomego jak polski, sam go więcej niż pół godziny przy sobie zatrzymał, ta praca, mówię, poszła mu tak szczęśliwie, że nie tylko dziś zaznał się z całą krema owoczesnej Warszawy, ale nawet, ku wielkiemu ukontentowaniu swemu, to zauważał, że od każdego był jaknajlepiej przyjęty i uczuł się nawet w tem położeniu, że gdyby chciał się gdzie wyżej poforytować, nie brakłoby mu ani na przyjaciółach, ani na protektorach.

Hołobucki starosta, jak to już wiemy od dawna, nie był wcale łakomy ani wysokich zaszczytów, ani nigdy dotychczas o otrzymaniu jakiego zaszczytu myślał; ale dzisiaj, kiedy Petrynkę całem sercem ukochał i myślał seryo o jaknajpiękniejszej dla niej przyszłości, przekonanie się o łatwości uzyskania protekcyi było mu bardzo miłym i Jacek był w przewybornym humorze.

Północ już się zbliżała, a on jeszcze na żadną z dam przytomnych ani nawet nie spojrział, tylko jeszcze się ciągle oglądał, czyli którego z wysokich dygnitarzy nie pominął i czyli któremu innemu nie wypadało jakim grzecznem słówkiem jeszcze się lepiej zalecić.

Wszakże wśród tego oglądania się przypomniał sobie, że go prosiła Petrynka, ażeby na tym balu uważał pilnie na stroje damskie i które z nich osobliwsze jej nazajutrz jaknajdokładniej opisał; zaczął tedy uważnie rozglądać się za damami.

Ta była ubrana pięknie i tamta także nie gorzej, ale

śróđ wszystkich przecie najwięcej w oko wpadła mu jedna, która, stojąc od niego o kilkanaście kroków, zdawała się patrzeć na niego, lecz otoczona ze stron obydwóch szturmującą młodzieżą, musiała jednak być baczna na ich pytania i odpowiedzi. Dama ta była to smukła i bardzo piękna brunetka. Włosy równo upudrowane miała ułożone w bardzo zgrabną i elegancką fryzurę, która była ubrana pąsowym kwiatem i ślicznym paryzkim dyademem z koralu i złota. Na sobie miała suknię białą w złote kwiaty, której krój i bogate koronkowe i złote ozdoby miały w sobie tyle wytworności i smaku, że cała jej postać w tym stroju zdawała się być wydmuchniętą z mgły porannej, udzierganej złotymi promieniami słońca. Dotego jeszcze perły z prześliczną brylantową agrafą, naramienniki, manele, a wszystko to tak proste a przecie takie wytworne, że przypatrujący jej się młodzieniec nie mógł sobie nie przyznać ze wstydem, iż dotychczas nie miał wyobrażenia, co jest prawdziwie dobry smak i wytworność. Tak obejrzawszy dokładnie strój cały, przeszedł nakoniec do twarzy, którą znalazł niemniej prześliczną i pełną niewymownego wdzięku; ale kiedy się tej twarzy całkiem dokładnie przypatrzył, stanął jak wryty ze zdziwienia.

Damą to bowiem nie był kto inny, jak tylko jego dobra znajoma, pani podkomorzyna kaliska.

Podkomorzyna była mu całkiem obojętną już teraz, ale był on jej pięknoscią i wytwornością dzisiejszą tak zachwycony, że nie mógł sobie odmówić wymienienia z nią przynajmniej słów kilku. Jakoż nie namysławiając się wcale i to nawet dość szybkim krokiem do niej się przybliżył.

— Przychodzę do pani — rzekł on do niej, stając wprost przed nią — ażebyś mnie pani bez miłosierdzia zgromiła za to, żem pani dotychczas nie umiał dopatrzeć. Lecz przyznam się pani, że przyzwyczajawszy się widzieć ją...

— Nie mogłeś mnie pan poznać w tej metamorfozie balowej? — przerwała podkomorzyna z wdzięcznym uśmiechem. — Widzi pan, takie to my zmienne jesteśmy kobiety.

— O! pozwól mi pani, żebym choć w pani zmienność nie wierzył! Jeżeli kto bowiem wpoił we mnie wiarę

w swoje stałe i niewzruszone zasady, to pewnie pani. Z tego też względu i ze stu innych jestem w niewymownem podziwieniu dla pani.

— Pan jesteś niewyczerpany w grzecznościach — rzekła na to podkomorzyna, spuszczać oczy z skromnością ku ziemi — jak gdybyś się od dziecka wychował w Warszawie. Ale i ja także dzisiaj nie jestem bez podziwienia dla pana...

— Z powodu mojego rozgarnienia?

— O! wcale nie! tylko z tego powodu, że pan tak pożytecznie czas trawisz na balu...

— Pani byłaś łaskawa to obserwować.

— Nietylko ja, ale wszyscy... z czego nawet pomału urasta to rozumienie o panu, że w zapobiegliwości i roztropnem prowadzeniu się mogliby wszyscy panowie brać lekcye od pana...

— Już i to mówią? proszę pani, jaki ten świat jest złośliwy!

— O! on jest jeszcze złośliwszy, bo zajmując się panem bez wypoczynku, mówi jeszcze i inne rzeczy o panu, którym wszakże my... nie dajemy wiary zupełnie.

Na tę uwagę, Jacek mimowolnie się zarumienił i nie umiał nic odpowiedzieć, a tymczasem podkomorzyna dodała jeszcze te słowa:

— Wczoraj nawet u nas bardzo wiele mówiono o panu, a moja ciotka, która, jak pan wiesz, nadzwyczajnie przychylnie jest usposobioną dla pana, nie mogła się dosyć nażałować, że nie widziała pana już od tak dawna...

W tym momencie król przechodził tamtędy, Jacek musiał się usunąć na stronę i tym sposobem konwersacya jego urwała się właśnie w tej chwili, kiedy zaczynała się stawać zajmującą dla niego. Byłby on się niezawodnie za chwilę napowrót do podkomorzyny przysunął, ale król jegośmość raczył przemówić słów kilka do niego i nawet wypytywał go dosyć obszernie, jak mu się podoba Warszawa, jak znajduje jej towarzystwo i t. d., na co wszystko Jacek usiłował w jaknajpochlebniejszych odpowiadać wyrazach.

Kiedy król, pociągnawszy go w rozmowie o kilka kro-

ków dalej ze sobą, odszedł nareszcie od niego, Jacek czuł się zanađto roztargnionym, ażeby mógł w ten moment znowu się do podkomorzynę przybliżyć; stał więc tylko zdaleka i tak bez żadnej myśli patrzył na nią.

W tej chwili atoli zbliżył się do niej Węgierski i przemówił słów kilka. Ale rzecz dziwna, podkomorzyna odpowiedziała mu na to z najwyraźniejszą ironią i odsunęła się nawet od niego. Węgierski znowu coś do niej przemówił, a ona na to spojrzała na niego już nie z ironią, ale nawet z pogardą i odwróciła się w stronę przeciwną. W tym momencie zagrała muzyka, podkomorzyna podała komuś rękę ażeby stanąć do tańca, a Węgierski odszedł z głową zwieszoną jak zmyty.

Ta mała scenka jakieś dziwne na Jacku zrobiła wrażenie. Podkomorzyna taka łagodna, tak spokojna, tak dobra, że się zdawała nie mieć ani krzty żółci w sobie, Węgierski tak zawsze obojętny dla niej, że ledwie kiedy z nią wymienił dwa słowa — i ci państwo oboje w jakiejś wojnie ze sobą? jakim to być może sposobem?

Tak myślał Jacek. Ale niebawem sam się ze siebie roześmiał, bo oczywiście szambelan, jako był zawsze niezmiernie lekkomyślny w przycinkach, musiał coś bardzo nieostrożnego o podkomorzynie powiedzieć, ona to dosłyszała i rozgniewała się na chwilę. Wszakże i w aniołach gniew można obudzić. I czemuż tu się tak dziwić?

Poczem, obejrawszy jeszcze kilka strojów damskich, ażeby je Petrynce jaknajdokładniej opisać, wyniósł się młody starosta z balu, z którego był bardzo zadowolony.

W nocy myślał cokolwiek nad sobą. A rozpatrzywszy się we wszystkim dokładnie nie mógł sobie nie przyznać, że jego pozycja teraz jest rzeczywiście bardzo szczęśliwą, że się znajduje na drodze najlepszej i przy zapobiegliwości i pracy, kto wie jak daleko mogłby się posunąć; w takim znajdując się położeniu, jest to dość nieroztropnie z jego strony starać się o jakąś nieznanomego rodzaju i bez żadnego posagu a mającą za sobą li tyle, ile dać mogą dobre przymioty serca i umysłu; on, tak jak jest dzisiaj, mogłby nieporównanie lepiej się pokierować, ot już zaraz

podkomorzyna nie miałyby nie przeciw niemu, a cóż dopiero gdyby chciał się lepiej rozpatrzeć i pilniej poszukać! Więc to bardzo nieroztropnie jest z jego strony starać i żenić się na ten sposób... ale... — i cóż mi — zawołał on do siebie — po wysokich zaszczytach, majątkach i żonie, choćby nie wiem jak wysokiego rodu, jeżeli miłości i harmonii nie będzie? Znajdęż ja drugą taką Petrynę, któraby takie miała serce, takie wykształcenie umysłu i tyle szacunku, tyle poważania, tyle miłości dla mnie?... Nie, nigdy! W tym świecie psującym się, pełnym fałszu, intryg i złości, nie masz drugiego takiego anioła. Ona tylko jedna, ona tylko może mi dać szczęście i w raj prawdziwy zamienić to życie!

Tak sobie marząc, usnął snem niespokojnym, a czarująca postać Petryny, z wieńcami kwiatów i skrzydłami anioła, unosiła się nad nim, aż póki się nie obudził.

* * *

Następnego dnia rano ledwie Jacek siadł przed toaletą, kiedy Węgierski wszedł do niego.

— Jakto? po takim balu, już tak rano na nogach? — zapytał starosta.

— W podróży wstaje się rano — odpowiedział Węgierski.

— Jakto w podróży? nie a nie ciebie nie rozumiem.

— Zaraz mnie zrozumiesz, jak tylko się dowiesz, że przychodzę do ciebie, ażeby się z tobą pożegnać.

— Cóż chyba żartujesz? skądże tak nagły projekt podróży?

— Projekt to wcale nie nagły, bo jak wiesz, dawno zamyślałem gdzieś za granicę wyjechać; więc chyba tylko wykonanie nagłe.

— Jakże, więc do Paryża?

— Ba! żeby do Paryża! — zawołał szambelan — ale niestety! kiedy zmierzyłem tę drogę z moją sakiewką, pokazało się, że droga dłuższa niżeli sakiewka. Jadę więc tylko na Kraków do Wiednia, gdzie zabawię do wiosny,

a w wiosnie pojadę do Karlsbadu, gdzie mi każą się leczyć lekarze... a nawet i nie lekarze.

— Ale proszę cię, kochany Kajetanie — rzekł na to Jacek — zawsze jeszcze nie mogąc wyjść z zadziwienia — proszę cię, to może jest niedyskrecya... ale ja przecie nie mogę temu uwierzyć, ażebyś ty do tej podróży nie miał jakiegoś osobistego powodu. Coś musiało zajść, coś zaskoczyć...

— Zaskoczyło to, owo i dziesiąte — rzekł szambelan z gorzkim wyrazem na twarzy — zbierało się, aż się nazbierało nakoniec... O powodach niema co mówić, bo ich jest tyle, że trzebaby dzień cały stracić nad nimi... ale powodem wszystkich powodów są ludzie, plotki, intrygi, obrzydliwość...

— Ale zmiłuj się, cóżby znów ludzie?...

— *Ach! vous ne connaissez pas la maudite race à laquelle nous appartenons!* — zawołał na to Węgierski — to są słowa Fryderyka Wielkiego, a ja ci je z głębi mego przekonania powtarzam. Ty jeszcze nie znasz tych ludzi, mój Jacku! ale przyjdzie kolej i na ciebie. Życzę ci tylko, żeby cię to poznanie nie kosztowało zawiele.

— No proszę ciebie, rzekł Jacek — jeżeli się ludzie gniewają na ciebie, to nie ma im się co dziwować tak bardzo, bo wszakżesz i robak przygnieciony się wije, a ty ich się dosyć nagnieciesz. Ty bardzo jesteś nieogłędny, mój Kajetanie. Kiedy ty mówisz z jakąś znakomitszą osobą, a ja się przypadkiem znajduję przy tobie, to aż pocierpam cały, ażebyś mnie wszystkiej krwi nie napędził do twarzy... A nie dosyć, że mówisz, jeszcze i piszesz same takie rzeczy.

— *Qu'est que ces petits écrits!* — zawołał na to Węgierski — *il n'y a que les petits hommes qui redoutent les petits écrits!*

— *C'est vrai, mais le nombre des ces petits hommes...*

— Otóż to jest najgorsza! to jest, że tych małych ludzi jest tylu, ilu wszystkich razem, i to zabija u nas wszelką swobodę myśli i mowy. Mój Boże! cóżby też oni robili, gdyby im przyszło żyć we Francyi, gdzie dowcip uszczy-

pliwy jest chlebem powszednim i bez niego nawet nie pojmują życia Francuzi. Ale tutaj nie o to idzie: bo oni sobie teraz inny sposób na mnie znaleźli. Już nie powiadają na mnie że *ich* kąsam, tylko że szydę i ponieważm religią. Wyobraź sobie, nawet mnie o to oskarżyli przed królem i król temu uwierzył do tego stopnia, że się uczuł spowodowanym zrobić mnie na to ważnym. Z królem najczęściej nie trudna jest sprawa, bo jak tylko sam nie czuje się obrażonym, to ma rozsądek i jest wyrozumiałym. Ja na uwagę o zaczepki przeciwko religii odpowiedziałem królowi, że kiedy przed Tybereyusza zaniecono podobną skargę, odpowiedział na to: *Deorum injuriae Diis curae*. Król to zrozumiał, przyznał i na tem się skończyło. Ale ci ludzie w inny sposób mi szkodzą... w tysiączne inne sposoby... ej! ot lepiej nie mówić już o tem.

— Powiedzże mi z łaski swojej — rzekł na to Jacek — czy *to* jest właściwym powodem twojego wyjazdu?

— Tak, trochę to, trochę co innego, ot! albo i nie nakoniec. Krótko mówiąc, jadę i przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Ale przecież jeszcze nie dzisiaj odjeżdżasz?

— Nie dziś, ale jutro, pojutrze. Jeszcze się zobaczymy. Ale przyszedłem umyślnie teraz do ciebie, ażeby cię o tem uprzedzić... a zresztą i pogadać jeszcze przed wyjazdem cokolwiek. Proszę cię, różne plotki tu chodzą o tobie, ja nie wiem, czy to prawda?

— Cóż, czy prawda? bo ja znów nie wiem o co pytasz? — rzekł na to Jacek, oblewając twarz swoją potężnym rumieńcem.

— Ja pytam o pannę Petrynę.

— A gdyby to prawda była?

— Toby mi dziwną była ta prawda.

— Wolnoż się spytać dlaczego?

— Dlaczego? Bo nie widzę żadnego powodu, dla którego byś ty się miał żenić z panną Petryną.

— Proszę cię, to jest rzecz, która może mieć swoją wagę, więc jeśli mamy mówić o niej, to mówmy seryo. Cóż widzisz złego w pannie Petrynie?

— Ja nie widzę w niej nic złego — odpowiedział Węgierski — ale też i nic dobrego nie widzę. Panna bez posagu, niewiedzieć skąd się wzięła na świecie... nie jest bez dowcipu, nie jest bez talentów, ale to zawsze jeszcze jest zamało, ażeby dlatego się żenić. A zresztą przyznam ci się, że mi się cały ten dom nie podobał. O starości Jaorlickim ja także nie wiem nic złego, ale to nie jest figura, w którejbym sobie mógł upodobać i z którąbym bliższych zapragnął stosunków. W ziemię patrzy, podejrzliwy jest względem każdego... ludzie prawi patrzą śmiało w oczy każdemu i nie są podejrzliwi bez słusznego powodu. I w Petrynie także nie widzę nic statecznego... jeżeli niema małego bzika, to jest komedyantką; innej szansy nie widzę. Za czemże tutaj kark kręcić?

— Bardzo dowcipnie mówisz — rzekł na to Jacek — szkoda tylko że nie całkiem do przekonania. Bo jużciż jeżeli starosta względem wszystkich jest podejrzliwym bez powodu, to ty przynajmniej względem jego domu jesteś takim samym.

— Może być — rzekł na to kwaśno szambelan — może mam zamało do słusznych podejrzeń powodu, ale przyznam ci się że ten dom znam od lat kilku, a żadna z osób go składających nie dała mi do zaufania powodu. Tak samo zna ich cała Warszawa i cała Warszawa jest tego zdania. Nikt o nich nie mówi nic złego, ale też nikt nic dobrego. A tacy ludzie bez barwy są mi zawsze niepewni. Zresztą co do Petryny, to ci to jeszcze muszę powiedzieć, że jeśli myślisz że z nią tak łatwą i prostą drogą trafisz do końca, to bardzo się mylisz; bo już tam byli inni przed tobą...

— Jakto? więc już się starał kto o nią?

— Ale starał się i to nie jeden, bo ta dziewczyna pomimo swoich manier i gustu w ubiorze...

— Jakto? maniery? gust w ubiorze? proszę cię, mów mi wyraźnie, bo ja tego nie a nie nie rozumiem.

— Jużci to przecież rozumiesz, że panna Petryna ma takie maniery, jak śpiewaczka trzeciego rzędu, a gust w ubiorze jaknajzupełniej odpowiedni manierom...

— Ale zmiłuj się Kajetanie mówisz tak, jakbyś powrócił z doliny Józefata, gdzie się samym pieprzem żywiłeś przez trzy dni.

— Nie? nie zgadzasz się ze mną? to nie. Ja ci tylko to chciałem powiedzieć, że panna Pytryna miała już konkurentów kilku i z każdym najdziwniejsze wyprawiała komedye, a lubo każdy z nich był dla niej partyą aż nadto świetną, przecież za żadnego nie poszła, jak widzisz. Co z nią inni zrobili, nie wiem, ale ostatni haniebnie ją na końcu splantował... haniebnie mówię, i to do tego stopnia, żeśmy wszyscy myśleli, że się tego roku nie będzie już nigdzie pokazywać Ale... pokazała się; a ponieważ się trafił zaraz starosta hołobucki, który się dał ułować na wędkę...

— Proszę cię — przerwał Jacek — któż to był ten ostatni konkurent?

— To był młody Hilzen, syn niegdyś kasztelana mściśławskiego, a synowiec ś. p. męża pani wojewodziny mińskiej, którą znasz dobrze i której możesz się o niego wypytać. Nim się atoli od niej co dowiesz, to ja ci powiem że kasztelan mściśławski jest bardzo przystojny chłopiec ma przyzwoitą fortunę i końcem końców relacye familijne takie, których za lada co mieć nie można. Ten młodzieniec kochał się w niej do szaleństwa, starał się wszelkiemi siłami, a panna Petryna za niego nie poszła.

— Mój Kajetanie, jak też ty jesteś dzisiaj zabawny! Cóż w tem dziwnego, że panna, której nikt z domu nie wypędza, która ma wszelkie wygody i na niczem jej zgoła nie zbywa, za kogoś nie poszła? Nie podobał się jej i koniec.

— Ale bo przedtem przez jakiś czas bardzo jej się podobał.

— Ale potem w nim wady odkryła i zmieniła swe zdanie.

— Nie, moje serce, on odkrył w niej wady i on zmienił swe zdanie.

— No, więc nie poszła, bo ją porzucił, bo pójść nie mogła.

— Pójść mogła ale nie chciała — rzekł na to dobitnie Węgierski — a zresztą, mój kochany, pozycya panny

Petryny jest tego rodzaju, że się takiej partyi jak kasztelanie mściławski powinna chwycić rękami i nogami.

— Tem lepiej dla mnie — rzekł na to Jacek złośliwie — bo tem pewniej mnie nie odmówi.

Na tę odpowiedź szambelan stanął przed swoim bratem ciotecznym, przypatrzył mu się z uwagą i rzekł:

— Przepraszam cię, Jacku, ja nie wiedziałem że już jesteś tak zakochany.

— Tak, jestem — rzekł na to Jacek dobitnie — i ręczę ci za to, że wskutek żadnych uwag podobnych już się z raz przedsięwziętej drogi nie cofnę. Co się zaś tyczy tego, że w mojem położeniu można było wziąć pannę piękniejszego nazwiska i jakiegoś posagu, tego ci nie zaprzeczam; nie wątpię nawet, że cały świat powie żem źle zrobił, żeniąc się z panną Petryną, ale że mnie to wszystko od niej nie odstraszy i ani na jedną chwilkę w mojem postanowieniu nie zachwieje, za to ręczę. Co tam świat sobie pomyśli lub powie, to mnie zgoła nie obchodzi. Ja się żenię nie dla świata, ale dla siebie. Posagu żadnego nie potrzebuję, bo mam sam tyle, że mogę żonę przyzwoicie utrzymać i takie same, albo jeszcze i lepsze, wygody jej zapewnić, do jakich jest przyzwyczajoną. O jej nazwisko także nie wiele pytam, bo ona moje będzie nosić nazwisko, choćby była wojewodzianką lub hetmanową. A zresztą...

— Ale już dosyć, dosyć — rzekł na to szambelan — a na co tu więcej?

— No więc o cóż chodzi?

— Teraz już o nic nie chodzi — odpowiedział Węgierski — jak tylko o to, ażeby ci się twoje zamysły jaknajlepiej powiodły. A ponieważ ja w tem ani ci pomódz, ani przeszkodzić nie mogę, więc lepiej zrobię, jeżeli się odtąd już całkiem nie będę mieszał do tego.

— Co mi nawet będzie najlepiej — dodał Jacek surowo.

Po tym dodatku, szambelan wziął za kapelusz i powiedziawszy obojętnie: *Au revoir mon cher!* zarzucił płaszcz na siebie i ruszył ku drzwiom.

Jacek z początku patrzył obojętnie na niego, ale kiedy Węgierski już był przy drzwiach, przecie mu się go żal zrobiło i poskoczył ku niemu.

— Proszę cię, mój Kajetanku! — zawołał on do niego, porywając go z uczuciem za rękę — nie wychodźże tak odemnie! Przepraszam cię milion razy, żem twoje uwagi przyjął z taką goryczą, ale widzisz, mój drogi, ja jestem nadzwyczajnie drażliwym... a ta panna Petryna mi serce i głowę zawróciła z kretesem. Ty wiesz co jest miłość. Warta ona tego podług innych, czyli nie warta, to mi jest wszystko jedno! Dla mnie warta i jest to najważniejsze szczęście moje. Nie dziw się więc...

— Ale wierz mi, mój Jacku — rzekł także z sercem szambelan — że ci się wcale nie dziwię. Ja wiem doskonale co jest miłość i znam zakochanych. Więc ani ci się dziwię, ani się gniewam na ciebie. Jeżeli ci zaś zrobił jakieś uwagi, to bądź pewnym, że to było tylko z szczerego, przyjacielskiego serca...

— Ale ja wiem, wierzę i wcale ci za złe tego nie biorę.

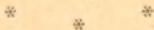
— Co się zaś tyczy panny Petryny — zabrał znów głos szambelan — to nie myśl wcale, ażeby ci koniecznie tę konkurencyą odradzał. Panna Petryna, pomimo wszystkich złowróźbnych okoliczności jakie jej towarzyszą, może być najlepszą żoną i ty możesz z nią być najszczęśliwszym. Ale na każdy przypadek radzę ci jaknajwiększą ostrożność. Ty nie wiesz co to są nasze kobiety! Jak nas oszukują, jak za nos wodzą, zaledwie można uwierzyć. Ot! ja mam świeży przykład tego na sobie... a ja nie fryc jestem z prowincyi, którego można lada czem w pole wywieść i otumanić. Ale bądź zdrów tymczasem, bo ja mam jeszcze tyle wizyt do zrobienia, a na to wszystko tylko parę dni czasu...

— Dajże mi rękę, Kajetanku, na znak że się nie gniewasz i że się rozchodzimy w najlepszej zgodzie ze sobą.

To mówiąc, podali sobie ręce, a szambelan pobiegł śpiesznie do miasta.

Jacek zaś wrócił czempredzej do toalety, bo się obiadowa godzina zbliżała, a zaraz po obiedzie chciał być ko-

niecznie u pani wojewodzinej mińskiej, która mu się wczoraj przez siostrzenicę tak grzecznie przymówiła o odwiedziny.



Kiedy Jacek wszedł do salonu, pani wojewodzina siedziała, jak zwykle, z jakąś robótką na kanapce; przy mahoniowym, na dwóch pozłocistych gryfach spoczywającym stole, podkomorzyna kaliska z wojewodziecem witebskim przeglądali jakieś ryciny francuskie; oprócz nich jeszcze znajdował się w salonie monsieur Lemaitre, Francuz, emigrant, który niedawno do Warszawy przybywszy, kilku młodym paniczom wykładał prawo francuskie, historią, heraldykę i dyplomacyą. Jednym z jego uczniów był podobno także i wojewoda witebski.

Z przybyciem Jacka wszczęła się konwersacya bardzo zwyczajna: o balu wczorajszym, o księciu Karolu, o pani kasztelanowej kamińskiej i innych mniej lub więcej ciekawych szczegółach balowych. W tej konwersacyi nie powiedział nikt nie takiego, coby Jacka szczególnie zajęło, tylko kiedy podkomorzyna spytała go z miną bardzo ciekawą, czy pan Węgierski już odjechał, czy nie? zadziwiło go to cokolwiek, bo nie mógł się tego spodziewać, ażeby podkomorzyna mogła już wiedzieć o tym wyjeździe, o którym on sam, brat jego cioteczny, dopiero się przed kilku godzinami dowiedział. Jednakże rzecz ta okazała się w ten moment bardzo naturalną, bo podług zeznania podkomorzynnej, nietylko jej sam Węgierski jeszcze wczoraj na balu o swoim wyjeździe powiedział, ale nawet na tymże samym balu już całe towarzystwo o tem wiedziało, i nawet powody tego wyjazdu były jednym z najwięcej ożywionych przedmiotów rozmowy ogólnej.

O właściwy powód podróży podkomorzyna znowu dosyć ciekawie wypytywała młodego starostę, a kiedy on ją zapewnił, że się od samego szambelana nie o tem nie dowiedział pewnego, ona odpowiedziała:

— Toż my jeszcze daleko mniej o tem wiedzieć mo-

żemy. Ale jest rzeczą pewną że albo pan Węgierski ma z kimsiś jaką awanturę, dla której zagranicę wyjeżdża, albo go król w jakiejś misyi tajemnej do Wiednia wysyła.

— Za awanturę, że jej niema, ręczę pani wszystkiem czem mogę — rzekł Jacek — bo o tem pewniebym wiedział, a jeszcze pewniej nie zostałbym przy niej bezczynnym, a co do misyi...

— To misyą ma pewnie — odpowiedziała na to podkomorzyna z uśmiechem — tylko to muszą być jakieś rzeczy tak bardzo tajemne, że nawet panu nie mógł nie o tem powiedzieć.

Przytem patrzyła podkomorzyna bardzo uważnie w twarz Jacka, ale z jego twarzy nie nie mogła wyczytać, bo Jacek rzeczywiście o żadnej tajemnicy nie wiedział.

Potem znów obojętna zawiązała się konwersacya, ale ta już nie trwała długo, albowiem wkrótce wyszedł wojewodzie wraz z swoim Francuzem z salonu, a po nich niebawem i podkomorzyna, pod pozorem obejrzenia przygotowanego stroju na wieczór dzisiejszy, zniknęła.

Jacek został sam tylko z wojewodzina, ale nie myślał jeszcze wychodzić, bo staruszka była w każdej rozmowie tak miłą i zajmującą, a do tego jeszcze dla Jacka zawsze tyle okazywała uprzejmości i względów, że, przez samą wdzięczność za to, byłby jej chętnie i codziennie godzinę poświęcił. Nie spodziewał on się jednak jaka miała dzisiaj rozmowa nastąpić i nie pomału się zdziwił, kiedy wojewodzina na samym wstępie rzekła do niego te słowa:

— Bardzo się cieszę z tego żeśmy zostali sami, bo już od kilku dni pragnę pomówić z panem słów kilka na osobności.

— Miło mi będzie słuchać pani wojewodziny — odpowiedział Jacek z powierzchowną grzecznością, ale z wielkim niesmakiem wewnętrznym.

— Spodziewam się — zaczęła mówić wojewodzina — że pan tego nie weźmiesz za złe, jeżeli się prawie gwałtem wciskam w jego uczucia i myśli, ale wierz mi pan, że powodem tego nie jest żaden interes z mojej strony, ani nawet prosta ciekawość, tylko szczerą przyjaźń dla pana

i równie szczere pragnienie, ażeby cię jaknajwięcej szczęścia a jaknajmniej zawodów spotkało w tem życiu. Znałam jeszcze ojca twojego i byłam pełną szacunku dla niego; poznałam pana i szczęśliwą jestem, że mogłam ten cały szacunek przenieść z ojca na syna... a gdybym nawet pana nie znała, to jeszczebym miała to sobie za obowiązek młodego i pełnego najpiękniejszych widoków człowieka przestrzedz w razie takim, jeżeliby wstąpił na drogę niebezpieczną lub niestosowną dla siebie. Przedewszystkiem tedy pragnę się od pana samego dowiedzieć, czy prawda to, że się zacząłeś starać o siostrzenicę pana starosty Jaorlickiego?

— Hm! — rzekł na to Jacek, nie mogąc utaić nieukontentowania, jakie mu się uczuć dało na widok poczynającej się rozmowy o tym przedmiocie — niech mi pani wojewodzina łaskawie przebaczy, ale jest to pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć dokładnie.

— Pan jeszcze nie jesteś zdecydowany — rzekła na to z pośmiechem wojewodzina — tem lepiej. A zresztą uwalniam pana od odpowiedzi na to pytanie, natomiast zaś tylko pana proszę, nim się zdecydujesz na krok jakiś stanowczy, ażebyś się nad wszystkimi okolicznościami zastanowił jaknajdokładniej. Nie myśl pan, żebym ja chciała jaką plamę rzucać na dom starosty Jaorlickiego...

Tu Jacek, widząc że wojewodzina na ten sam ton zaczyna swoją perorę, w jakim tonie dopiero co swoją skończył Węgierski, nie czuł dość siły w sobie, ażeby te wszystkie bezzasadne niechęci i podejrzenia po raz drugi wysłuchać; przerwał więc zaraz wojewodzinie i rzekł do niej z najśłodszy, na jaki się mógł zdobyć uśmiechem:

— Pani wojewodzina mi nie chce wziąć tego za złe, że jej przerywam, ale muszę pani powiedzieć, że dopiero co i to z ust najzłośliwszych wysłuchałem wszystkich zarzutów, jakie się dadzą zrobić staroście, pannie Petrynie, jego żonie, jego ojcu, dziadowi i wszystkim pradziadom.

— I powiadano panu także o synowcu mojego męża?

— Wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

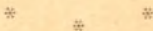
— W takim razie ja nie mam nic do powiedzenia;

cieszę się tylko z tego, że oprócz mnie masz pan i więcej przyjaciół.

Na to Jacek uśmiechnął się ironicznie i milczał.

Nie potrzeba już tutaj dodawać, że kiedy po dłuższej chwili milczenia napowrót się konwersacya zawiązała pomiędzy nim i tą poważną matroną, była to konwersacya najbanalniejsza pod słońcem, która się tylko coraz nieznośniejszym dla obojga stawała ciężarem. Żal jednak było Jackowi rozchodzić się w takim usposobieniu z tą panią, która, jakkolwiekby, zawsze tylko najlepsze chęci zdradzała dla niego; przeszedł więc jeszcze raz do danej sobie przez nią przestrogi, podziękował za nią ile możności z jak-najszczerzego serca i tym sposobem przecie doprowadził do tego nakoniec, że dawny przyjacielski stosunek jego do tej zacnej matrony nie został ani zerwanym, ani nawet zachwianym.

W dwie godziny potem anonsowano już Jacka w salonie starosty.



W grobowej kaplicy dziś albo umarli powstawali z grobów, albo odprawiały się dziady, bo nietylko ogromny stół zastawiony do herbaty otoczony był gośćmi różnej płci, wieku i stanu, ale jeszcze pomiędzy tymi gośćmi był tak głośny rozhovor, że Jacek aż się zapomniał, kiedy wszedł do salonu.

— I czego też oni chcą od tych ludzi! — pomyślał on sobie prędko w tej chwili — Starościna z niewymowną uprzejmością sama stół cały obchodzi i pilnuje, aby nikomu na niczem nie brakło; Petrynka, w najfantastyczniejszej jaka być może fryzurze i błękitnej wełnianej, także fantastycznej tunice, jak Hebe prawdziwa, ze srebrnej nalewki rozlewa strumienie chińskiego napoju na wszystkie strony; do tego lampy błyszczą dokoła jak małe słońca, rozmowy się toczą wesołe i pełne życia, służba zgađuje myśli każdego gościa i spełnia je w oka mgnieniu; — i czego też oni chcą od tych ludzi?

Z wesołą twarzą przystąpił Jacek do gospodyni i był od niej na samym wstępie uraczony cukrami, które na kryształowym talerzyku trzymała w ręku. Ledwie co wszakże dokończył swojego zadziwienia, jak pani starościna dziś prześlicznie wyglądała, kiedy starosta, który tuż obok Petrynki siedział przy herbacie, z uprzedzającą gościnnością do niego się zbliżył i zaprosił go, aby zabrał opróżnione przez niego miejsce — obok Petrynki.

— Pan dotrzymujesz słowa jak szlachcic prawdziwy — rzekła do niego z zalotnym wdziękiem Petrynka, kiedy siadał koło niej — za co panu w tej chwili nie mogę inaczej podziękować, jak największą filiżanką herbaty.

— Obym tylko na takie samo zadowolenie mógł zasłużyć u pani — odpowiedział młodzieniec — kiedy jej będę opisywał stroje balowe, ale zdaje mi się że trudno to będzie, bo jak się pokazuje, nie znam się zupełnie na strojach.

— Już mi na tem nie zależy tak wiele, rzekła uprzedzając siostrzenica starosty — bo właśnie dziś w południe byłyśmy z ciocią u księżnej Kalikstowej, która nas przyjęła i opisała nam tak wszystkie stroje, że mam o nich jaknajlepsze wyobrażenie. Ale co pan mówisz że się nie znasz na strojach, to ja się na to nie zgadzam, bo ile mogłam uważać, zawsze pan bardzo trafne dajesz o nich zdanie.

— No widzi pani — rzekł na to Jacek żartobliwie — a pan Węgierski koniecznie chce wmówić we mnie, że nie mam wyobrażenia o strojach.

— A! ale! a cóż się dzieje z panem Węgierskim? czy już wyjechał?

— Nie, nie wyjechał jeszcze, ale jutro zapewne wyjedzie.

— I cóż to za przyczyna tak nagłego wyjazdu?

— Bóg to wiedzieć raczy — rzekł na to Jacek, rozkładając ręce przed sobą — ja nie wiem.

— I pan pewnie nic nie wiesz o tem?

— Powiadam pani że nie wiem — odpowiedział dobitnie młodzieniec.

— Przepraszam pana, zapomniałem w tej chwili, że pana nigdy o nic niepotrzeba pytać dwa razy.

— Przynajmniej pani możesz być pewną tego, że zawsze odpowiem odrazu.

— Dziękuję panu... a proszę pana... czy widziałeś pan panią podkomorzynę kaliską?

— Podkomorzynę kaliską? — powtórzył Jacek z niejakim zdziwieniem — owszem, widziałem ją nietylko wczoraj, ale nawet i dzisiaj. Ale pozwól mi pani spytać się nawzajem, jakim sposobem pani z Węgierskim wpadasz na podkomorzynę kaliską?

— Jakim sposobem — powtórzyła znowu Petrynka z niejakim zdziwieniem i patrząc z wielką uwagą w twarz Jacka — ot, tak sobie! jakto zwyczajnie różne myśli przychodzą do głowy. Pani podkomorzyna to bardzo ładna kobieta. Powiadają że wyglądała prześlicznie na balu.

— Istotnie. Wyglądała cudownie. Ale jak to piękność piękności nie równa! a właściwie mówiąc, jak to oprócz piękności zewnętrznej, trzeba koniecznie jeszcze posiadać coś więcej, ażeby się wszystkim podobać. Ludzie to nazywają szczęściem...

— A pan?

— A ja jestem zdania, że to nie jest szczęście, tylko poprostu równie piękne przymioty umysłu i serca. I cóż mi po piękności zewnętrznej! Wszakże i posąg, i lalka nawet może być piękną. Dla mnie kobieta, nawet brzydka a pełna wykształcenia i uczuć szlachetnych, ma daleko więcej wdzięku...

— Niżeli najpiękniejsza a marmurowa figura — dodała prędko Petrynka — zgadzam się z panem zupełnie i nawet we własnym interesie wdzięczną jestem panu za takie zdanie.

— Pani jesteś zbyt skromną w rozumieniu o swoich wdziękach zewnętrznych.

— Ale zato dosyć zarozumiałą na przymioty umysłu i serca. Widzi pan, jak ja znam swoje wady.

Jacek chciał zaraz na to coś odpowiedzieć, ale właśnie w tej chwili zaczęto powstawać od stołu, więc i on, lubo bardzo niechętnie, musiał powstać z innymi; co wszakże widząc, Petrynka rzekła zaraz do niego;

— A pan także tak jak ci starzy państwo, pijasz tylko jedną filiżankę herbaty?

— Ja pijam po cztery i pięć filiżanek — rzekł Jacek, który byłby pił całe wiadro herbaty, żeby mógł tylko przy Petrynie pozostać.

— Więc pan zasiądź napowrót — odpowiedziała na to Petryna — oto jest świeża herbata i nawet daleko mocniejsza niż była tamta, jak pan to widzisz po kolorze.

Jak wiadomo powszechnie, kolor nie stanowi dobroci herbaty, o czym Jacek wiedział tak dobrze, jak i my wiemy, ale już nie chciał o tem wiedzieć w tej chwili, a lubo nie mógł się dopić w swej filiżance ani smaku, ani zapachu, pił jednak jak smok i był tego zdania że pije ambrozyą.

— Muszę się panu przyznać do jednego małego grzechu — rzekła do niego Petrynka, kiedy już sami tylko zostali przy stole.

— Zaledwie będę mógł pani uwierzyć — odpowiedział młodzieniec.

— Musisz pan mi uwierzyć, bo gotowam panu złożyć dowody. Oto w tych dniach przeczytałam Nową Heloizę.

— I to pani nazywasz grzechem?

— Ja myślę że to grzech być musi, bo przecie sam autor powiada na wstępie: *Jamais jeune fille ne lira des romans*. Nie jestem ja wprawdzie już tak bardzo *jeune fille*...

— Tylko staruszka? nieprawda?

— A co pan myślisz? ja już niestety kończę dwudziesty drugi rok.

Bardzo się Jackowi podobało to otwarte wyznanie, ale tymczasem zabrała znów głos Petrynka mówiąc:

— Nie myśl pan jednak, żebym dlatego się panu przyznała do Heloizy, aby się przed panem pochwalić, że tak wielkich czytuję autorów, ale raczej dlatego, ażeby się po grzechu przyznać do krótkości mojego pojęcia, które, mówiąc szczerze, wcale mi nie chce wystarczyć do zupełnego zrozumienia autora.

— Najpierw muszę pani powiedzieć, rzekł na to Jacek — że do zupełnego zrozumienia autora nie jest do-

statecznem jedną jego książkę przeczytać, ale jeżeli nie wszystkie, to trzeba przynajmniej z jego głównemi dziełami dobrze się obeznać. Dlatego jeżeli pani chcesz zrozumieć Jana Jakóba Rousseau, to odczytaj pani jego *Contrat social* i *Emile*, bo tam jest zamknięta cała dusza jego.

— *Contrat social* już dawniej czytałam, *Emila* dzisiaj zaczęłam.

— A więc o cóż chodzi? Teraz tylko cierpliwości cokolwiek, a dobra znajomość będzie niebawem zabrana. A jak pani to skończysz, weź pani jego *Confessions* do ręki...

— Kiedy mi to odradzono.

— I bardzo dobrze, jeżeli panią wzięto za taką czytelniczkę, jakimi są u nas zwykle kobiety. Ale ja, który zdaje mi się że panią znam i pojmuję cokolwiek lepiej od innych, nie odradzam pani tej książki. Pani tam znajdziesz wiele cynizmu, wiele nawet tego niemiłego wrażenia, które nas zwykło przejmować wtedy, kiedy się przypatrujemy ciemnym stronom tego świata i życia; ale pani się tem nie zepsujesz, swoich uczuć szlachetnych i pięknych nie oziębisz, a poznasz przez to nie tylko wielkiego autora, ale wielkiego człowieka.

— Ach! — mówiła na to Petryna z westchnieniem — jaką to panowie macie wyższość nad nami, choćby tylko przez same nauki!

— Wierz mi pani, że na tej drodze kobiety, jeżeliby tylko chciały, mogłyby nam zupełnie wyrównać.

— O! już co to, to trudno podobno. Ja się o tem najlepiej przekonywam właśnie przy czytaniu dzieł Russa. Za jego myślą, za jego wyobraźnią, za ledwie podobna doścignąć w biegu; a czegożby dopiero potrzeba było na to, ażeby go całkiem zrozumieć! Kiedym sobie dziś nad tem rozmyślała bez żadnych uprzedzeń, to przyznam się panu, że całkiem straciła nadzieję.

— I jeżeli ta nadzieja panią niepowrotnie zawiedzie — rzekł na to Jacek z uśmiechem — to niech pani się nie oddaje rozpacz.

Mało jest ludzi na całej ziemi, którzy gruntownie pojęli Russa. I to jest rzecz naturalna, bo ten człowiek nie

rozumiał częstokroć sam siebie, a przynajmniej jego duch cały jest stekiem samych przeciwieństw. Widzimy to z pism jego i jego życia. Zdawało mu się, że jest wyższym nad wszystkie próżności, a był sam próżnym bez granic. Nie-nawidził sofisteryi, a sam był największym sofistą. Pisał przeciwko umiejętnościom, a sam był najżarliwszym ich zwolennikiem. Był najsurowszym sędzią obyczajów, a napisał romans nadzwyczajnie zwodniczy. Powstawał żartobliwie przeciwko teatrom, a sam pisał opery i kazał je grywać. Napisał wzniósłe wyznanie wiary du Vicaire de Savoye, a powiada, że się dopiero wtenczas odrodził, kiedy przeszedł na protestantyzm. Lubił dzieci i pisał tak pięknie o wychowaniu, a swoich własnych pięcioro dzieci oddał do domu podrzutków.

— Ach! zmiłuj się pan — zawołała, wzdrygając się na to, Petryna — on, autor Emila, nieporównany Rousseau, oddał swe własne dzieci... ach! to okropność!

— Widzi pani, otóż takie sprzeczności znajdowały się w nim samym; jakże można mieć cokolwiekbądź z nim do czynienia, ażeby nie napotkać sprzeczności? O tem on sam nawet nie wiedział dokładnie, a to nie kto inny, tylko on sam o sobie powiedział te słowa: „*Mon caractère est efféminé et pourtant indomptable, flottant toujours entre la faiblesse et le courage, entre la molesse et la vertu; c'est ce qui m'a mis en contradiction ave moi-même*“. Takim był Rousseau w życiu i takim samym jest w swoich dziełach. W życiu nigdy nie można było zgadnąć jakim się go zastanie: wielkim czy małym? ugrzecznionym, czy grubijańskim? zamkniętym w sobie i tajemniczym, czy otwartym i szczerym, jak mędrce starego świata? — Kiedy go odwiedzali obcy, przyjmował ich najczęściej i wiele z nimi rozmawiał; a kiedy raz wszedł jakiś jego-mość do niego i powitał go słowy: *Monsieur, je suis votre très humble serviteur*; — odpowiedział mu bez ogródek: — *Mais je ne suis pas le vôtre*. — Kiedy cesarz Józef, pominawszy Woltera, jego odwiedził i zastawszy go przepisującego nuty, zawołał: — Jakto! tak wielki człowiek przepisuje nuty? — odpowiedział mu: — Tak jest!

chciałem Francuzów nauczyć myśleć, nie udało się; niech teraz śpiewają i tańczą. — Ale kiedy go raz pies pewnego możnego pana na ziemię wywrócił i uszkodził, i ten pan kazał zapytać, coby mógł za to dobrego uczynić dla niego? — kazał mu odpowiedzieć: Je lui demande, de renir désormais son gros chien à l'attache. — Tej odpowiedzi i Diogenesby się był nie powstydził. Ale znowu jakże dziecinne było to jego urojenie, kiedy przez kilkanaście lat był pewnym tego, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu! — Równie dziwną była i ta jego pretensya, kiedy przyznawszy się do tylu różnych słabości, a nawet do małej kradzieży w swoich Konfesyach, z temi konfesyami swojego życia śmiał stanąć przed Bogiem i zawołać: Voilà se que je fus! Qu'un seul dise, s'il ose, je fus meilleur! — Ale znów nie był małym, kiedy nie chcąc pogłównego płacić w Paryżu, odpowiedział na groźby egzekutorów: Eh bien! si l'on s'empare de mon lit, j'irai m'asseoir au pied d'un arbre j'y attendrai la mort. — To też Helwecyusz może nie bardzo się mylił, mówiąc o nim: Si Jean Jacques etait saint, que ferait-il de plus?

— Ach! — zawołała na to Petrynka z westchnieniem, wysłuchawszy Jacka z natężoną uwagą — jak to panowie umiecie czytać z pożytkiem! My tyle się książek naczytamy, tyle się napołykamy romansów, i wszystko to od nas się rozlatuje tak prędko, że prawie nie nie pozostaje nam z tego. Wielka różnica jest między czytaniem li z ciekawości albo dla zabicia czasu, a czytaniem pod dozorem takiego człowieka, któryby umiał zrobić dobry wybór pomiędzy książkami i zwrócić uwagę na rzeczy ważne i na koniec, objaśnić to, co jest trudnem do zrozumienia. Dlatego ja, jeśli komu zazdroszczę jego położenia, to tylko tym paniom naszym, które mają światłych mężów i w każdej chwili mogą z ich nauki i rozumu korzystać. Ciekawość do nauki i wiadomości z jednej strony, a z drugiej sama nauka i dobra chęć do jej udzielania, najpiękniejszy stosunek jaki być może na świecie!

— W samej rzeczy. Pani powiedziałaś rzecz piękną w tej chwili. Taki sam stosunek był pomiędzy mną i moim

ojcem, przez całą młodość moją. A o ileż taki stosunek musi być wznioślejszym, przyjemniejszym i słodszy, jeżeli prócz tego polega na wzajemnej miłości, na wspólności wszystkich losów doczesnych, na wspólnych nadziejach i całej przyszłości. Ale znów z drugiej strony pomyśleć sobie małżeństwo takie, gdzie żona nie tylko się niczego nie może nauczyć od męża, ale jeszcze...

— Ah! wie pan, to jest coś tak potwornego, że ja nie znam większej potwory na świecie. Gdyby mnie kiedy przyszło być żoną takiego męża, umarłabym ze samego wstydu do roku. Ale to nigdy nie przyjdzie, bo ja raczejbym poszła za najuboższego człowieka, a takiego, któryby moralnie górował nademną, niżeli za samego Krezusa nawet, a niższego umysłem i wykształceniem odemnie.

Kiedy to mówiła Petrynka, już ledwie kilka osób obcych było w salonie. Wstał więc Jacek i rzekł do pięknej siostrzenicy starosty, na którą już nie mógł patrzeć bez głębokiego wzruszenia:

— Z wielkim żalem wprawdzie, ale i ja już muszę się wynosić.

— Kiedy to takie nieszczęśliwe u nas zaprowadzenie — zawołała na to Petrynka — że do pół do dziewiątej w salonie naszym już jakby wymiotti. Ale chcąc być sprawiedliwym, to nie można o to mieć do wujowstwa pretensyi, bo za to przyjmują prawie codziennie. Ale... zdaje mi się, że teraz niema jeszcze dziewiątej.

— Niema jeszcze — rzekł Jacek — ale wypada mi pokazać się jeszcze pani starościnnie, z którą zaledwie wymienilem dwa słowa.

— Niech pan idzie do cioci — rzekła poufale Petrynka — a ja się tam do państwa przysiadę. Tylko jeszcze pana zapytam — dodała ciszej — czy pan będziesz we środe u chorego?

— Najniezawodniej — odpowiedział Jacek z wdzięcznym ukłonem i poszedł w ten kąt salonu, w którym starościna dwom damom podeszłym i jakiemuś kontuszowemu jegomości opowiadała bardzo ciekawe rzeczy o Włoszech.

ROZDZIAŁ X.

Dzień ten, któryśmy opisali w poprzedzającym rozdziele, dzień, w którym jakby ze sobą zmówieni, i Węgierski i pani wojewodzina mińska usiłowali zakochanego młodzieńca odwieść koniecznie od domu Jaorlickiego starosty, był dla panny Petryny w jej nowo zawiązanych stosunkach dniem prawie krytycznym; ale obrotna w swej kokieteryi i konsekwentna w swoim postępowaniu dziewczyna, lubo nie wiedziała wcale, jakie jej w dniu tym groziło niebezpieczeństwo, nietylko wyszła zwycięsko z tej kryzys, ale nawet jeszcze daleko głębiej wkorzeniła się w serce swojego konkurenta, niżeli w niem dotąd siedziała.

Tego wieczoru Jacek już tak rozmarzony powrócił do siebie, jego cała istota tak była przepełnioną miłością i mocnem przedsięwzięciem poświęcenia się dla Petryny, że już żadna siła ludzka nie potrafiłaby była zwrócić go z obranej drogi, a wszelkie przeciwności obudzałyby były w nim tylko tem większą energię.

Wszakże przeciwności żadne się nie objawiały dotychczas i w dalszym czasie wszystko mu szło jak najlepiej.

Jacek stał się prawie cowieczornym gościem w domu starostwa.

Starosta przyjmował go zawsze z uprzedzającą grzecznością, zawiązał z nim stosunek otwartej przyjaźni, a nie dając mu nigdy powodu do najmniejszych względem siebie podejrzeń, obudził w jego pocziwem sercu szczerzy i nieodmienny szacunek dla siebie. Jacek byłby był gotów bić się do ostatniej kropli krwi za tak prawego i szlachetnego człowieka, jakim był w jego oczach wuj panny Petryny.

Starościna postępowiała z nim zupełnie odpowiednio postępowaniu męża. Jacek w niej widział prostą i małego wykształcenia kobietę, nie mógł nawet nie widzieć jej niektórych śmieszności, ale znachodził w niej zdrowy rozsądek, pocziwość, szczerłość, otwartość, co wszystko razem wyrobiło w nim serdeczną sympatyę dla tej kobiety, która

nie zaniedbywała nigdy okazywać mu swojej przyjaźni, a nawet pewnego, odznaczającego od innych, szacunku.

Prócz tego wszakże znalazł sobie Jacek, który wszystko co piękne i dobre z zapalem uwielbiał, i inny powód jeszcze, dla którego szczególnie ukochał to poważne małżeństwo. Tym zaś powodem był wzajemny stosunek tych państwa do siebie, który manifestując się ze wszystkimi swymi odcieniami przy wszystkich, był tak tkliwym i czułym; starosta dla swojej żony tyle okazywał miłości a nawet uległości, ona zaś dla niego tyle miała przywiązania i tyle szacunku, że Jacek, patrząc na nich, nieraz wzdychał z głębi swojego serca z radości, że pomiędzy nim i Petrynką kiedyś także nie może być inny, jak tylko taki sam stosunek serdeczny i takie same szczęście do grobu.

W całym jednak postępowaniu obojga wujostwa przeciwko niemu jedna rzecz drobna bardzo mu się nie podobała. Tą zaś rzeczą drobną nie było co innego, jak tylko to, że kiedy Jacek znajdował się u nich, oboje prawie z oka nie spuszczaali swej siostrzenicy. Starościny baczność mniej mu się dawała uczuwać, bo starościna siadywała zdaleka i tylko niekiedy okiem rzuciła na siostrzenicę; ale starosta był niezmordowany w śledzeniu, w niektórych chwilach co minuta na nich spoglądał, a czasem nawet przysuwał się umyślnie tak blisko, ażeby mógł ich podsłuchać. Wogóle zaś, jeżeli dało się tak wykierować, ażeby Jacek nie został sam na sam z Petrynką, to zawsze to jakoś wykierował starosta, a czasem nawet otwarcie ich zawezwał, ażeby się złączyli z towarzystwem, bawiącym się w salonie. To było arcynudne dla Jacka i zaraz niecierpliwiło go do tego stopnia, że już się miał na to przed Petrynką uskarżyć i o jakiś środek zaradczy przeciwko temu ją błagać; Petrynka nie dopuściła nigdy do tego, ale mu dawała do poznania, że go rozumie i wtórowała mu niemem, ale bardzo wymownem westchnieniem.

O zachowaniu się Petryнки względem zakochanego i otwartego już konkurenta, nie potrzebujemy rozpisywać się długo, albowiem każdy to zgadnie, że jej postępowania-

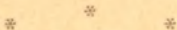
nie było jak najściślej odpowiednie zrobionym przez nią początkom. Jacek znajdował w niej coraz piękniejsze przymioty umysłu i serca. Szczerłość, otwartość, dobroć, szlachetny zapał dla tego wszystkiego co dobre i piękne, niepowściągnięty wstręt od każdej niecnoty, od wszelkiego fałszu i kłamstwa, uczucia pełne miłości, religii i poświęcenia się, a do tego dosyć bystre pojęcie i umysł wykształcony, obrotny: owóż główne przymioty, które w rozmowach swoich zdradzała Petrynka, a którym wierząc młodzieniec jak pismu, z każdym dniem wzrastał w miłości i uwielbieniu dla tej nieporównanej i niepokalanej istoty. Co zaś najwięcej go ujmowało dla niej, to jej szczególniejsza gibkość moralna, z jaką umiała trafiać we wszystkie jego własne uczucia i przekonania, i ta szczerza siostrzana otwartość serca, z jaką mu się spowiadała ze wszystkich swoich najdrobniejszych uczuć i myśli, szukając u niego współczucia, pociechy i rady. Wprawdzie w tych zajmujących dla niego rozmowach Petrynka szczególniejsze czasem dawała kominki; kiedy Jacek wpadł w zapał i już tylko co miał z najgorętszym oświadczeniem miłości wybuchnąć, umiała go zawsze tak zręcznie powstrzymać i zaraz ochłodzić, że oświadczenie musiało koniecznie się zatrzymać do jutra; nieraz nawet osobliwsze jakieś zdradzała kaprysy, — ale któż nie wie, jak zakochanym są miłe w kochankach kaprysy! a chociaż czasem niemiłe, jak one zawsze tylko jeszcze tem większą wzniecają miłość i tem mocniejszym węzłem przywiązują wszystkie myśli do kapryśnej oblubienicy!

Kaprysy więc wcale nie tamowały miłości, owszem, nawet jeszcze przez nie tylko tem ściślej się stawał ich wzajemny stosunek. Co widząc, Jacek czuł się najszczęśliwszym ze wszystkich ludzi. Szczęście jego nawet zgola opisać się nie da, bo był on niem tak cały zajęty, że już o wszystkim innem zapominał. Z najgłębszą tkliwością przywiał on się do czarującej go z każdym dniem więcej Petryny, a wszystkie jego uczucia i myśli krążyły li tylko koło tej przyszłości, w której Petrynę będzie mógł uczynić najszczęśliwszą na ziemi. Przygotowując się za-

wczasu do tego upragnionego celu, starał on się wybadywać wszystkie jej gusta, wszystkie upodobania i przyzwyczajenia, i wedle nich z największą sumiennością układał sobie plany całego życia i całego urzędującego się na przyszłość. A ponieważ po ślubie chciał w Warszawie zamieszkać, więc te plany już nawet wykonywał pomału, ścigał gotowizny z banków, zamawiał sobie pośrednictwo kupców do sprowadzania powozów i mebli z Gdańska, porcelany z Saksonii, posprowadzał srebra swoje ze wsi i kazał je w Warszawie przerabiać; kosztowności pozostałe po matce mieniał na inne modniejsze, a we wszystkim zawsze naprzód zręcznie wybadywał gust panny Petryny i cieszył się jak dziecko, że, stosując się nawet w najmniejszych rzeczach do jej upodobania, kiedyś jej będzie mógł oddać dom taki, jakby ona sama go urządziła.

Pomimo to wszakże, jakeśmy o tem wspomnieli powyżej, ostatniego oświadczenia jeszcze nie robił, a będąc pewnym że je będzie mógł zrobić każdej chwili, żył tem szczęściem, które się składa z najpełniejszej miłości i najpełniejszej nadziei, a które podobno nie ma sobie równego na ziemi.

I tak minął ostatek karnawału, i wielki post mijał, i już się zbliżała Wielkanoc.



Ale tymczasem, kiedy Jackowi tak się wiodło w jego sprawie miłosnej, z innej strony zaszły okoliczności, które mniej były pomyślne, a które były następujące.

Oto od kilku dni zaczęły go dochodzić jakieś głuche, ale zarazem i dosyć dziwne wieści o hołobuckiem starostwie. Nie można było z tych wieści nic wyrozumieć pewnego, ale ze wszystkich razem zdawało się, jakoby to starostwo rzeczywiście leżało gdzieś *in partibus infidelium*, albo jak gdyby całkiem nie istniało na świecie. Jacek tym wieściom nie mógł wierzyć na żaden sposób, bo miał nie tylko nadanie opatrzone podpisem i pieczęcią królewską, ale miał inwentarze i nawet małą mapę tego starostwa;

wszakże zawsze go to zaniepokoiło do tego stopnia, że postanowił jak najprędzej się coś o tem pewnego dowiedzieć. Jednakże to mu się nie udało tak łatwo, bo od czasu jak się zaczął i kochać i starać, i widział że mu tego ogólnie nikt nie pochwała, odsunął się był trochę od świata. Żył z wszystkimi jak dawniej i wszystkim się równo udzielał, ale nikogo nie przypuszczał do żadnej poufałości ze sobą, przez co oczywiście na teraz i sobie samemu zagroził drogę do poufalego zapytania o właściwy stan hołobuckiego starostwa. Kto inny na jego miejscu byłby pomimo to przecież kogoś wynalazł takiego, od któregoby mógł być się coś stanowczego dowiedzieć, ale on był zanadto ambitnym na to i wołałby był sam do Hołobuków pojechać, niżeliby miał prosić kogoś choćby o najmniejszą przysługę.

W takiej niepewności a przy ciągłym rozgłaszaniu się tych wieści, minęło mu po Wielkiejnocy jeszcze parę tygodni.

Aż dnia jednego wieczorem było zgromadzenie męskie u pana Kurdwanowskiego młodego, który był Jacka rówieśnikiem i bardzo dobrym jeszcze ze szkół pijarskich przyjacielem. Miał on dobra znaczne na Rusi, które niedawno odziedziczył po babce, ale teraz właśnie co wracał z Paryża i mając zaraz z wiosną jechać odbierać te dobra, przez resztę zimy bawił w Warszawie. Młody, bogaty i zabawę lubiący, dawał u siebie częste zgromadzenia wieczorne, które na modę paryską zaczynały się dopiero po teatrze lub innych statecznych wieczorach, a bawiąc gości grą i dobrymi winami, trwały często do rana.

Zaproszony Jacek na zgromadzenie dzisiejsze, przyjechał już dobrze po jedenastej godzinie. Było ze trzydziści osób zebranych, po największej części młodzieży, albo takich, którzy w grze i innych wesołych zabawach lubili trzymać spółkę z młodzieżą. Wieczera dopiero co się skończyła, a na jej miejsce postawiono stół duży, suknem zielonem nakryty, za którym siedząc, generał Rozdrażewski, jeden z najsławniejszych graczy owego czasu, ciągnął bank faraona. Wszyscy zaś, obstąpiwszy stół, sta-

wiali stawki swoje, które od dziesięciu, dwudziestu, sięgały czasem do tysiąca czerwonych złotych a nawet i wyżej, bo grube gry bywały naówczas w Warszawie i miano to sobie za jakąś szczególniejszą ambicyę przegrać lub wygrać kilkadziesiąt tysięcy jednego wieczora. Ambicya ta nawet dochodziła do tego stopnia, że się stała więcej jak modą; a kto w karty sum znacznych nie ryzykował, ten nie mógł mieć żadnej wziętości u owoczesnej młodzieży.

Jacek, ani do gry przyzwyczajony, ani ją namiętnie lubiący, jak tylko mógł, zawsze się od niej uchylał; jakoż i tutaj wszedłszy i powitawszy się z gospodarzem, zdaleka stojąc od stołu, zabawiał się z nim i innymi niegrającymi rozmową. Ale komu nie brakowało na pieniądzach, temu także nie brakowało na zaprosinach; więc i do niego odezwał się niebawem bank ciągnący generał:

— A mój Jacuś kochany do galeryi będzie należał?

Generał posiadał w Wielkiej Polsce dwie wsie: Grońówkę i Górkę, które kupił, ba! nawet wygrał od księcia Antoniego Sułkowskiego i stamtąd jeszcze znał Jacka od małego dziecięcia.

— Choćbym chciał się przystawić — rzekł na to Jacek — tobym nie mógł, bo nawet i miejsca niema przy stole.

— Rzeknij tylko słowo choćby i z drugiego pokoju — zauważył generał — to także wystarczy.

— Kiedy już tak koniecznie, to dama pięćdziesiąt dukatów — rzekł Jacek.

— Zapewne blondynka! — odezwał się w ten moment głos jakiś z tłumu.

Jacek spojrział w to miejsce, skąd głos dał się słyszeć i zobaczył stojącego pomiędzy innymi jakiegoś szlachcica, który mu był całkiem nieznajomy.

Był to człowiek niskiego wzrostu, zbudowany potężnie, mogący mieć około trzydziestu i kilku lat wieku, jasny, prawie popielaty blondyn, z sumiastymi jak miotły wąsami i z czarnemi oczyma, pełnemi ognia i blasku. Miał na sobie karmazynowy sukienny kontusz i żupan złoty lamowy, pas piękny bawoli, na ręku kilka błyszczących

pierścieni, brylantową spinkę pod szyją, lecz zamiast równie bogatej karabeli, miał tylko szmelcowaną czeczugę u boku.

Zadziwiło to Jacka, coby jakiś nieznajomy człowiek miał się do niego z przekazami odzywać, ale nie chcąc żadnej burdy niepotrzebnie zaczynać, spojrzał tylko na niego i napowrót się do stolika odwrócił. Tymczasem zaś rzekł do niego generał:

— Dama twoja, kochany Jacku, wygrała. Czy wypłacić?

— Nie, parol — rzekł Jacek.

Ale ledwie generał raz rzucił karty, dama znowu wygrała.

— A! cóż też za damę szczególniejszą sobie wybrałeś! — zawołał generał.

— Doskonała! — rzekł na to z takim samym przekazem ów szlachcic — daleko lepsza niż hołobuckie starostwo.

Tego już było nadto Jackowi. Zerwał się więc jak oparzony, przystąpił do owego szlachcica i zmierzwszy go wzrokiem surowym a dumnym, rzekł ostro:

— Mości panie! przycinków żadnych nie znoszę od znajomych, a tem mniej od nieznajomych. Kto waćpan jesteś?

Ale szlachcic na to popatrzył z dziwnem szyderstwem w twarz Jacka, rozparł się w boki i odpowiedział dobitnie:

— Mości panie! ja jestem hołobucki starosta.

— Jakto! — krzyknął Jacek na to — toż przecie mi się zdaje, że ja jestem hołobucki starosta!

— Nie, panie — odpowiedział szlachcic szyderczo — bo panu się tylko tak zdaje; to rzeczywiście ja jestem hołobucki starosta.

— A! wiecie państwo! — zawołał Jacek — to przechodzi wszelkie pojęcie!

— Ale cóż tam! to rzecz prosta — rzekł na to gospodarz, przystępując do nich, i dodał wskazując na owego szlachcica: — to jest starosta hołobucki realny, a to

jest starosta hołobucki nominalny, — i przytem wskazał na Jacka.

— Proszę cię, co to jest takiego? — rzekł na to Jacek, zaledwie mogąc odetchnąć, i wzięwszy gospodarza pod ramię, wyprowadził się z nim do przyległego pokoju.

— Mój Ignasiu, co to jest takiego? kto jest ten szlachcic, który się mianuje hołobuckim starostą? — pytał Jacek z niecierpliwością, znalazłszy się sam na sam z swoim przyjacielem w przyległym pokoju.

— Ja ci najmniej o tem powiedzieć mogę — odpowiedział młody Kurdwanowski — bo tu, jak widzę, jakieś szkaradne bałamuctwo zachodzi. Tyle wszakże wiem z wszelką pewnością, że ten szlachcic jest to pan Łęski, a hołobuckie starostwo posiadał jego dziad jeszcze, posiadał ojciec i on je posiada.

— Ale zmiłuj się, to nie może żadnym sposobem być! bo przecież ja mam pisemne nadanie tego starostwa, wydane po wszelkiej formie i nawet powiedziano wyraźnie, że mogę je objąć natychmiast.

— To już ja nie wiem jak się to stało — rzekł na to Kurdwanowski — ale że on to starostwo rzeczywiście posiada, wiem z największą pewnością, bo przecież majątek mojej babki a teraz już mój własny leży tylko o jedną wiorstę od Hołobuków; bawiąc nieraz u babki, widywałem tych panów Łęskich i nawet jego ojca jeszcze pamiętam, zawsze siedzieli na Hołobukach i on dzisiaj tam siedzi.

— No, więc cóż w tem jest? tożby mnie mieli oszukać? — rzekł Jacek.

— Nie, to być nie może — odpowiedział na to Jacek przyjaciel — ale tu jakieś inne nieporozumienie zachodzi; może to inne jakie są Hołobuki?

— Ale nie, na Rusi, a właściwie na Podolu, pomiędzy Smotryczą i Dnieprem, niedaleko Kamieńca...

— A! to te same. Ale wiesz co, najlepiej się zainformujesz o tej sprawie, jeżeli z nim samym pogadasz...

— Z kim! — krzyknął Jacek, nabiegając krwią cały —

z tym zadzierzystym szlachcicem?... ja z nim pogadam, ale w inny sposób!...

To mówiąc, sapał mocno, bo był do głębi wzburzony. Ale się opamiętał w ten moment i rzekł:

— Proszę cię, mój Ignasiu, czy cię wiążą jakie osobliwe stosunki z panem Łęskim?

— Ale żadne zupełnie. Jedyne jego stosunek do mnie jest ten, że przyszedł niezaproszony na wieczór...

— Piękna figura! — rzekł Jacek. — Proszę cię więc, jeśliś łaskaw, o stateczną przyjaźń dla mnie, bo może właśnie w tej sprawie będę potrzebował twej łaski, zwłaszcza że mieszkasz tak blisko od Hołobuków.

— Ale owszem, proszę cię, uważaj mnie nie jak przyjaciela, ale jak brata, który ci otwiera i dom swój i serce, i pójdzie z tobą choćby do piekła.

— Dziękuję ci bardzo — odpowiedział Jacek, ściskając go z uczuciem za rękę, i wyniósł się zaraz innemi drzwiami do sieni, ażeby już nie przechodzić przez tę salę, która była napełnioną gośćmi, skorszymi do szyderstwa i naigrawania, niżeli do współczucia i przyjacielskiej pomocy.

Pomimo to że jeszcze nie było rzeczą pewną, czy Jacek w istocie został oszukany na tem starostwie, czy tylko zaszła jakaś pomyłka, nie spał on jednak noc całą, a na drugi dzień rano zaraz pojechał do księdza Naruszewicza.

Na samym wstępie opowiedział on biskupowi rzecz całą i prosił go o wyjaśnienie tej sprawy szczególnej, która mu się w głowie nie mogła pomieścić.

Ale biskup przyjął tę wiadomość z nadzwyczajną goryczą, a każde jego słowo jawnie świadczyło o tem, że go to zwierzenie się w bardzo nieprzyjemny kłopot wprowadziło. Z początku nawet nie wiedział, jak i co mu ma odpowiedzieć. Mówił więc tylko, że mu żal jest niezmiernie, iż właśnie to starostwo zostało nadane Jackowi i po kilka razy go o tem zapewniał, że on do tego nadania niczem się nie przyczynił. Ale co do samego starostwa, nie dał mu żadnych dokładnych objaśnień, mówiąc:

— Wiem tylko tyle, że do tego starostwa rości sobie ktoś inny jakieś pretensye, wiem że te pretensye są całkiem niesłuszne, ale nie mogę i tego zaprzeczyć, że nim ktokolwiek inny do posiadania tego starostwa przyjdzie, będzie musiał przebyć nie małe trudności; bo był tu już taki, któremu to starostwo nadano, ale się go wyrzekł i wziął co innego. Gdybyś i waćpan tak był uczynił, nie byłbyś dzisiaj w żadnym kłopotcie; ja waćpanu to natrącałem zdaleka, ale nie chciałeś mnie wtedy zrozumieć, a dziś już być może zapóźno. Ale idź waćpan do kancelaryi królewskiej, to się tam dowiesz dokładnie o tej sprawie, a lubo tam około tego starostwa zachodzą trudności, toż u tych panów i na to może jeszcze się znajdzie ratunek.

Tyle się Jacek dowiedział od księdza Naruszewicza i z tem poszedł do kancelaryi królewskiej. Ale ksiądz podkanclerzy, pomimo całej grzeczności, przyjął go prawie tak, jakby napastnika. Nie powiedział tego wyraźnie, ale ze wszystkiego co mówił zdawały się mniej więcej wyglądać te słowa:

— Myśmy waćpanu nadali starostwo i żeśmy go prawie nadali, za to panu ręczę. Jeżeli przy obejmowaniu go w posiadanie doznasz jakich trudności, to nie bądź tak naiwnym, ażebyś im się dziwołał, bo takie objęcie nigdy się nie obchodzi bez niejakich trudności. Na wszelkie trudności zresztą są sposoby, a jeśli ci nie będą wiadome, to się o nich możesz dowiedzieć od pierwszego lepszego jurysty.

Tyle się znowu dowiedział Jacek od księdza podkanclerzego, ale jak się właśnie rzecz miała z hołobuckiem starostwem, jeszcze zawsze nie wiedział. Ale i na to znalazł on już teraz sposoby i pokręciwszy się pomiędzy urzędnikami, należącymi do składu tejże samej kancelaryi, w kilka minut odpytał takiego, który mu przyrzekł w jak najkrótszym czasie dać dokładną o tej sprawie relację.

We dwa dni potem Jacek wszystko już wiedział, i rzecz ta miała się w samej rzeczy jak następuje:

Starostwo hołobuckie jeszcze za panowania Augusta III-go,

a mianowicie przed laty czterdziestu i trzema, zostało nadane urodzonemu Hieronimowi Łęskiemu, jeszcze dziadowi dzisiejszego Łęskiego, za położone zasługi około oblężenia Gdańska i utrzymania porządku przy cłach tamtejszych, — prawem emfiteutycznem na lat pięćdziesiąt. Syn jego, jmé pan Jakób Łęski, odziedziczył po nim to starostwo i trzymał je w posiadaniu przez całe życie. Posiadanie to nawet było prawnem z początku; ale pan Jakób Łęski, częścią za zasługi położone w wojnie przeciwko konfederacyi barskiej, częścią za protekcyą jednego z mocarstw postronnych, uzyskał z czasem hruszowickie starostwo, które mu nadanem zostało pod tym warunkiem, ażeby się zrzekł Hołobuków. Pan Jakób napisał takie zrzeczenie się, Hruszowice objął i dzierżawą wypuścił, ale pomimo to z Hołobuków wcale się nie ustępował. Czy to była nieuczciwość umyślna z jego strony, czy tylko zadaleko posuniona ostrożność, trudno powiedzieć z pewnością; to wszakże pewna, że pan Jakób wskutek nowego rozgraniczenia kraju, hruszowickie starostwo rzeczywiście utracił, a kiedy się o nie upominał u władzy właściwej, kazano mu się trzymać starostwa hołobuckiego. Rzeczpospolita wszakże była w tej sprawie zupełnie innego zdania, a posiadając jego pisemne zrzeczenie się hołobuckiego starostwa, upominała się o to starostwo; a kiedy pan Jakób temu upomnieniu się zadość nie uczynił, wytoczono mu proces. Ale *beatus possidens*, a mający jeszcze do tego protekcyę, z procesem jeszcze gorzej sobie postąpił, bo nawet się całkiem nie bronił. Skutek tego procesu był taki, że zapadł na niego wyrok *in contumaciam*. Ale wiadomo każdemu, jak daleko było w dawnej Polsce od wyroku do wykonania; w tej sprawie zwłaszcza, gdzie w zasądzonym widziano upór i okoliczności, kazały się tego domyślać, że w razie użycia przemocy, mogłoby przyjść do bardzo nieprzyjemnych nieporozumień, nie myślano zupełnie o wykonaniu wyroku; wyrok więc wisiał, a pan Jakób siedział na hołobuckiem starostwie, jak gdyby nic nigdy nie było. W kilka lat potem pan Jakób umarł, a w jego miejscu syn jego, pan Krzysztof Łęski, ten sam, któregośmy widzieli na wieczorze u pana

Kurdwanowskiego, objął starostwo. Kiedy się o tem dowiedziano w Warszawie, myślano że teraz da się już bez żadnych trudności odebrać to nieszczęsne starostwo. Ale pan Krzysztof był we wszystkim nieodrodnym synem swojego ojca i nie tylko zapowiedział że starostwa hołobuckiego nie odda, ale upomniawszy się na nowo o Hruszowice i odebrawszy sam taką samą jak ojciec odpowiedź, co do posiadania Hołobuków także taką samą zapewnił sobie protekcyę. Przykro to było bardzo królowi, że w wykonaniu swoich praw słusznych doświadczał takiego uporu, obawiając się wszakże i teraz jeszcze, w razie użycia przemocy, jakich nieprzyjemnych kolizyj, postanowił w tym razie użyć sztucznego pół-środka, co było ulubionym i bardzo często używanym manewrem tego monarchy. W tym celu nadał on to starostwo jednemu z możliwych panów, a to nawet takiemu, który nie tylko miał dosyć siły, ażeby się na przemoc odważyć, ale w razie potrzeby także mógł mieć protekcyę. Ale i ten pan nawet, rozważywszy możliwe zyski i straty, uznał za najlepsze rzec się poprostu tego starostwa, które tym sposobem do dziś dnia zostawało w posiadaniu pana Krzysztofa Łęskiego.

Takie były koleje i taki był stan dzisiejszy hołobuckiego starostwa, — i to starostwo konferowano jmc panu Jackowi Jahołkowskiemu, za zabrane mu skarby naukowe i archeologiczne.

Kiedy się Jacek dowiedział o tem, niewiele potrzebował czasu na to, ażeby tę zawikłaną sprawę rozsądzić. Porywczy we wszystkim, a więc i w sądach, młodzieniec wydał odrazu wyrok stanowczy, że jmc pan Łęski jest uzurpator pierwszego rzędu, że się buntuje przeciwko woli królewskiej, że jest nieprzyjacielem kraju i nie ma najmniejszego prawa do Hołobuków. Nie będziemy się tutaj rozwodzić nad tem, o ile Jacek w swoim zdaniu miał słuszość, a o ile jej nie miał; to wszakże nam dodać wypada koniecznie, iż na jego zdanie wpłynął przeważnie sam jmc pan Łęski, który nie tylko z samej powierzchowności bardzo mu się nie podobał, ale jeszcze do tego wspominał z przekąsem o jakiejś blondynce, którą nie

mogła być żadna inna, jak tylko ubóstwiona Petryna, a czego mu w żaden sposób nie mógł zapomnieć. W krótkich więc słowach postanowił sobie koniecznie dać porządną temu szlachcicowi nauzkę i tym albo owym sposobem ze starostwa go wyrugować.

Tak usposobiony, pojechał zaraz do młodego Kurdwanowskiego. Kto tylko pamięta te słowa, któremi ten młody kawaler pożegnał Jacka, wychodzącego od niego z wieczoru, temu nie trzeba powiadać, że dowiedziawszy się teraz o jego przedsięwzięciu, dodał tylko jeszcze więcej oliwy do jego ognia.

— A! to kapitalna historia! — zawołał on, zacierając ręce z radości — *je ne demande pas mieux* na początek mojego gospodarstwa na Rusi. Zrobimy sobie zajeżdżik, ale to taki, żeby o nim było słyhać od Kudaku aż do Połagi. I zobaczysz, jak nam się to uda wybornie. Łęski jest nienawidzony powszechnie, cała szlachta z nami się złączy. Kamień na kamieniu się nie zostanie, a niech go tam sukursuje kto chce, zbijemy w puch wszystko, żeby *nec nuntius* nie został! Poczekaj, panie Łęski, ja ciebie nauczę, jak to przychodzić do mnie bez zaproszenia!

— Albo i to, proszę ciebie! — rzekł Jacek — cóż to jest za maniera? Karczma — to, dom twój, czy rynek publiczny? I jeszcze mi docina jakąś blondynką!... ja tobie dam za blondynkę, że mnie popamiętasz do śmierci.

— Hołobucki starosta! — zawołał znowu z kolei gospodarz — jaki mi starosta! Ty masz przywilej z podpisem i pieczęcią, jesteś już w metryki wciągnięty, cały świat cię tytułuje *in vim* tego nadania, a on tobie śmie w oczy powiadać, że on jest hołobuckim starostą!

— I jeszcze z jaką miną, z jaką ironią! — zawołał Jacek — czy uważałeś to, mój Ignasiu? jak mnie Bóg miły, mnie się wszystka krew ścięła. Gdybym był nie szanował twojego domu, byłbym go zaraz położył na miejscu.

Konwersacya w tym tonie, z niezmierną stron obu-
dwóch radością, trwała jeszcze czas długi, poczem przystąpiono do ułożenia całego projektu, co, jak i kiedy miało

się wykonać. Ale jak się ci młodzi panowie nie zastanawiali długo nad samą rzeczą, tak też w momencie i cały plan ułożyli. Stało się więc na tem, że pan Ignacy miał już za dni kilka wyjechać do siebie do Czerceżowa, tam miał przygotować wszystko co trzeba i przysposabiać umysły szlachty do zamierzonego zajazdu, w którym to celu już tutaj miał nakupić broni, dobrego wina i wziąć jak najlepszego kucharza ze sobą. Jacek miał jeszcze w Warszawie pozostać, posprowadzać od siebie broń, konie i kilku wierniejszych ludzi, a tak zaopatrzony we wszystko miał najdalej w pierwszych dniach maja stanąć w Czerceżowie na miejscu.

Na tem stało i z tem się przyjaciele rozeszli.

Kiedy Jacek powrócił do siebie, był kontent niezmiernie. Nie chodziło mu tutaj tak bardzo o odzyskanie tego lichego starostwa, bez którego mógł się być obejść nakoniec, ale postawić na swoim, niesłusznie zaprzeczone sobie prawo odzyskać, zemścić się na uzurpatorze i gwałcieliu, pozamykać usta nieprzyjaciółom i nienawistnym szydercom, a nakoniec niebezpieczeństwa, walki jakieś, zajazdy: owóż były rzeczy, które się nadzwyczajnie podobaly młodemu Jackowi i z których był kontent niezmiernie.

Jednakże kiedy tak się oddawał swojej chwilowej radości, przyszła mu myśl, która go zasmuciła. Powodem zaś do tej myśli nie był kto inny, jak tylko panna Petryna.

— Ja się tu cieszę, ja się w radości unoszę — mówił on smutnym głosem do siebie — a zapominam o tem, że ja już nie należę do siebie. *Ona* jest panią moją, *ona* moim aniołem-stróżem, ja *jej* tylko powinienem wypełniać rozkazy i tylko tem się cieszyć, co *jej* przynosi pociechę. A cóż ona powie na to wszystko?... Ona się tem pewnie niezmiernie zasmuci, że takie przeciwieństwa zaskoczyły mi w drogę. Ona się tem jeszcze więcej zasmuci, że ja dla marnego starostwa chce się na takie niebezpieczeństwa narażać. Ona mojego postanowienia pewnie mi nie pochwala, ona nie każe mi się rzucać ślepo na los walki nie-

pewnej, ona mnie zechce od mego przedsięwzięcia odwrócić! Tak, ona jest kobietą, ona mnie kocha, ona nie może, nie potrafi inaczej postąpić!.. I cóż ja wtedy nieszczęśliwy uczynię? Ach! jak to nierozsądnie zrobiłem, żem sobie w tem tak porywczo postąpił, żem jej pierwszej nie zapytał o zdanie!

Tak mówił do siebie Jacek, i bardzo był niespokojny.

Z największą niecierpliwością wyczekiwał on tej godziny, w której będzie mógł do wujowstwa Petryny pojechać, a jak tylko zmrok zapadł i zaczęła się zbliżać zwykła pora herbaty, wskoczył do powozu i kazał pędzić na Podwale do pana starosty.

ROZDZIAŁ XI.

Starosta jaorlicki pod ową porę właśnie wyjechał był do dóbr swoich na Ruś, a starościna pod jego niebytność nie przyjmowała tylko raz na tydzień. O tem wszakże Jacek jeszcze nie wiedział, bo starosta dopiero był przed kilku dniami wyjechał i prosząc go, aby pod niebytność jego o jego domu nie zapomniał, o tej nowej etykiecie wcale go nie zawiadomił. Kiedy więc niecierpliwy widzenia Petryny młodzieniec wpadłszy do przedpokoju, usłyszał od służącego słowa:

— Pani starościna przeprasza — to stanął nagle jakby piorunem rażony i całkiem sobie nieprzytomny do powozu powrócił.

Cała noc przeszła mu na najnieznośniejszych domysłach i owem samowolnem męczeństwie, o którym kochankowie tak wymownie umieją rozprawiać, a którego potem zapominają tak łatwo.

Nazajutrz wieczorem znowu do starościny pojechał, ale znów w przedpokoju taką samą odebrał odpowiedź. Wprawdzie, gdy wsiadał do powozu, to w oknie pomiędzy kwiatami widział na własne oczy smętną twarzyczkę

Petryny, która z dziwną tęsknotą zdawała się spoglądać na niego i z nieopisanym wdziękiem kłaniała mu główką; ale to go wcale nie zaspokoilo i dziwnie zwarzony do siebie odjechał.

Tego wieczora już mu nie myśleć było o jakimkolwiek innem zajęciu, bo już go najszkaradniejsze dręczyły domysły, które zrodziły w nim taki niepokój, że jego dusza się rozdzierała i serce mu się krwawiło w boleści. Nie mogąc temu niepokojowi w inny sposób zaradzić, a mając nadzieję dowiedzenia się czegoś koniecznie, poleciał jeszcze dnia tego do pani kasztelanowej warszawskiej, gdzie prawie ciągle siedział kasztelanie Konarski-Łęczycki i do innych kilku domów jeszcze, które żyły w blizkich ze starościną stosunkach. Ale na jego nieszczęście kasztelanie właśnie był na wieś wyjechał, z kasztelanową nie można się było dogadać, a z dalszymi o tyle mniej jeszcze. Wszakże przyjechawszy już późnym wieczorem do pani wojewodziny mińskiej, dokąd już sam nie wiedział dlaczego pojechał, zastał tam pana chorążego, który go natychmiast pociągnął ze sobą pod okno i rzekł mu:

— Mam do ciebie zlecenie.

— Miło mi będzie je spełnić.

— Bardzo wierzę, że miło — bo to zlecenie względem ciebie samego.

— Nie rozumiem tego.

— Rzecz bardzo prosta. Byłeś w pewnym domu wieczorem, gdzie cię nie przyjęto, ale nie można cię przyjąć, bo pod niebytność gospodarza nie przyjmują tylko raz na tydzień, a dla ciebie nie mogą robić wyjątku, boby tem łatwo innych gości mogli sobie obrazić. Dla ciebie wszakże ten robią wyjątek, że cię zawsze w dzień przyjmą.

— Bardzo panu chorążemu dziękuję — rzekł na to Jacek z niewymowną radością — ale kiedy pan chorąży jesteś tak łaskaw na mnie, to śmiałybym jeszcze zapytać, czy to z senatu przyszła ta wiadomość? czy z izby poselskiej?

— Nie, nie z senatu — odpowiedział chorąży —

a jeśli mnie nie wydasz, to ci powiem otwarcie, że Petrynka była dziś u mojej żony, wpadła do mnie i prosiła mnie, abym ci to powiedział.

Można sobie wyobrazić z łatwością, jaka radość na tę wiadomość objęła Jacka. Nietylko bowiem wszelkie powody do powątpiewania zostały odrazu zmazane, ale jeszcze się zjawił i nowy dowód przywiązania Petrynki.

Nazajutrz ledwie się mógł Jacek doczekać południa. Jak tylko uderzyła dwunasta, jego powóz już stał przed domem starosty. Kiedy wszedł do salonu, zastał starościnę w kąciку, na jej zwykłej kanapce; odprawił się więc z nią jak najprędzej i zaraz zbliżył się do Petryny, która siedziała przy stole i była zajęta jakimiś szeroko porozkładanemi kanwami.

— Ja myślałam, że pan nam już całkiem przepadłeś — rzekła ona do niego, patrząc nań z wyrazem smutku i niby lekkiego wyrzutu.

— Ach! zmiłuj się pani, jakże można było myśleć coś podobnego! Nademną czuwają teraz wszyscy aniołowie i ręczę pani że mi włos z głowy nie spadnie.

— Pomimo tego czuwania, przecież pan miałeś jakieś zgryzoty.

— Czy pani wiesz o nich?

— O! wołałabym była nie wiem co najgorszego się natomiast dowiedzieć — zawołała Petryna z tak głębokiem uczuciem żalu, że Jackowi o mało łzy nie stanęły w oczach.

— Pomimo to jednak — mówiła ona dalej — przyznam się panu, że właściwie nie dokładnego nie wiem i nawet nie mogę temu uwierzyć, ażeby się tak rzecz miała z tem nieszczęśliwem starostwem.

— Odemnie się pani dowiesz o tem najlepiej.

— Proszę pana, opowiedzże mi pan tę całą historią, bo mnie to niewymownie interesuje.

Tu Jacek opowiedział po kolei to wszystko, co dotyczyło hołobuckiego starostwa, nie wspominając wszakże nic o swoich postanowieniach na przyszłość.

— Widzi pan, widzi pan — rzekła, wysłuchawszy go

z uwagą Petryna — jakto nieprzezornem było przyjmować takie starostwo, o któremś się pan najprzód nie dowiedział wszystkiego. Oh! w jakichże szkaradnych żyjemy czasach! Nikomu już zgoła, zaledwie bratu rodzonemu, dziś wierzyć można.

— Zapewne — rzekł na to Jacek — pani masz słuszość zupełną. Ale powiedz mi pani, czy można się było czegoś podobnego spodziewać?

— Prawda — odpowiedziała Petryna z westchnieniem — tego nie można się było spodziewać. Ale cóż teraz, cóż dalej z tem będzie?

Tutaj znów Jacek opowiedział otwarcie i szczerze wszystkie swoje zamiary. Opowiadając, kręcił się bardzo i starał się wszędzie wykazać takiego postępowania konieczność, a im większa była jego obawa, ażeby nie obudził nieukontentowania w Petrynie, tem o silniejsze starał się na wszystko dowody. Ale jego obawa była płonną zupełnie, Petryna bowiem, jak tylko wyrozumiała, że Jacek chce mścić się, gwałtem praw swoich dochodzić, zajeżdzać, mordować, zabijać — aż się podniosła z wzruszenia na krzesło i zawołała z zapalem:

— Nie omyliło mnie moje przecucie! Tegom się spodziewała po panu!

Na te słowa, w sercu młodzieńca jakieś dziwne odezwowało się uczucie. Nie było to uczucie wprost przykrem dla niego, ale było mu tak, jak gdyby spojrzał na obraz i uderzyło go zeń coś przeciwnego. Kiedyby mu się to było zdarzyło z obrazem, byłby niezawodnie natychmiast obejrzał dokładnie wszystkie części obrazu i byłby to, co go tak uderzyło przeciwnie, w ten moment wynalazł; jakoż i tutaj, gdyby się był nad tym wykrzyknikiem Petryny zastanowił, byłby odkrył w ten moment całą nienaturalność takiego zapалу i całą jego sprzeczność z charakterem kochającej kobiety; ale Jacek był zanadto ślepym w owej miłości, zanadto gorąco wreszcie pragnął jej przyzwolenia na ową zemstę i zajazd, ażeby mógł być się zastanowić nad taką drobnostką. Stąd więc poszło, że owo dziwne jakieś uczucie, którego nierozumiał dokładnie, tylko

jak odbłask jakiś daleki zabłysło w jego sercu i zgasło, a natomiast opanowało go tylko uczucie radości, że Petryna tak zgodną z nim była we wszystkich myślach i zdaniach.

Panna Petryna atoli jednym rzutem oka dostrzegła, że swoim entuzjastycznym wykrzyknikiem niezupełnie takie wrażenie zrobiła na Jacku, jakie zrobić zamierzyła — zamieniła więc w oka mgnieniu grę swoją i zaczęła mówić w ten sposób:

— To jest bardzo smutno, to jest nadzwyczajnie boleśnie, że w tem życiu naszym nieraz takie zachodzą kolizye, że w nich trzeba aż życie samo narażać, ażeby się tylko przy swoim utrzymać! Cóż to za świat, co to za obyczaje, gdzie bezpieczeństwo swojej własności krwią trzeba opłacać!... O! czyż to na to pradiadowie nasi porzucili życie odosobnione, tułacze i pozawiazywali się w społeczeństwa, czyż na to pozakładali państwa, czyliż na to nakoniec oddali władzę nad sobą monarchom i starszyźnie narodu, ażeby każdy obywatel z osobna musiał stać ciągle na straży praw swoich?...

W tym tonie z coraz więcej wzrastającym zapałem mówiła Petryna przez długą chwilę, ale potem wróciła na powrót do swego założenia, a nakoniec dowiodła tak jasno, jak dwa a dwa cztery, że Jacek powinien krwawo się zemścić na uzurpatorze praw swoich, że powinien koniecznie posiąść to hołobuckie starostwo i że to jest jedyny środek dla niego zajęcia tego stanowiska w społeczeństwie jakie mu się podług praw wszelkich należy i na jakim jedynie od podobnych nieporozumień będzie mógł być wolnym na zawsze.

W dalszej rozmowie Petryna rozwinęła znów przed nim skutki, jakieby stąd mogły dla niego wyniknąć, gdyby musiał odejść z kwitkiem od tego starostwa, które mu tyle przyniosło zaszczytu — i znów mówiła bardzo ładnie i bardzo logicznie. Pomimo to wszakże cała ta krasomówcza operacya, jeżeli w sercu Jacka nie wywołała znowu jakiegoś przeciwnego uczucia, to przynajmniej nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, a niemogący przyjąć do

słowa młodzieniec, w końcu pomimowoli musiał się sam siebie zapytać: dlaczego mnie ona tak koniecznie do tego zajazdu namawia, którego zamiar ja sam bez jej rady powziąłem i od którego już za nic w świecie bym nie odstąpił?

Wkrótce wszakże rozmowa zwróciła się do innego przedmiotu, a wszystkie te myśli przelotne Jacka rozpie-rzchnęły się przed nawałem gwałtownego uczucia miłości, które coraz mocniej wzbierało rozkołysane serce młodzieńca.

Myśli te nawet nie wróciły już nigdy do jego głowy, ani w sercu jego nie odezwało się nigdy żadne uczucie przeciwne. Petryna bowiem odtąd już ani razu nie wspomniała o hołobuckiem starostwie, a zamiast namawiać swego adoratora do zemsty i krwi wylewu, odwrotnie nawet po kilka razy dała mu delikatnie do zrozumienia, że bardzo jej tęskno będzie, kiedy tego zabraknie w Warszawie, z którym tyle ma wspólnych uczuć i myśli.

To też przez następnych parę tygodni Jacek był znowu najszcześliwszym z ludzi. Widywał prawie codziennie Petrynę, codziennie po kilka godzin patrzył w jej modre nieodgadnione oczy, z których tysiące najmiłszych odga-dywał tajemnic, codziennie oddychał tem samem co i ona powietrzem, codziennie słuchał jej czarującego głosu, któ-ren częstokroć takie uroczę, tak poetyczne objawiał uczu-cia i myśli, że rozkochany młodzieniec unosił się na nich, jakby na białych skrzydłach aniołów w jakieś nadziemskie i nikomu z śmiertelnych niedostępne krainy.

Wszakże te parę tygodni minęły jak jedna chwilka; starosta Jaorlicki z swojej podróży powrócił, a nareszcie i z Zarwivód poprzyjeżdżali wezwani ludzie z bronią i końmi, i czas już było ruszać na krew i na boje.

Kiedy Jacek teraz się zastanowił nad swoim położe-niem dokładnie, tysiąc najsprzeczniejszych uczuć się w nim skrzyżowało i stąd tysiąc różnych myśli mu przeleciało przez głowę. Raz chciał nocą i bez pożegnania wyjechać, drugi raz zdało mu się, że trzeba mu się koniecznie przed wyjazdem oświadczyć, a inny raz znowu, kiedy i to i tamto

się w nim ze sobą kłóciło, porywał go nawet żal, że postanowił ten zajazd, i byłby już się wyrzekł hołobuckiego starostwa i wszystkich zaszczytów i wszystkich w społeczeństwie stanowisk, żeby się tylko od Petryнки nie musiał oddalać.

Każden człowiek niestety jest słabym, stokroć słabszym natenczas, kiedy miłości dał opanować swe serce, ale człowiek rozumny i prawy może tylko być słabym na chwilę, zachwiać się może, lecz nie upadnie. To też i Jacek wnet się z swojej słabości ocucił, i w oka mgnieniu zrobił postanowienie takie, od którego już żadna siła go odciągnąć nie miała.

Wskutek tego postanowienia, nazajutrz rano pojechał do starosty Jaorlickiego.

Do tych odwiedzin wybrał godzinę ranną, ażeby starostę zabrał samego, i tak go zastał w istocie.

Wuj Petryнки był niepomału zdziwiony, obaczywszy Jacka o tej godzinie u siebie, a zdziwienie jego było jeszcze o tyle większe, ile że młodzieniec, któren zawsze umiał zachowywać krew zimną i nawet twarz miał zawsze spokojną, w tej chwili zdawał się być cokolwiek wzruszonym. Jednakże stary praktyk nie dał poznać tego zdziwienia po sobie i zawiązał z swoim gościem zwyczajną rozmowę. Tę rozmowę atoli Jacek przerwał niebawem i przystępując jaknajprędzej do rzeczy, rzekł, wstając z krzesła:

— Panie starosto! przyjechałem tutaj do pana w ważnej sprawie, pozwolisz mi pan zatem żebym do niej jak najprędzej przystąpił i przedłożył panu rzecz moją otwarcie.

Na tę przemowę starosta, pomimo całej praktyki swojej, haniebnie się zmieszał, ale odzyskując straconą równowagę, w ten moment pochwycił zaraz Jacka za ręce i odpowiedział:

— Znasz mnie pan dobrze i sędzę, że wiesz, jak ze mną postępować należy. Krótko, otwarcie i szczerze, oto jest postępowanie odpowiednie mojemu cbarakterowi i memu sercu najmilsze. Ja tak postępuję z każdym i od każdego

tego samego wymagam, a tem bardziej od pana, dla którego wiesz ile mam szacunku i szczerę przyjaźni.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Jacek na to, ściskając obie ręce starosty — będę z panem mówił jak z moim rodzonym ojcem.

— Wiadomo panu zapewne — mówił dalej Jacek po małym odetchnieniu — jakie wrażenie zrobiła na mnie panna Petryna. Nie tałem się z tem przed wami, nie mogliście tego nie wiedzieć. Teraz atoli muszę się panu przyznać, że to wrażenie z czasem zamieniło się w miłość i to w miłość taką, która, jeżeliby się skończyła inaczej jak związkiem na wieki, stałaby się już dla mnie kto wie już jakim, może równie wiecznem nieszczęściem. Przyszedłem tedy pana zapytać, co pan rozumiesz o tem?

— Kochany starosto — odpowiedział na to z uśmiechem wuj panny Petryny — dziwi mnie to nawet cokolwiek, że mnie zapytujesz o moje zdanie w tym względzie. Boć przecie sędzę, iż aż nadto dobrze jesteś przekonany o tem, że masz do czynienia z ludźmi, którzy zawsze i wszędzie postępują drogą prawdy i cnoty. Że ci się podobała Petryna, jako jej drudzy i szczerze ją kochający rodzice nie mogliśmy tego nie widzieć, toż gdybyśmy byli rozumieli że albo ty dla niej, albo ona nie może być partyą stosowną dla ciebie, albo gdybyśmy choć cokolwiek mieli panu do zarzucenia, bylibyśmy ci to od razu dali do zrozumienia i pewnie nie pozwolili na to, ażebyś bałamucił napróżno. Kiedy mnie więc pytasz otwarcie, to ci odpowiadam otwarcie, że nietylko nie mamy przeciwko panu, ale owszem, mamy to sobie za szczęście prawdziwe, że naszą siostrzenicę uznałeś godną swojej osoby i z naszej strony będziemy wszelkimi siłami pomagać ku temu, ażeby życzenia pańskie się zupełnie ziściły.

Lubo Jacek był prawie pewnym tej odpowiedzi, jednak było mu bardzo miło słyszeć ją z ust wuja i opiekuna; wywołało to nawet radość tak pełną w jego sercu, że aż mu łzy w oczach stanęły i ścisnął starostę za to z serdeczną wdzięcznością.

— Jestem panu wdzięczny z całego serca — mówił

on śród tych serdecznych uścisków — i proszę mi wierzyć, że najusilniejszym staraniem mojem będzie zaufanie położone we mnie usprawiedliwić. Ale zachodzą tu jeszcze różne okoliczności. Wiadomo panu, jakich mnie nabawiono kłopotów z tem hołobuckiem starostwem...

— A jakżeż mi niewiadomo! Wszakże pytałem pana o to umyślnie i opowiadałeś mi wszystko ze szczegółami. Hańba to jest dla naszego narodu...

— Dajmy już pokój o tem — rzekł prędko Jacek — ja wiem wszystko najlepiej. Ale zobaczysz pan, jakie miny u tych panów będą, kiedy się dowiedzą, że to starostwo istotnie w mojem jest posiadaniu...

— Jakże? więc pan seryo myślisz przemocą...

— Seryo i nieodmiennie. I owóż pan masz zaraz wyjaśnione powody, dla których dzisiaj się nie oświadczam formalnie o rękę panny Petryny, tylko przychodzę zapewnić się o usposobieniu jej opiekunów dla mnie. Gdzie kule latają, tam i śmierć lata, a ja nie jestem z żelaza. Mogę zginąć, albo się długoletniego nabawić kalectwa, a ja nikogo nie chcę wiązać do mojego nieszczęścia. Dlatego powtarzam panu jeszcze raz, iż się nie oświadczam formalnie o rękę panny Petryny, a uszczęśliwiony zapewnieniem jej wuja, pojedę teraz spokojny i tak szczęśliwy, jakbym już był u mego celu.

Moje postanowienie jest niezmiennie — rzekł na to uroczystym głosem starosta — i jak mnie dziś widzisz, tak mnie zastaniesz każdego czasu. Jakże długo pan myślisz zabawić na tej wyprawie?

— Ha! któż to może wiedzieć! droga daleka i szanse jej różne. Ale ja zawsze będę się starał odprawić jaknajprędzej, choćby tylko dlatego, ażeby jaknajprędzej znowu zobaczyć moich nieocenionych przyjaciół.

— Ale kto wie, kiedy się zobaczymy — rzekł na to starosta — bo ja jakoś nie bardzo zdrow jestem i lekarze mnie wysyłają na ten rok do Karlsbadu. Nie mam ja wcale do tej podróży ochoty, ale żona moja bardzo się przy tem upiera i jak najczęściej, tak podobno i teraz stanie się wedle jej woli.

— A cóż to ma do rzeczy — odpowiedział Jacek — państwo sobie jedźcie gdzie wam się podoba, a ja po ułatwieniu się z mojami sprawami znajdę was choćby i na końcu świata.

— Najpodobniej nas znajdziesz w Warszawie — rzekł na to starosta — bo ta historia pewnie cię tam do jesieni zatrzyma. Albo ja nie wiem co to są zajazdy? Wszakże... i to się praktykowało za młodu. Toż to nim zbierzesz tylu ludzi, ilu ci będzie potrzeba, minie z jakich sześć albo ośm tygodni. Nuż potem zajazd! toż to i zajężdżać o każdym dniu i o każdej godzinie nie można. A zajechawszy, toć przecie trza wziąć zaraz w posiadanie i posiadanie to ubezpieczyć, a nakoniec i administracyę jakąś zaprowadzić, bo inaczej cały zajazd na nic się nie przyda. Krótko mówiąc, będzie to z tem kłopotu nie mało i ja się pana z powrotem nie spodziewam prędzej, jak aż o późnej jesieni.

Wszystkie uwagi starosty były bardzo prawdziwe i dlatego właśnie bardzo przykre zrobiły na młodzieńcu wrażenie. Pięć, sześć miesięcy nie widzieć Petryнки, byłoby to straszną męką dla niego, do której zniesienia nie czuł nawet w sobie dość siły; dlatego rzekł na to staroście:

— O! gdyby tak być miało istotnie, gdybym musiał tam się aż do późnej jesieni zabawić, byłoby to dla mnie prawie nieznośną przykrością.

— Ha! to już próżno — odpowiedział starosta — inaczej nie może być. Bo miałbyć zrobić zajazd, odebrać Hołobuki, a potem je znowu utracić, toż lepiej wcale nie zaczynać tej sprawy.

— Ha! nie ma kwestyi. Zaczawszy, trza rzecz doprowadzić do końca. Ale ja przecież sędzę, że mi się to da jakoś prędzej załatwić. Mam tam dobrego przyjaciela, znajdę ich zapewne i więcej, to oni mnie tam potem w tem i owem zastąpią. Prawdę mówiąc, nie chodzi mi tu zresztą o materyalne korzyści z tego starostwa, bo z nich mogę bez przeszkody skwitować, tylko mi chodzi o korzyść moralną...

— Ba! — przerwał wuj panny Petryny — kiedy bo

to jedno z drugim tak powiązane, że tylko wtedy odniesiesz korzyść moralną, jeżeli się przy materyalnej utrzymasz.

— I to prawda — rzekł Jacek i, nabierając dobrej nadziei, dodał: — ale co tam! jakoś my to tak urządzimy, że dobrze będzie. To mnie tylko martwi przy tem najwięcej, że przez tak długi czas nie będę widział panny Petryny.

— To zapewne przykrem ci będzie — odpowiedział z uśmiechem starosta — ale od czegoż wytrwałość mężczyzny?

— To prawda — rzekł Jacek — ale od czegoż znów zmienność kobiety?

— I to prawda! — zawołał, śmiejąc się, wujaszek Petryny — ale... nie należy znów sądzić każdej kobiety podług tych pań nowomodnego świata, które tu widzujemy w salonach.

— Ja też wcale panny Petryny nie sądzę — rzekł Jacek z powagą — i mam o niej wcale inne wyobrażenie.

— I bardzo słusznie — odpowiedział starosta — Petrynka pod każdym względem stoi daleko wyżej od wszystkich tych elegantek. Ale powiedz-że mi pan jeszcze — zapytał ciekawie starosta — jakże właściwie stoisz z Petrynką?

— O tem panu — rzekł Jacek otwarcie — nie stanowczego nie powiem. Nie robiłem deklaracyi formalnej, nie mam też żadnej odpowiedzi do powtórzenia. Ale mam tysiąc powodów do jaknajlepszych nadziei.

— I nie powinienes się na nich omylić, bo ja sam to uważam, że Petrynka cię lubi i nad wszystkich innych przenosi. A ona, lubo dziwaczką jest czasem i miewa różne kaprysy, jednak ma stały i męski prawie charakter i ufać jej można zupełnie. Dlatego jedź sobie spokojny, nie frasuj się o nic, zabaw tam tak długo, jak sprawa twoja będzie wymagać, a my tu czuwać będziemy nad tobą.

Z żywą tedy wdzięcznością podziękował Jacek staroście za takie szczere i otwarte przyjęcie, i skończywszy znowu zapewnieniami z swej strony tę tak ważną dla sie-

bie rozmowę, pojechał czempredzej do domu, ażeby jeszcze resztę przygotowań do podróży poczynić.

* * *

Wieczorem był znów u starosty, aby się z jego całym domem i z Petrynką pożegnać.

Zaledwie parę osób obcych było w salonie i wszyscy siedzieli w kącie naokoło małego stolika, gdzie było zwykle miejsce spokoj lubiącej starościny.

Kiedy Jacek wszedł, jakoś dziwnie go to uderzyło, że Petrynka siedziała aż w samym kąciку ze starościna z jednej, a za innemi dwiema damami z drugiej strony, a że w środku stał stolik, więc Petrynka była tak ze wszystkich stron zabarykadowaną, że nie było żadnego sposobu na to, ażeby się do niej docisnąć. Ale Petrynka przytem była tak blada, tak smutna i tak żalosnemi oczyma spoglądała przed siebie, że jakkolwiek myśl inna przyjsć mogła Jackowi na widok jej zatarasowania się od każdego przystępu, to ta myśl nie mogła się wcale w jego głowie utrzymać, bo jej smutek był tak głęboki i tak widoczny, że tylko o nim mógł Jacek pamiętać.

Jadąc dziś do starosty, żegnający się kochanek miał zamiar tylko krótką chwilę zabawić; pożegnania takie są zwykle przykre, a *to* mogło się stać nawet rozdzierającym, Jacek więc chciał się z niem jaknajkrócej odprawić i natychmiast odjechać. Ale obaczywszy taką konstelacyę w salonie, że nie była ona czem innym dla niego, jak tylko kompletnem zaćmieniem słońca, rad nie rad musiał swoje odwiedziny przedłużyć i na odślonienie się słońca zaczekać.

To wszakże wkrótce się stało, bo niebawem nakryto do herbaty i wszyscy się przenieśli do wielkiego stołu na środek salonu. Jacek zabrał miejsce około Petrynki. Obiecywał sobie, że dzisiaj będzie z nią mówił niezmiernie wiele i od niej się także wiele usłyszeć spodziewał. Ale przez długi czas patrzył tylko na nią i nie mógł przemówić ni słowa; jemu się serce krajało z żalu i wszelki głos łzami się w gardle zalewał.

Petrynka także tak samo spoglądała na niego. Zdawało się, że cierpi niezmiennie, była roztargnioną i prawie nieprzytomną zupełnie.

Ale przecież ona pierwszej odzyskała siłę nad sobą i spytała go głosem dość czystym:

— Kiedy pan jedzie?

— Jutro, pani — odpowiedział smutno młodzieniec.

Petrynka westchnęła, ale znów prędko się ocuciła i rzekła:

— Ale co tam! im prędzej, tem lepiej. I długoż pan myślisz zabawić?

— Któż to wie? — rzekł Jacek — bardzo być może, że mnie tam ta sprawa zatrzyma aż do późnej jesieni. Ale gdyby tak wypaść miało, to koniecznie sobie wśród tego czasu takich kilka tygodni wybiorę, w których będę mógł choć na dzień jeden przyjechać, ażeby panią zobaczyć.

— Bardzo panu wdzięczną jestem za pamięć, ale proszę pana na wszystko, nie rób pan tego. Na co? Czy to my dzieci?... Trzeba mieć siłę nad sobą i wytrwać w każdym przedsięwzięciu po mężku. Ja jestem kobietą, a ufam sobie w takich razach i jeszcze się nigdy nie zawiodła. Pan może jeszcze nie miałeś sposobności doświadczyć siebie, ale ja, ile znam pana, mogę naprzód za to zaręczyć, że także się nie zawiedziesz na sobie. O! z jakąż przyjemnością wyobrażam sobie tę chwilę, kiedy pan, przyprowadziwszy rzecz swoją naprzekór wszystkim nieprzyjaciółom do skutku, do Warszawy z tryumfem powrócisz! Co powiedzą na to ci wszyscy, którzy wspominali z przekąsem o pańskim starostwie? co powie pan Trembecki? co powie król sam?

Ciepło się zrobiło Jackowi od tych słów z ust Petrynki słyszanych i płomień zapału przebiegł przez wszystką krew jego, ale też na tem skończyła się ta przelotna rozmowa, bo w ten moment powstali wszyscy od stołu i pozabierali napowrót swe miejsca koło starościny. Przeciwnie wszelkiemu spodziewaniu z wszystkimi razem powstała także Petrynka i znowu się tak zasunęła za cio-

tkę, że Jacek nie mógł na żaden sposób do niej przystąpić. To go bardzo smutnie przejęło i nawet nie wiedział, co o tem myśleć; on byłby dzisiaj na wagę złota zapłacił każde jej słowo, a ona mu tych słów tak skąpiła, jak gdyby mu tem dobitniej chciała dać uczuć ich wartość i ich utratę na parę miesięcy.

Wszakże Jacek sobie to tem wytłumaczył, że Petrynka, pomimo zapewnienia swego, jednak sobie nie ufa i obawia się, ażeby z swojemi uczuciami nie zdradziła się przy wszystkich. Ażeby ją więc jaknajprędzej od tej obawy uwolnić i zresztą skończyć już raz tę scenę drażliwą i więcej bolesną niżeli przyjemną, zabrał się nagle i począł się żegnać.

I starościna i starosta i goście życzyli mu czułymi wyrazami jaknajlepszego szczęścia i powodzenia; Petrynka dała się wszystkim wygadać, a kiedy oni skończyli, wstała ze swego miejsca, przystąpiła do niego i rzekła:

— I ja panu życzę z całego serca jaknajszczęśliwszego dopełnienia swych pięknych zamysłów, a jeżeli się moje życzenia w rzeczywistość zamienia, to ta rzeczywistość będzie daleko piękniejszą i lepszą, niżeli pan sam się spodziewasz.

Ale Jacek tych słów ostatnich nie słyszał i ze łzami w oczach wybiegł czempredziej z salonu.

Nazajutrz rano, ledwie dzień się zrobił, młody starosta hołobucki z całą karawaną swych ludzi już był w podróży.

ROZDZIAŁ XII.

Tymczasem kiedy się to działo w Warszawie, w Czerżowie daleko lepsze już poczyniono przygotowania do zamierzonego zajazdu, niżeli się można było spodziewać.

Młody Kurdwanowski należał do tych coraz rzadszych już dzisiaj ludzi, którzy się już rodzą z jakimś dziwnie

filozoficznym na ten świat poglądem. Uważają oni to życie poprostu jak darowiznę, która jak lekko przyszła, tak lekko także i odejść sobie powinna. Łada drobną rzeczą zajmują się oni najżywiej i umieją wszędzie znaleźć dla siebie zabawkę, ale znów żadnej rzeczy nie cenią tak wysoko, ażeby było warto głowę sobie psuć nad nią. Mają często wzrok bystry, odgadują tajemnice ludzkiego życia z łatwością i nieraz widzą jasno najciemniejsze strony ludzkiego serca i sumienia; ale żeby się mieli martwić grzechami swych braci, albo się starać te grzechy poprawiać, nigdy im ani na myśl nie przyszło. Oni żyją dla siebie, to uważają za swoje co mają w rękę, ale i to jeszcze mają sobie za taką rzecz marną, że ją każdej chwili gotowi postawić na kartę, z najzimniejszą krwią przegrać i po przegranej być przekonania, że zgoła nie nie stracili. Z takich ludzi bywają zwykle najwaleczniejsi żołnierze, bo życie u nich także nie ma żadnej wartości, ale nie przychodzą oni do wielkiej sławy, ani wychodzą na wielkich wodzów, bo i sława i ziemskie zaszczyty także u nich nie mają wartości. Byłyby to dla nich tylko niezdolne ciężary, któreby im zawadzały, a oni chcą być zupełnie swobodni w tem życiu. Z takim poglądem i takim usposobieniem są oni zawsze szczęśliwi i zawsze w najlepszym humorze; kiedy mają pieniądze, tracą je bez rachuby, a w niedostatku obchodzą się o najmniejszym i nigdy się na nikogo nie skarżą; z uśmiechem na twarzy przez całe życie, taki sam uśmiech zachowują przy śmierci *et discedunt ex vita tamquam ex hospitio, non tamquam ex domo sua*, jak mówi Cyncero.

Takich ludzi wychowywało się mnóstwo dawnymi czasy, z wzrostem nowożytnej oświaty i utrudnieniem moralnych i materyalnych warunków życia ród ten zaczął się zmniejszać a dziś już prawie całkiem wyginął; ale do tego rodu należał jeszcze całem prawem młody Jacka przyjaciel.

Przy takim usposobieniu i dodawszy do tego jeszcze, iż miał w Czerteżowie pałac obszerny z oficyną, mogącą w sobie kilkadziesiąt osób pomieścić, posiadał wszystkie domowe urządzenia po dziadzie i fundusze dostateczne po

babce, a nakoniec i dziwnie się jeszcze do tego zajazdu zapalił, to nie będziemy potrzebowali już nawet uprzedzać, że kiedy Jacek przyjechał, wszystko zastał do zamierzonej imprezy tak dobrze przygotowane, że już mało co do czynienia pozostawało.

Jacek, którego serce, pełne ufności i dobrej wiary we wszystko, zaczęło się już trochę rozczarowywać w Warszawie, nie spodziewał się wcale tak gorącego udziału po lekkomyślnym swym przyjacielu i przez drogę nie mało się tem nafrasaował, ile to jeszcze trudności będzie musiał zwyciężyć, nim dosyć sił nagromadzi, ażeby mogli śmiało na Hołobuki uderzyć; ale jakże się nie zadziwił, kiedy zajechawszy w dziedziniec czerteżowskiego dworu, zastał tam obóz formalny; broń, konie, ludzie w dziedzińcu, a we dworze szlachty tak pełno, jak gdyby się na sejmik zebrała, albo na pospolite ruszenie.

— Mój Ignasiu! ty jesteś nieoceniony! — zawołał on do gospodarza, który wyszedł przeciwko niemu na ganek — toż to, jak widzę, wszystko już tutaj gotowe, choćby i dzisiaj bić na Hołobuki i na nieprawego ich posiadacza.

— Nie ma o czem mówić — oopowiedział Ignacy — wszakże ci powiedziałem w Warszawie, że pojedę naprzód i wszystko przygotuję. Ale słuchajno mnie, kochany Jacku, tutaj zachodzą różne takie okoliczności, o których nam trzeba pomówić pierwej, nim cię szlachta zobaczy.

To mówiąc, wziął go pod ramię i sprowadziwszy z ganku, poszedł z nim do ogrodu, a kiedy się tak daleko od domu oddalił, że go już nikt nie mógł dosłyszeć przez okno, tak mówić zaczął:

— Otóż tutaj tak rzeczy stoją. Ludzi różnych tylu, ilu do tej imprezy potrzeba, nagromadziłem z łatwością, a jeżeliby tych było za mało, za kilka dni możemy zgromadzić drugie tyle. Szlachta nadzwyczajnie jest za tym zajazdem i pomoc swoją obiecuje *virilim*, bo ten pan Łęski jest tutaj tak nienawidzony przez wszystkich, że niczego sobie tak cały ogół nie życzy, jak żeby on się stąd jaknajprędzej ustąpił. Ale trzeba ci wiedzieć, że ten pan Łęski już wie tak dobrze o tym zajeździe, jak wie o nim

cała okolica; oczywiście więc, że i on nie siedzi bezczynnie, tylko przygotowuje się do obrony całemi siłami, broń i ludzi gromadzi, a nawet już dwór swój okopał i teraz podwójnym częstokołem otacza. To wszystko jeszczeby nie nie znaczyło, bo przez rowy, wały i częstokoły zawsze się dostać można do niego. Biorą inni murowane fortece, dlaczegóżbyśmy takiego licha wziąć nie mieli? Ale to już ma pewne znaczenie, że tenże pan Łęski porozumiewa się z komendami stojącemi po za granicą, a jeżeli sobie przypomnisz wszystkie tytuły do tego starostwa, to nie będziesz wątpił, tak jak i my nie wątpimy, że on w tych komendach znajdzie sukurs dla siebie. I toby jeszcze była niewielka historya, bo czy nam się bić z tym czy z owym, to nam wszystko jedno, tu idzie o to, ażeby wybić i starostwo odebrać. Jednakże tego nie można spuszczać z uwagi, że takie wybicie komendy musiałoby całkiem inne pociągnąć za sobą skutki, niżeli wybicie prostego tałałajstwa, hetmanionego przez jmc pana Łęskiego, bo za jedną komendą wybitą, przyszlaby druga i trzecia, z naszej strony stoją także komendy, które oczywiście nie opuściłyby tak dobrej okazji przetrzepania się wzajem, a stąd któż wie, coby mogło wyniknąć? może jakaś burda ogromna a może wojna? Mnie, a co mi tam na tem! burda, to burda, a wojna? to jeszcze lepiej. Ale tutaj zachodzi ta okoliczność, że takie burdy bywają tu często, nieraz nawet i na wojnę się zanosilo, ale pomimo to nietylko, że do wojny nigdy nie przyszło i zawsze się nakoniec zgodzono, ale, co gorsza, zawsze jakichś winowajców wynaleziono i tych jako zbrodniarzy karano. Ja, mój Jacku kochany, wcalebym sobie nie z tego nie robił, gdybym miał zginąć na tym zajęździe, i nawet ci powiem, że mi to wszystko jedno zginąć pod Hołobukami albo pod Kircholmem lub Orszą, ale dać się okuć w kajdany i potem, jako burzyciel wewnętrznego spokoju, dać się ściąć lub powiesić w Warszawie, do tego się jakoś nie palę. W gruncie rzeczy taka to śmierć jak i tamta, ale mnie... jakoś się nie podoba... nie mam żadnego gustu do niej.

— Zapewne, nie ma kwestyi — rzekł Jacek — i ja

nie mam gustu do takiej śmierci, ani nawet do samych kajdanek. Ale proszę cię, mogłobyś przyjść rzeczywiście do tego? wszakżeż ja jestem w mojem prawie?

— Jesteś w prawie do starostwa, ale nie w prawie do zajazdu.

— Ba! dobrze! a czyż ja winien temu, że Rzeczpospolita jest tak słabą, że nie jest w stanie swych praw wykonywać? Toż w państwie takim, które rozkazy swoje własną siłą wprowadza w życie, zapewne że samowolne wprowadzanie się w prawa swoje może być winą; ale tutaj... ja nie pojmuję.

— Tutajby nie za to nie było, gdyby, jak mówię, nie ta okoliczność, że się przez to spokój graniczny zamięci...

— No, więc dobrze, więc cóż robić w tym razie? zaniechać już całkiem zajazdu?

— Ale broń Boże — zawołał prędko pan Ignacy — ani mowy o tem nie ma. Zajazd jest raz ułożony i musi być przyprowadzonym do skutku. Ja sam już nie odstąpię od niego.

— Więc o cóż chodzi?

— Chodzi o to, żeby się jakoś choć trochę zabezpieczyć na przyszłość, a zabezpieczyć się można w ten sposób choć przynajmniej cokolwiek, jeżeli jak najwięcej będziemy mieli współwinnych. Kiedybyśmy uderzyli sami, to z nami zrobiliby krótką sprawę, ale jeżeli z nami będzie cała szlachta tutejsza, to jużci to nie tak łatwo będzie dojść końca...

— Zawsze my będziemy najwinniejsi ze wszystkich...

— To już nic, choćby potem i wisieć, byleby w kompanii; przecie to weselej...

— Licha tam weselej! — rzekł na to Jacek z uśmiechem — ale ja tobie ręczę, że się nam nic zgola nie stanie. Każdego innego-pociągnięto by za gwałt podobny do odpowiedzialności, ale mnie nikt słowa jednego nie powie. Jakże chcesz! przecie mam nadanie tego starostwa na piśmie, podpisane przez króla i podkanclerzego, a w tem nadaniu stoją wyraźnie te słowa: „i natychmiast *in possessio-*

nem odebrać...” Zmiłuj się, jakżeby mi mógł kto powiedzieć co za to, że wykonuję rozkaz królewski?

Na tę uwagę Kurdwanowski zamyślił się trochę, a potem zawołał:

— Masz rację! jakim sposobem mogłoby ci się stać co za to, że wykonujesz rozkaz królewski? Nie nam nie będzie... Nawet sam nie wiem, jak na tę myśl wpadłem... To mnie mój Jaworkiewicz tak zbałamucił. Chodź więc do szlachty. Oni na rękach cię nosić będą... jednakże tak się kieruj pomiędzy nimi, ażebyś ich zyskał dla siebie i dla zajazdu. Wolę się zawsze bić w towarzystwie szlachty, niżeli tego motłochu, który gwałtownie uderza, ale też i gwałtownie ucieka. A! ale jeszcze dwie rzeczy! Jedna, ażebyś zaraz na wstępie uciał mowę do szlachty; a druga, czy nie masz polskiego ubioru?

— Ale mam, oczywiście.

— A to trza się przebrać natychmiast, bo inaczej za żadne skutki nie ręczę.

To mówiąc gospodarz wprowadził go natychmiast do wyznaczonych dla niego apartamentów, gdzie już jego pakunki poznoszono tymczasem, a sam wrócił do gości.

Gości tych dzisiaj było tam pełne dwie sale. Nie potrzebujemy ich opisywać, bo są to figury aż nadto dobrze znajome: poważniejsi posesyonaci, którzy tylko pół votum dają za zajazdem, a zresztą myślą nad tem, czyby nie dało się to w jaki godny sposób załatwić; dawni konfederaci, którzy są całem sercem za zajazdem, bo mają nadzieję, że się na samym zajeździe nie skończy, tylko wywiąże się z niego konfederacya, a potem wojna; szlachecka młodzież, która ani o powody, ani o skutki nie pyta i pragnie tylko niebezpieczeństw i boju; powiatowi junacy, którzy pod dachem strasznie biją na pana Łęskiego i Hołobuki, a przy zajeździe ich pewnie nie będzie; a nareszcie pieczeniarze, kuzynkowie bez majątku i zatrudnienia, oficjaliści bez służby i tym podobni; owóż całe towarzystwo, zebrane w salach czerteżowskiego pałacu. Stół zastawiony od świtu do nocy, wino lejące się strugami z bu-

telek i beczek, różne plany zajazdu, odgrążania się i przekleństwa, anegdoty, dowcipy i żarty, — owóż ich cała zabawa.

Kiedy Jacek, już po polsku przebrany i wprowadzony przez gospodarza, stanął pomiędzy nimi we środku, powitali go wszyscy jednogłośnym, przeciągłym okrzykiem radości:

— Starosta hołobucki! ofiara intryg i złości! oszukany, skrzywdzony, obdarty!

Jak tylko ucichły cokolwiek te wrzaski, Jacek się pokłonił na wszystkie strony, w tył wyloty zarzucił i powiedział im mowę taką, jakby był jednym z najstarszych sejmikowych Demostenesów i jakiej po nim nawet sam Kurdwanowski się nie spodziewał. W tej mowie wynurzył on najpierw podziękowanie panom braci serdeczne, że się jego sprawą tak szczerze zajęli, potem opowiedział krótko i jasno tę krzywdę wielką, jaką mu wyrządzono, a biorąc Boga na świadka że mu nie chodzi o materyalne korzyści, tylko o ocalenie obywatelskiego honoru, natrącił z lekka że czego on dzisiaj doznał od kamaryli warszawskiej, tego jutro doznać może i drugi i trzeci; dowiódł na koniec, jak gdyby na dłoni, że trzeba opór temu postawić stanowczy i korzystając z okazji hołobuckiego starostwa, pokazać jawnie całemu światu, że drwić sobie ze szlachty nikomu bezkarnie nie wolno.

Mowa ta została przyjętą z jednogłośnym aplauzem, a kiedy mu na nią jeden z przytomnej szlachty odpowiedział drugą taką mową, w której za pomoc i gotowość całego sąsiedztwa jak najsolennie zaręczył, powstał krzyk taki wielki i zapal ognisty tak wszystkich ogarnął, że Jacek uznał za najlepsze z tego usposobienia korzystać i proponował, ażeby natychmiast wsiąść na koń i na Hołobuki uderzyć.

Ta propozycja jednak nie została przyjętą, bo nikt nie był tak wybrany, ażeby mógł zaraz iść do szturm na dobrze obwarowany dwór pana Łęskiego: ci poprzyjeżdżali karabanami i kałamaszkami i nie mieli koni wierzych ze sobą; inni nie mieli broni zdatnej do bitwy; ci

mieli jeszcze coś do załatwienia w swych domach; tamci obiecywali przyprowadzić ze sobą swych ludzi. Tak więc propozycja Jacka nie została przyjętą, a kiedy się zabrano do ogólnej narady nad terminem zajazdu, to go oznaczono aż na dzień sobotni, dzień świętego Stanisława, czyli dzień ósmy miesiąca maja. Dzień ten wybrano głównie dlatego, że przypadały nań właśnie imieniny pana wojewody, obchodzone zawsze z wielkim przepychem i zjazdem całego obywatelstwa; w dniu tym tedy pan Łęski najmniej się mógł spodziewać zajazdu, a może go zgoła i w domu nie będzie.

Ale na ten dzień obiecali wszyscy pod słowem honoru zjechać do Czerteżowa, tam się uzbroić i w szyk bojowy sprawić, a w nocy na Hołobuki uderzyć.

Nie pozostało więc Jackowi nic innego, jak zastosować się do wyroku zapadłego na radzie ogólnej. Pił więc i bawił się ze szlachtą do późnej nocy i jak mógł, przynajmniej zabezpieczał się o to, ażeby mu wszyscy dotrzymali terminu.

Nazajutrz rano, kiedy szlachta się rozjechała do domów, Jacek także zabrał się z swoim przyjacielem i pojechali pooddawać wizyty co przedniejszym sąsiadom, ażeby ich umysły i serca jeszcze lepiej nakłonić ku sobie. Do soboty pozostawało im jeszcze dni cztery, postanowili więc sobie dwa pierwsze dni na objazdżkę szlachty obrócić, a dwa ostatnie już spędzić na przygotowaniach domowych, na rozdzielaniu broni i amunicji pomiędzy pozaciąganych ochotników, na musztrowaniu ich, zachęcaniu do odwagi i waleczności i zresztą co należało do tego.

Jakoż tak właśnie się stało. Kilkanaście wizyt zrobili we środę i czwartek i wszędzie zastali usposobienia jak najlepsze dla siebie i serce braterskie jak najzupełniej do usługi gotowe. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że na sobotę wszyscy się w danem słowie postawią, a dwór pana Łęskiego pryśnie jak bańka mydlana. W piątek przez cały dzień musztra z żołnierzem zaciężnym w dziedzińcu, a kiedy się zmierzchno, Kurdwanowski zaproponował Jackowi, ażeby wsiąść na koń i pojechać mileczkiem pod dwór hołobucki.

Jacek z ochotą przyjął tę propozycję, bo był sam tego przekonania, że dobrze jest naprzód obejrzeć pole bitwy i z jego położeniem choć się cokolwiek obeznać. Wsiadli więc na koń, wzięli dwóch pachołków ze sobą i pojechali.

Hołobuki były oddalone od Czerteżowa tylko o małą milkę. Za godzinę więc już im się dwór pokazał zdaleka. Podjechali bliżej i przekonali się rzeczywiście, że dwór ten był okopany wałami i otoczony podwójnym częstokołem, który niby jak palisady wyglądał; pomimo to jednak jakoś dziwnie cicho było w tym dworze. W jednym tylko oknie słabe płonęło światelko, a zresztą nigdzie, ani koło domu, ani w dziedzińcu, nie było widać żadnego ruchu, i zgoła tak się zdawało, jak gdyby tam o żadnej obronie nikt ani myślał.

To ich zadziwiło cokolwiek i ośmieliło, i podsunęli się jeszcze bliżej pod palisady i objechali cały dwór naokoło, ale zawsze jeszcze nie mogli dostrzedz żadnego ruchu, a natomiast nawet zdawało im się, jakoby z jednej strony ani wałów, ani palisady nie było. Księżyc słabo przyświecał i nie można było dobrze widzieć zdaleka, podjechali więc pod same płoty, i istotnie z tej strony nie było ani wału wysypanego, ani częstokołów.

Śmieli się więc obydwaj, powracając do domu, mówili sobie:

— Dziwnie butny ten jmc pan Łęski; zdaje mu się, że nas wąsami odstraszy.

Atoli jadąc tak przez wieś i drwiąc sobie z zarozumiałego szlacheica, obaczyli w jednej chałupie na progu siedzącego żołnierza, który czyścił broń swoją przy świetle księżyca. To ich zastanowiło, bo wiedzieli o tem, że w Hołobukach żadne wojsko nie miało konsystencyi w tej chwili; wszakże o kilka chałup dalej obaczyli znowu żołnierza, a jeszcze dalej nawet dwóch razem, którzy stali w dziedzińcu i rozmawiali ze sobą.

— Co to być może? — zapytał Jacek.

— A co wiedzieć? — rzekł na to jego przyjaciel — albo to wojsko gdzieś przechodzi i tutaj nocuje, albo...

— Albo na nas czeka na jutro — dokończył Jacek.

— I to być może — dodał Kurdwanowski z uśmiechem — ale jeżeli tak jest, to się moje przewidzenia sprawdziły, i kto wie jeszcze, co się z tego naszego zajazdu wywinie?

— O nie mnie tu nie chodzi — rzekł na to Jacek — tylko o to najwięcej, żem ciebie niepotrzebnie w to wplątał...

— Mnie? — przerwał prędko Ignacy — proszę cię, tylko się o mnie nie frasuj. Ja ci wszystkim zaręczam, że nie mogłeś mi lepszej przysposobić rozrywki, jak przedsięwzięcie ten zajazd, a im więcej się okazuje niebezpieczeństwa, o tyle tylko milszą mi ta impreza. O śmierć się nie boję, bo ta i na łóżku mnie znajdzie jak zechce; wieży lub gardła także się teraz nie boję, a kto wie co się z tego wywiąże! Pułascy, kiedy zaczynali konfederację barską, także nie mieli więcej ludzi i broni, a do czego doprowadzili na końcu?

— Smutny to był koniec, mój drogi!

— Może nasz będzie inny. Czas płaci, czas traci. A potem co tam! mamy tak gnuśnieć w Czerteżowie i w Zarwiodach, albo grać w karty, tańcować i dać się za nos wodzić kobietom w Warszawie, czy nie lepiej skończyć tę ziemską karierę w kilku miesiącach, ale przeżyć ją życiem takim, żeby się to mogło nazywać życiem!

— Ty wyborny jesteś, kochany Ignasiu! — zawołał na to Jacek ze smętnym uśmiechem, — o! jakże ci twego humoru i twego całego usposobienia zazdroszczę! Czemuż też ja się nie urodziłem z taką swobodą umysłu i serca!

— Ty się urodziłeś z taką samą swobodą — odpowiedział Ignacy — ale ją zatraciłeś. Nie masz jej teraz i mieć nie możesz, bo się kochasz. Ale poczekajno, kochany braciszku, jak ciebie twoja bogini warszawska tak w pole wywiedzie, jak mnie wywiodła paryska, jak parskniesz jej w oczy od śmiechu i przeklniesz ten dzień, w którym ją po raz pierwszy ujrzałeś... to potem tak ci się lekko zrobi na sercu, tak swobodnie na duszy i będziesz taki pancerny przeciwko wszystkim sentymentom

podobnym, jak gdybyś już był starcem sześćdziesięcioletnim, miał w nogach podagrę i miał synów i córki zamężne.

— Ach! zmiłuj się nademną Ignasiu i nie mierz tą miarą wszystkich kobiet, jaka ci się przypadkiem nasunęła pod rękę. Ja nie przeczę temu, że są kobiety i wietrznice na świecie, ale to są tak rzadkie u nas wyjątki, że zaledwie się o nich godzi wspominać.

Na te słowa młody paryżanin cmoknął ustami i uśmiechnął się ironicznie, lecz milczał.

— Dlaczegoż milczysz? — spytał go Jacek — czy nie jesteś tego samego zdania?

— Owszem, owszem — rzekł na to Kurdwanowski — ja jestem zupełnie tego samego zdania... Ale ponieważ, jak sam przyznajesz, i u nas czasem się zdarzają wyjątki, więc na wypadek, gdybyś i ty był tak nieszczęśliwym, żebyś miał trafić na jakiś podobny wyjątek...

— O! na niego pewnie nie trafię! — rzekł Jacek z przyciskiem — moja bogini nie należy do żadnych podobnych wyjątków. Poznasz ją kiedyś i sam wtedy osądzisz, czy miałem słuszne powody do takiej ufności w niej, czy nie. A zresztą czas to pokaże.

— O, niema kwestyi! — przyciął znów Kurdwanowski — czas to najlepiej pokaże.

— Proszę cię — rzekł Jacek, kręcąc się niecierpliwie na siodle — mówisz tak, że mnie to niepokoi. Czy znasz pannę Petrynę? czy słyszałeś o niej co złego?

— Ja jej nie znam zupełnie... widziałem ją ledwie dwa lub trzy razy... ale słyszałem o niej cokolwiek... przed dwoma tygodniami młody Hilzen był u mnie

— Cóż ten Hilzen? proszę cię, jak mnie kochasz... — zaczął z tem większą niecierpliwością Jacek; ale już reszty nie mógł dokończyć, bo w tej chwili właśnie obadwa jeźdźcy stanęli w Czerteżowie przed gankiem. Kurdwanowski sam zresztą nie dał już Jackowi zapytania dokończyć i rzekł natomiast:

— Proszę cię, nie wspominajże nic przed szlachtą, żeśmy tam żołnierzy widzieli, boby to mogło ducha w nich

osłabić. W tej szlachcie zajazdowej jest bez kwestyi rycerz bardzo waleczny, ale i tchórz jest w niej także, i nigdy nie można odgadnąć, który z nich naprzód wystąpi.

Z temi słowami weszli obadwa do pierwszej sali, gdzie już zastali trzech szlachty co starszych, którzy, przyprowadziwszy ze sobą liczniejsze poczty i mając intencję przewodniczenia imprezie, poprzyjeżdżali zawczasu.

Zasiedli więc z nimi zaraz obadwa młodzieńcy, a że właśnie z rekonesansu wracali, zawiązała się między nimi bardzo zajmująca gawędka.

Kurdwanowski, który sam zdawał sprawę z tego, co w Hołobukach widzieli, bardzo zręcznie całe położenie dworu i jego zamierzoną obronę opisał, nie mógł jednak zataić tego, że z jednej strony palisad niema i że nie widać tam ruchu żadnego ani w domu, ani w dziedzińcu.

Ten szczegół zajął wszystkich niezmiernie i nawet na nim podzieliły się zdania.

— Nie dokończył palisad — mówili jedni — bo nie wystarczyło mu czasu a może i środków. Szlachcie hulaka, więcej siedzi w Chocimiu i w Bałcie, albo po komendach granicznych, niż w Hołobukach, to tam mieszek nie tęgi u niego.

— Nie widać ruchu — mówił ktoś drugi — bo to tałatajstwo się pewnie popiło jeszcze przed zachodem słońca i leży jak martwe po stodołach i szopach.

— Ej! mnie się to jakoś nie zdaje — zagadnął trzeci — znam ja tego Łęskiego, szczwany to lis jest, mospa nie, nie zaśpi on gruszek w popiele. Toż to zresztą prócz tego starostwa nie ma on ani jednego zagonu i musi dbać o nie, choćby i nie chciał. I wiecie asaństwo, co mi na myśl przychodzi? Kiedy tam w Hołobukach żadnych przygotowań nie widać, czy nie ma on przyrzeczonego sukursu od której komendy?

— Ale co też waszmości przychodzi do głowy? — zawołał na to Kurdwanowski skwapliwie — gdzieżby też się która komenda chciała mieszać do sprawy prywatnej? co ją to może obchodzić? co jej na tem zależy?

— Panie dobrodzieju — rzekł tenże sam szlachcie —

sola, rolę i wolą, ludzie ludzi niewolą, a dla przyjaźni niejedno się zrobi. Pan Łęski to frant kuty na cztery nogi i wszystko zrobić potrafi.

— Ale co też pan gadasz — zawołał znów Kurdwanowski — już ja panu ręczę wszystkiem czem mogę, że bez rozkazu żadna komendaby się w to nie wmieszała.

— Panie dobrodziej! — powtórzył znów szlachcie — nawet i taki rozkaz nie jest tu niepodobnym zupełnie, bo i o to się można postarać.

— A! już co to, to być w żaden sposób nie może — rzekł na to Jacek — bo przecież ja mam pełne i niewzruszone prawo do tego starostwa, a wydany rozkaz nie dopuszczania mnie do tego starostwa byłby buntem przeciwko woli królewskiej i nikt nie ośmieliłby się wydać takiego rozkazu.

— Ja tego nie przeczę — odpowiedział szlachcie — ale, widzisz waćpan dobrodziej, na granicach dzieją się różne rzeczy, a bardzo wiele z nich idzie na rachunek nieporozumienia. Kto wie, jaką kabałę mógł tutaj ułożyć pan Łęski.

— Ale dajcież panowie pokój — zawołał Jacka przyjaciel — i nie wymyślajcie sobie próżnych straszydeł, które nie mogą mieć nigdzie istnienia, prócz w waszej głowie. Skąd tu sukursy, skąd jakieś rozkazy? niema nawet ani podobieństwa do tego. A zresztą, gdyby nawet tak było, gdyby tam sobie Łęski wykręcił skąd jakich kilkunastu żołnierzy, toż to ma nas zachwiać w naszej imprezie? toż nie rozbijemy przez to w puch tego gniazda, choćby nawet w jego obronie stanęła jaka komenda?

— Ale ja tego nie mówię, ja tego nie mówię — poprawił się szlachcie — co tam taka komenda! Rozbijało się karabataliony i pułki całe, dla czegożby się nie rozbijało i tego? A co do skutków, to czy my wiemy, że tam jest jaka komenda? My nie uderzamy na żadną komendę, tylko na hołobuckie starostwo, i to *in vim* przywileju z podpisem królewskim, który posiada pan Jacek. A do tego nam przecie samo prawo przysłuża. Wszakże i trybunalskie dekrety i nawet samych sądów zadwornych pozosta-

łyby tylko dekrety, gdyby ich sobie zawsze nie wyegzekwował ten, któremu na egzekucyi zależy. Owóż ten zajazd nie jest czem innem, jak tylko egzekucją dekretu.

Tak tedy sobie mówili, wpół siedząc, wpół leżąc na sofach i popijając wino, które w różnych butelkach stało przed nimi na stole.

Lecz kiedy tak mówią i są bliżej już tego, żeby się zgodzić ogólnie na to, że ten zajazd da się jutro wykonać z największą łatwością, dał się nagle słyszeć turkot zajeżdżającego powozu przed gankiem i to turkot taki gwałtowny, że aż się wszystkie szyby w oknach zatrzęsły.

Rozmawiający spojrzeli ciekawemi oczyma po sobie, ale nim jeszcze który mógł cokolwiek przemówić, otworzyły się drzwi prawie z łoskotem i wszedł przez nie do sali oficer polski, po którego mundurze nie trudno było poznać, że jest majorem od gwardyi konnej koronnej.

Oficer ten przystąpił wojskowym krokiem do milejących gospodarza i gości, i pewnym głosem zapytał:

— Czy zastaję tu między panami jmc pana Kurdwanowskiego?

— Ja nim jestem — odpowiedział gospodarz, powstając ze sofy i zbliżając się do swego nowego gościa — czem mogę służyć waćpanu?

— Jestem Rudnicki — rzekł na to oficer z grzecznym ukłonem — jak pan widzisz, major od gwardyi koronnej, a na teraz ekstra ordynaryjny komisarz królewski. W tym charakterze mam tu misję do pana, głównie zaś do pana Jacka Jahołkowskiego, który się ma tutaj znajdować. Czy jest tutaj pan Jacek?

— Jestem panie — rzekł Jacek, powstając — i jestem gotów do wysłuchania tej misyi.

— Najpierw tedy — zaczął oficer, obracając się prosto do Jacka — muszę panu oświadczyć, iż do tej misy mam wyraźny ordynans królewski, który dla usunięcia wszelkich wątpliwości mogę panu przedstawić.

To mówiąc, wyjął długi list arkuszowy z zanadrza i położył go na stole. Ale Jacek na ten list ani spojrział, a Rudnicki tymczasem mówił dalej:

— Z tego ordynansu pan się przekonasz dowodnie, w jakim celu i z jaką władzą jestem tutaj wysłany, ale kiedy pan go nie czytasz, to panu powiem ustnie o co rzecz chodzi. Oto król jegomość, dowiedziawszy się, że pan zamierzasz przemocą hołobuckie starostwo zajechać i przekonawszy się jednocześnie, że z tego zajazdu mogłyby bardzo nieprzyjemne nieporozumienia wyniknąć, uznał za konieczne ten zajazd powstrzymać. W tym celu wysła mnie tutaj z Warszawy i rozkazawszy ostrzedz pana najpierwej i wolę mu swoją oświadczyć, na wypadek nieposłuszeństwa waćpana oddał mi władzę nad wszystkimi tutaj konsystującemi komendami, z rozkazem użycia choćby najgwałtowniejszych środków, ażeby do zajazdu nie dopuścić. Wskutek tego, przyjeżdżam do pana najpierwej i oto w obecności tych panów, komunikuję mu wolę jego królewskiej mości; a spodziewając się że pan nie zechcesz się jej sprzeciwiać, nie potrzebuję dodawać, iż w takim razie wszystkie nieprzyjemne skutki, jakieby stąd musiały wyniknąć, nie mógłbyś pan komu innemu, jak tylko sobie samemu przypisać.

Na taką wiadomość, Kurdwanowski się prawie głośno roześmiał i z tym uśmiechem spoglądał na szlachtę; ale Jacek zbladł jak ściana, i nie wiedząc co mówić, wziął ów list otwarty do ręki i zaczął go czytać. Nie wiele on z tego listu wyczytał, bo był tak tą niespodziewaną wiadomością wzburzony, że mu się litery i całe wiersze mieniły w oczach, wszakże zawsze wyrozumiał co główne ustępy:

„Dowiedziawszy się... że urodzony jmc pan Jacek Jahołkowski, a świeżo przez nas wskutek kancelaryjnej pomyłki mianowany hołobucki starosta i t. d., dajemy waćpanu rozkaz i chcemy, ażeby *eo instante* do Czerteżowa, skąd zajazd jest zamierzony, pojechał... jmc pana Jahołkowskiego o zaszłem nieporozumieniu i niniejszej woli naszej zawiadomił, a zapewniwszy go, iż gotowi jesteśmy tę stratę stosownie mu wynagrodzić... i t. d. Wrazie zaś takim... i t. d.“

Zaledwie tyle potrafił Jacek z owego dokumentu wy-

czytać, ale i to było dostatecznem do przekonania go, że pan Rudnicki jest rzeczywiście w tej chwili komisarzem królewskim i to jeszcze do tego w taką opatrzoną władzę, że z nią żartować nie można. Rzuciwszy tedy papier z niechęcią na stół, spojrzął na Rudnickiego i spytał:

— Powiedzże mi pan, z łaski swojej, jakim sposobem mogła zajść w kancelaryi królewskiej tego rodzaju pomyłka? Bo się można pomylić w cyfrach, w datach, lub innych podobnych drobnostkach, tego nikt nie zaprzeczy, ale żeby nie wakujące starostwo zapisane zostało w rejestrze wakansów, to jeszcze od Lecha i Piasta ani razu się nie zdarzyło.

— Widzisz waćpan dobrodziej — rzekł na to z grzecznym uśmiechem Rudnicki — takich rzeczy nie trzeba sądzić w ten sposób, bo z temi starostwami u nas zachodzą często takie nieporozumienia, jakie gdzieindziej się nie zdarzają. Nieraz które starostwo rzeczywiście wakuje, a pomimo to przecież jest w posiadaniu, tak jak i to się u nas wydarza, że ktoś np. od dóbr jest odsądzony potrójnym wyrokiem, a przecież siedzi w tych dobrach. Jak tam jest z tem starostwem, ja tego nie wiem; że pan z powodu tej pomyłki nie małą stratę poniosłeś, nie przeczę... jednakże zawsze sędzę, że jak tylko król jegomość przyrzeka wynagrodzić tę stratę, to nie ma się na co żałować.

— Mości panie! — rzekł na to Jacek — tu jest się na co żałować. Mnie to starostwo nadano i ja mam prawo do niego. Za nie też w świecie od tego prawa nie ustąpię i żeby mi miliony za nie dawano, nie przyjmę.

Widząc że Jacek się burzyć zaczyna przeciwko Rudnickiemu, a Rudnicki okazuje się człekiem wcale uprzejmym i grzecznym, wmieszał się zaraz w tę rozmowę gospodarz i przede wszystkim prosił komisarza królewskiego, ażeby kazał konie wyprządz, sam spoczął i przyjął gościnę. Rudnicki się od tego wymawiał, dając do zrozumienia, że musi jeszcze dzisiaj do Hołobuków pojechać i tam natychmiast komendę do obrony pościagać; ale kiedy go Kurdwanowski zapewnił, że nikt przecież tak szalonym nie będzie, ażeby przy tych okolicznościach chciał zajazd do-

prowadzić do skutku, Rudnicki się uspokoił i wzięwszy na to parol kawalerski od gospodarza i Jacka, w Czerteżowie pozostał i bawił się z całą kompanią aż do białego dnia.

Przy tej zabawie pokazało się, że pan Rudnicki był człek kapitalny, wesoły, zabawny i pełen najwyborniejszych conceptów jak wszyscy gwardyacy; ale Jackowi to nie nie pomogło: on z zabawy i wesołości prawie nie nie korzystał, a na drugi dzień nawet zapadł w smutek tak czarny, że słowa się z nim nie można było dogadać.

Kurdwanowski go rozweselał całą siłą swego humoru, cieszył go obietnicą królewską i podnosił filozoficznemi uwagami po nad marnośći wszystkich starostw na świecie, ale i to go nie odmieniło, a odsadzenie go od hołobuckiego starostwa tak go głęboko dojęło, że o niczem innem nie myślał, tylko jakimby sposobem mógł koniecznie to starostwo odzyskać.

W tym celu jeździł on z swoim przyjacielem pomiędzy szlachtę, był u grodu, u ziemstwa i nawet u wojewody, i wszędzie rady zasięgał, ale przeciwko tej wyraźnej woli królewskiej czyż mogła być jaka rada skuteczna? Wojewoda tylko poddał mu myśl tę, że co się nie dało zrobić przemocą, to możeby się dało uzyskać na drodze dobrowolnej ugody i kto wie, czyli pan Łęski, który w najlepszym razie już tylko siedem lat może siedzieć na Hołobukach, nie byłby skłonny do jakiejś podobnej ugody? Nie mając innych środków pod ręką, a chcąc się koniecznie przy hołobuckiem starostwie utrzymać, Jacek chwycił się i tego projektu i zaraz posłał jednego z chętnych sąsiadów do pana Łęskiego z propozycją dobrowolnej ugody; ale pan Łęski nadrwił sobie najpierwej z Jackowego zajazdu dowoli, a nakoniec oświadczył, że teraz ani myśli o żadnej dobrowolnej umowie; wszakże pod jesień będzie w Warszawie, przełoży tę rzecz królowi, a jeżeliby się to okazało dla niego korzystnem, to da się może i do dobrowolnej umowy nakłonić.

Z tą odpowiedzią ostatnie światelko nadziei dla Jacka zagasło.

Nie było tedy co robić, jak dać pokój temu wszystkiemu na teraz i darmo sobie głowy nad niemożnością nie łamać. Tak też zrobił Jacek, ale pomimo to nie mógł się w żaden sposób od tego smutku ochronić, który go wskutek tego zawodu opanował. Kiedyśmy przedsięwzięli jakąś rzecz taką, która była nietylko podobną, ale nawet dość łatwą do osiągnięcia, a pomimo to przecież zaskoczyły nam w drogę okoliczności takie, których nie byliśmy w stanie przełamać i to nas przekonało o naszej niemożności bez żadnego ratunku, to ta niemożność zwykła nas bardzo dojmować głęboko, czujemy się wtenczas dziwnie mali, nie nieznaczący i słabi, i wolelibyśmy wtedy, abyśmy całkiem nie żyli.

Takie uczucie także opanowało natenczas i Jacka, a jako był na wszystko niezmiernie drażliwym, był w tej chwili rzeczywiście godnym pożałowania.

Wszakże to smutne uczucie jeszcze się ciągle podwajało tęsknotą za panną Petryną, która coraz głośniejsze w nim się odzywała. Tej tęsknocie mógł on wprowadzić każdego czasu zadość uczynić, bo nie miał już w Czerteżowie nic do czynienia i nie mu do wyjazdu nie przeszkadzało, ale go jego przyjaciel wstrzymywał i z takim usposobieniem nie chciał go puścić od siebie. Jacek mu się nie sprzeciwiał, a widząc że go towarzystwo jego przyjaciela i okolicznych sąsiadów rzeczywiście do dawnego humoru przywraca, wyjazd swój z dnia na dzień odkładał i tylko wzdychał za Petrynką zdaleka.

Ale dnia jednego, Petrynka stała się znowu przedmiotem rozmowy pomiędzy nim a Ignacym. I znowu Ignacy wspominał po kilka razy o niej z przekazem, i znowu coś o Hilzenie napomknął. Wszakże teraz już Jacek nie dał się łąda czem zaspokoić i użył wszelkich sił ku temu, ażeby się wszystkiego dowiedzieć, co tylko o tej sprawie mógł wiedzieć Ignacy. Ignacy podobno nie wiele wiedział, ale i to było dostatecznem do tego, ażeby Jacka w taki niepokój wprowadzić, że kazał natychmiast swym ludziom do podróży się przygotować i zaraz nazajutrz w samej istocie odjechał.

Przyjechawszy do Warszawy, nie zastał już starostwa Jaorlickich, którzy, wraz z Petryną, jeszcze przed dwoma tygodniami wyjechali, — więc i on tylko przenocował w Warszawie i wzięwszy pocztę, prosto do Karlsbadu pojechał.

ROZDZIAŁ XIII.

Karlsbadzkie kąpiele bywały w owych latach nadzwyczaj świetne. Nie było jeszcze wówczas wiele tak dobrze urządzonych kąpeli gdzieindziej, wody te okazywały się w istocie bardzo skutecznymi dla chorych, a zresztą sama moda wyjeżdżania w lecie do wód zagranicznych już tak ogarnęła była zamożniejsze europejskie rodziny, że w każdym kąpielach zagranicznych można było spotkać co lato bardzo liczne i wyborowe zgromadzenia. Karlsbad wszakże tem się szczególnie odznaczał nad inne, że bywało w nim co roku po kilka domów panujących i zawsze wielka liczba bogatych Anglików, a że panujący ówczcześni* miesiali zwykle bardzo liczne dwory i otaczali się tak magnacką młodzieżą swojego kraju, jak i ludźmi nauki albo talentu, więc towarzystwa tamtejsze bywały zwykle bardzo znakomite i pod każdym względem (jak się wyrażano naówczas) dystyngowane.

Tego roku niemniej świetne tam było zebranie. Dwóch książąt bawarskich, jeden esteński, królewicz württemberski i stary wielki książę wejmarski, stanowili główne domy i główne salony; kilku niemieckich uczonych, kilku poetów i muzyków dostarczali tymże salonom dowcipu i światła, a dworska młodzież ochoty i wesołości; a że Anglicy znowu, jak zwykle tak i teraz, poprzyjeżdżali z tak dostojnymi zapasami splenu, gburowatości i różnych dziwactw zamorskich, że niemi mogli bezpiecznie i dwa Karlsbady obdzielić, więc czego tylko kto z gości zapragnął, to znalazł natychmiast i wszyscy się bawili wybornie.

W tej pospolitej różnych narodów reprezentacji, Polska miała posłów także nie ostatnich; znajdował się tam bowiem natenczas wojewoda poznański, powracający z Paryża z żoną i dworem tak okazałym, że nim przesadzał nawet niektóre książęta; była pani kasztelanowa krakowska, wdowa po hetmanie wielkim koronnym, a rodzona siostra królewska, której, jako marszałek dworu, służył w tej podróży sławny z swej przebiegłości Kortyczelli, faworyt królewski; znajdował się książę biskup warmiński Krasicki, który nadzwyczajnej wziętości używał u wszystkich panów tam zgromadzonych i nawet przez nich był fetowany; a oprócz niego był także i Kajetan Węgierski, który, tak dla swego dowcipu jak i szczególniejszej biegłości w francuskim języku i literaturze, także był dobrze przyjmowanym i powszechnie lubionym. Wtedy to nawet Węgierski, który księcia biskupa zawsze rzetelnym otaczał szacunkiem i nawet swoje „Organy“ przypisał na cześć tego sławnego poety, wyrył wierszyk przy źródle neübrunskiem w tych słowach:

Ten co kastalskie źródło czerpał gdy był młody,
Czerpał dziś z tego źródła karlisbadzkie wody.
O wody! bądźcie mu tak jak tamte skuteczne,
Dajcie mu życie długie, bo z tamtych ma wieczne.

Za co od księcia biskupa został udarowany pierścieniem, a od pani kasztelanowej krakowskiej obiadem, na który byli zaproszeni wszyscy Polacy i drugie tyle cudzoziemców.

Polaków znajdowało się tam daleko więcej oprócz tych, któreśmy wymienili powyżej, a pomiędzy nimi także i starosta Jaorlicki, który wszakże, pomimo wszelkich wysiłen i starań, z początku bardzo nieodpowiednią swoim życzeniom zajął tam pozycyę, bo do domów książęcych i znakomitszych Polaków docisnąć się nie mógł, a cudzoziemców u siebie przyjmować nie chciał dla starościny, która żadnym innym, prócz polskim, nie władała językiem. Wszakże dojrawszy tego poczciwy Węgierski, dla przyjaźni i pamięci Jacka, ulitował się nie tak nad samym sta-

rosta, ile nad Petryną, która się niezdolnie nudziła, i zapoznał ich nie tylko z kilku co mniejszymi polskimi domami, ale nawet im parę zaproszeń do pani kasztelanowej i do wojewody wyjednał. Starosta, zbity z tropu na samym wstępie, już niewiele z tych znajomości korzystał, starościna się całkiem nie udzielała, ale Petryna pozabierała natychmiast znajomości i w krótkim czasie doprowadziła do tego, że nie tylko wszystkie przechadzki i zwykłe kąpielowe rozrywki odprawiała w towarzystwie zacnych dam i panienek, ale nawet zwabiła do siebie kilku adoratorów, którzy ją okurzali dymem zwietrzałych kadzideł.

Dziwnem się to wydawało szambelanowi, że ile razy ją spotkał, zawsze musiał się kręcić koło niej jakiś szarman śluzbisty, do którego ona się uśmiechała tak wdzięcznie i z którym rozmawiała tak poufale, jak gdyby go chciała koniecznie w otwartego konkurenta przerobić; dziwniej mu było to jeszcze, że ci szarmanci należeli najczęściej do rzędu tych ludzi, których szambelan nigdy o nie nie pytał, a odpowiadał im zawsze przez ramię; dziwiąc się temu, już to znajdował daleko stosowniejszem dla panny Petryny, że się codziennie po parę godzin wodziła ramię w ramię ze swoim własnym wujaszkiem i zawsze nadzwyczaj ożywioną z nim prowadziła rozmowę; ale nie mając ani obowiązku, ani czasu do tego, ażeby się tym ciekawym szczegółom z baczniejszą przypatrywać uwagę, przypatrywał się im tylko zdaleka. Lubo i zdaleka nawet, bystrego wzroku szambelan zrobił jeszcze kilka innych, równie ciekawych spostrzeżeń nad tą zagadkową istotą, w której sobie jego brat cioteczny tak upodobał; nie będziemy jednak tych spostrzeżeń powtarzać, bo nam teraz należy powrócić do Jacka.

Kiedy więc szambelan bawi się przewybornie i karbuje sobie różne o pannie Petrynie notatki, Jacek pędzi pocztą kuryerskim cwałem przeń dzień i noc.

Zasiane przez lekkomyślnego Ignasia nasiona podejrzeń i niepokoju, dziwnie wybujały w jego drażliwym sercu przez drogę. Wyjechawszy z Czerteżowa, przez parę dni pierwszych, nie mógł sobie dać rady ze sobą: zdawało

mu się, że Petryna tylko z nim grała komedję, że go oszukiwała, że ani krzty przywiązania dla niego nie było w jej sercu, że tego przywiązania nigdy w niej nie obudzi, że nigdy jej posiadać nie będzie... Skąd najdziwaczniejsze domysły tłumiły się z sobą w jego gorącej głowie, najokropniejsze uczucia odzywały się w sercu... Kręcił się jak oparzony w powozie, galopujące konie zdawały mu się kulawymi wołami, byłby pół życia dał za to, gdyby mógł być w tej chwili stanąć przed Petryną i w twarz jej popatrzeć...

Ale kiedy w dalszej podróży, trwającej parę tygodni, miał dosyć czasu na to, ażeby się nad wszystkimi szczegółami zastanowić dokładnie; kiedy sobie przypominał, jako Petrynka odrazu z zapalem prawie i sama się rzuciła w jego ramiona; kiedy sobie powtórzył każde jej słowo, których tyle było, a które wszystkie jak pacierz pamiętał; kiedy sobie odtworzył w pamięci jej uśmiech słodki i uprzedzający, jej oczy pełne czułego i sympatycznego wejrzenia, jakim go zawsze witała; kiedy nakoniec przypomniał sobie deklarację zrobioną staroście i jego skwapliwe przyjęcie, to się rozśmiał sam z siebie i nie mógł się dosyć nadziwić, jak też mógł być tak porywczym i lekkomyślnym, aby jakiegokolwiek podejrzenie względem Petrynki do swego serca przypuścić!

Pominąwszy Warszawę i zbliżając się coraz więcej do Karlsbadu, był coraz spokojniejszy i coraz szerszą oddychał piersią; a kiedy nakoniec wjechał w granice tego miejsca, w którym się znajdowała Petryna, to anielska słodycz rozlała się w jego sercu, zdawało mu się, że niebieskie harmonie pieszczą słuch jego, a pod ich wpływem najpiękniejsze sny całej młodości zamieniają się w rzeczywistość.

Za małą chwilkę będzie ją widział! za drugą chwilkę już może z ust jej różanych usłyszy nieocenione słowa: Twoja na wieki!

Jacek się miał za najszczęśliwszego ze śmiertelnych.

Nie można jednak powiedzieć o nim, ażeby kiedykolwiek dumnym był w szczęściu: przeciwnie nawet, każde

szczęście obudzało w jego sercu uczucie tkliwej wdzięczności i pomimo nadzwyczajnie wygórowanej ambicyi, nakłaniało go do pewnej pokory, która go znowu powodowała do panowania nad sobą w takich chwilach radosnych i do używania z umiarkowaniem tego szczęścia, które się stało jego udziałem. Dzisiaj, bądź to także wskutek takiego panowania nad sobą, bądź z tej przyczyny, że chciał Petrynce swoim przybyciem tem większą sprawić przyjemność, urządził się tak, że wjechał przez nikogo niepostrzeżony do Karlsbadu i zajmwszy pierwsze lepsze, które mu się trafiło, mieszkanie, zamknął się w niem, niechcąc przedtem widzieć nikogo, póki nie zobaczy Petrynki. O! w jakimż szczęściu, w jakiej pełni uczuć radosnych spędził on tych kilka godzin u siebie, które mu jeszcze zbywały do chwili zwykłych przedwieczornych przechadzek! Przypadek zdarzył, że z okien jego mieszkania widać było ten domek, który na mieszkanie dla siebie zajęli starostwo; było tam widać ganek duży kamienny z balustradą żelazną, na którym Petrynka zapewne po kilka godzin spędzała codziennie; było widać kwiaty i krzewy duże w donicach, które ona pielęgnowała swą ręką; czasem nawet postać jakaś w bieli pokazała się w drzwiach szklanych lub w oknie. Wszystko to widział Jacek przez szkła swego okna i serce mu biło z radości, że za chwilę sam w swojej osobie tam będzie, i cieszył się tego ganku ocionionego widokiem, i marzył z rozkoszą o tych wieczorach i rankach, które tam spędzać będzie we wzajemnym udziale harmonijnych uczuć miłości i jej wszystkich nadziei!

Na takich marzeniach i rozmyślaniach minęło mu kilka godzin, a tymczasem słońce letnie przestało już sypać swe skwary niezdolne na ziemię, powietrze się ochłodziło i napełniło świeżością i wonią, a w ganku przed mieszkaniem starosty pokazały się dwie postacie kobiece, które pomiędzy krzewami przy małym stolyczku usiadły i zajęły się czy książkami, czy jakąś robotką.

Jacek nie wątpił, że to jest starościna z swą siostrzenicą i będąc już całkiem ubranym, wyszedł od siebie, ażeby do nich pośpieszyć. W kilka minut był już przed domem

i patrząc ciekawemi oczyma pomiędzy krzewy, z bijącym sercem wstępował na wschody kamienne, prowadzące na ganek.

— Ach! pan Jacek! — zawołała z naturalnym uczuciem starościna, zobaczywszy go tuż przed sobą — nigdy-byśmy się nie spodziewały pana tu widzieć! jakaż to przyjemna dla nas siurpryza!

— Widzi pani — rzekł Jacek, witając starościnę — jak to ja się zwijam. Przed trzema tygodniami byłem jeszcze koło Chocima, a dzisiaj już prezentuję się moim łaskawym przyjaciołom w Karlsbadzie.

To mówiąc, ukłonił się także Petrynce, ale ona zaledwie kiwnęła mu głową i wzięwszy krzeselko, zasunęła się z niem w kąt ganku pomiędzy krzewy.

— Proszę pana, niechże pan siada — rzekła znów starościna — i niech nam pan opowiada co tam słyhać w Polsce? co się dzieje w Warszawie? o! jakże się mój mąż cieszyć będzie, skoro pana obaczy! Tyle razy wspominał o panu.

Jacek dziękował starościnie za pamięć męża, ale sam nie wiedział co mówi; on nie wiedział co się działo z jego istotą w tej chwili: wszystka krew ścięła się w jego żyłach. Wszakże zebrał się jeszcze i jakichś słów kilka do Petryнки przemówił; ale ona, wycedziwszy jakąś niezrozumiałą odpowiedź przez zęby, porzuciła robótkę trzymaną w ręku na stolik i wyszła natychmiast do otwartego przez drzwi szklane salonu.

Widząc to, Jacek zdrętwiał na miejscu i na chwilę stracił zupełnie przytomność. Dwieście mil dniem i nocą upalić na to, ażeby ją tylko widzieć, i przyjechawszy, tak być przyjętym, to mu się ani w głowie, ani w sercu nie mogło pomieścić.

Przez ten czas starościna coś szwargotała, czego on wszakże zupełnie nie słyszał i byłby nawet nie wiedział co odpowiadać, ale na jego szczęście wbiegł właśnie starosta. Starosta był zadyszany, spocony, oniemiały ze zmęczenia, i tak jak był, rzucił mu się w ramiona, wołając urywanemi słowy:

— Jak się masz! drogi! kochany! jak mi Bóg miły, całkiem się ciebie nie spodziewałem. Jakież jesteś dobry, pocziwy, nieoceniony!

I nim jeszcze Jacek mógł mu odpowiedzieć cokolwiek, on wziął go pod ramię i zaprowadziwszy w drugi kąt ganku, zaczął wypytywać, jak poszła sprawa z hołobuckiem starostwem i na czym się to skończyło?

Jacek opowiedział mu rzecz całą w krótkości, lecz obojętnie tak, jak gdyby go to na teraz nie obchodziło zupełnie. Ale starosta czy rzeczywiście, czy tylko rzekomo, uniósł się nad tak szkaradnym postępkem i mówił:

— Patrzajże pan, do czego to już nie doprowadzono i u nas! Czy słyszał kto kiedy, żeby komuś za rzeczywiste zasługi nadawano rzecz taką, z której nie można mieć żadnej korzyści? Czy słyszał kto kiedy, żeby coś komuś darowywano, co jest obcą własnością? No i cóż pan teraz z tem zrobisz? czy udawałeś się o to do króla?

— Nie udawałem się — rzekł Jacek dumnie — i nigdy się do niego nie udam. Kto komu krzywdę wyrządzi, to powinien sam wiedzieć o tem i starać się jak naprędzej tę krzywdę naprawić. Ja się o jej naprawienie ani prosić, ani kłaniać nie będę. Miałem już raz do czynienia z nimi i więcej mieć nie chcę.

— Ale zmiłuj się pan, to jest bardzo nie dobrze — rzekł na to starosta i zaczął szeroko i długo Jackowi wywodzić, że w takim razie nie należy się ani dumą, ani szlachetnością unosić, a gdzie idzie o korzyści i straty materialne, tam trzeba koniecznie sprawy dopilnować, bo sama nigdy się nie załatwi.

Tyle tylko dosłyszał Jacek z mowy starosty, bo w tej chwili właśnie Petrynka znowu weszła na ganek, ale tym razem była zwieszona na ramieniu jakiegoś jegomości, do którego uśmiechała się i mizdrzyła ze szczególniejszym humorem i zalotnością. Humor ten bardzo niemile przeraził Jacka, bo widać było, że Petrynka i dzisiaj go miała, tylko go nie miała dla niego; jednakże myśląc, że to była tylko chwila kaprysu, skończył prędko z starostą i zbliżył się do niej.

Ale nim jeszcze mógł do niej przemówić, ona zasunęła się prędko krzesłem od niego, na którym posadziła swojego gościa, a sama znowu wepchała się w kącik pomiędzy krzewy i odebrała przez to Jackowi nawet możliwość rozmawiania ze sobą.

Widząc to, młodzieniec nie umiał nawet zebrać swych myśli. Skąd taka nagła zmiana? z jakich powodów? i dlaczego środki zresztą okazywania tej zmiany takie jakieś niezwykcyjne i nawet dosyć nieokrzesane? tego ani mógł pojąć, ani przeczuć, i zaledwie mógł wierzyć swym własnym oczom.

Tymczasem nawet i myśleć o tem nie było czasu, bo gospodarz zapoznał go zaraz z nowym gościem, wskutek czego nowa się zawiązała rozmowa.

Gościem tym był generał polski, cudzoziemskiego auroamentu, Sas rodem, hrabia Talkendorf, człowiek pięćdziesięcioletni, pełen zacności i poważania u wszystkich, którzy go znali. Ten już słyshał o Jacku w Warszawie, wiedział o nadaniu mu hołobuckiego starostwa i nawet wiedział już skądś cały proceder i koniec tej sprawy; zaczął tedy zaraz rozmawiać z nim o tem i bardzo mu chwalił, że się tam gwałtu jakiegoś na Łęskim nie dopuścił, bo generał, stojąc przez długi czas na granicy tureckiej, znał Hołobuki i samego Łęskiego, i był tego zdania, że Łęskiemu tylko lada najmniejszego powodu potrzeba było na to, ażeby z niego w sposób najhaniebniejszy korzystać.

— Ja nie usprawiedliwiam kancelaryi królewskiej — mówił dalej generał z równym jak dotąd rozsądkiem — że nie miała dokładnych wiadomości o tem starostwie i nie przedłożyła królowi istotnego stanu rzeczy zawczasu, ale bardzo tutaj chwałę postępek króla, mocą którego tak energicznie temu zajazdowi zapobiegł, bo przy tym stosunku, w jakim tam do siebie są zawsze obustronne komendy graniczne, zajazd na dom takiej figury, jaką jest pan Łęski, byłby niezawodnie stał się powodem do jakiegoś konfliktu, który kto wie jakie szkody mógł przynieść rzeczypospolitej.

Kiedy to mówił generał, Petrynka patrzyła na niego

z jakimś wyrazem jeżeli nie złości, to przynajmniej ironii, co Jacek dobrze uważał i nie mało się dziwił, bo takiego brzydkiego wyrazu jeszcze nigdy dotychczas na jej twarzy nie widział. Generał potem mówił jeszcze dalej o tym samym przedmiocie, a tymczasem weszła na ganek generałowa, kobieta trzydziesto-letnia i słabowita cokolwiek, ale nadzwyczajnie miłej powierzchowności i tej ujmującej słodyczy w wyrazie twarzy i każdym słowie, która w kilku minutach każde prawe serce dla siebie zniewala i mimo woli skłania je, jeżeli nie do trwałej sympatyj, to przynajmniej do rzetelnego szacunku.

Jacek się zaraz poznał z generałową i po krótkiej rozmowie już stanął z nią na stopie tej znajomości, która się więcej nachyla ku statecznej przyjaźni, niżeliby miała się trzymać w granicach sztywnej etykiety i pustych frazesów.

Rozmowa ta wszakże była wysilającą dla Jacka, bo chciałby był się generałowej przedstawić takim, jakim był zawsze, a w nim drżały wszystkie nerwy jak struny harfy eolskiej na wietrze, i oczy jego mimowolnie się ku Petrynie zwracały, która siedziała pomiędzy liśćmi krzewów, z zachmurzonym czołem i ściągniętymi ustami, jak mała naśladowca zagniewanego Jowisza. Wysilenie więc to zmęczyło na koniec Jacka do tego stopnia, że pod pozorem zmienienia swojego tymczasowego mieszkania na inne, opuścił towarzystwo i wyszedł na chwilę niezatrutem odetchnąć powietrzem.

— Ale na herbatę do nas powrócisz? — rzekł do niego starosta, ściskając go za rękę.

— Wrócę najdalej za godzinkę, tylko się zabezpieczę o pomieszkanie wygodne.

Jacek poszedł do siebie i myślał nad tem, co widział. Ale ani dwie myśli nie złożyły się w ład w jego głowie. Nie mógł wierzyć sam sobie, żeby to mogło być prawdą. I nie wierzył nawet. I powiedział sobie: albo mi się większa połowa tego com widział przywidziała tylko, albo była to chwila kaprysu, która może już teraz minęła. Ręczę za to że jak powrócę, zastanę Petrynkę taką, jaką jest zawsze,

a przynajmniej choć grzeczną i zdradzającą to wychowanie, jakie ma rzeczywiście.

Z temi myślami powrócił napowrót do wujostwa Petrynki.

Teraz już wszyscy byli zgromadzeni w salonie. Generałowa siedziała ze starościną na kanapie, generał z starostą na małej kozetce, a Petrynka na krześle wysokiem pod oknem. Dzień jeszcze był i bogini zakochanego młodzieńca była zajęta jakąś robotą na kanwie, do której dobierała jedwabie. Popatrzywszy jej w twarz, zdawało się Jackowi, że jest już w istocie wypogodzoną, więc z dobrą miną do niej przystąpił, mówiąc:

— Po obiedzie zastałem panią w tak niedobrem usposobieniu, że obawiałem się, czyś pani nie doznała dzisiaj jakiego zmartwienia.

— Mnie w niedobrem usposobieniu? — zapytała ze złośliwym wyrazem Petryna — to się panu musiało przywidzieć. Nowakosiu! to nie ten kłębuszek jedwabiu, o którym ciebie prosiła, podaj mi żółto-pomarańczowy.

Panna służąca przyniosła kłębuszek żółto-pomarańczowy. Jacek stał oparty ramieniem o róg framugi i patrzył.

— Jakże pani znalazła Karlsbad? O ile się mogłem dowiedzieć na samym wstępie, bardzo ładne tu towarzystwo. Pani zapewne dobrze się bawi?

— Nowakosiu! proszę cię jeszcze o jeden żółty kłębuszek — zawołała znowu do drugiego pokoju Petrynka.

Jacek jeszcze stał przy framudze i patrzył.

— Pomiędzy innymi gośćmi znajduje się tutaj podobno ksiązę biskup warmiński. Jest tu także i mój kochany Węgierski. Czy widuje go pani czasami?

— Pana Węgierskiego? — powtórzyła przeciągle Petrynka — ach! cóż też to za nieznośna ta Nowakowska! wszystkie jedwabie mi pomieszała.

To rzekłszy, z gniewem wstała i poszła do drugiego pokoju.

Jacek opuścił framugę i poszedł do starosty i generała.

W chwilę potem wszedł jakiś młodziutki elegant w pudrowanej peruce, z herbejtem i w aksamitnym fraku,

ubrany pretensjonalnie, ale też i przesadnie i bez żadnego smaku. Wszedłszy, witał się ze starostą łamanym, polskim językiem, mówił kilka słów po niemiecku z generałem, innych słów kilka z paniami, i zaraz potem do Petrynki przystąpił.

Petrynka go powitała z uprzedzającą grzecznością, zaczęła z nim natychmiast bardzo ożywioną rozmowę, która czasem nawet pełna była chichotu i śmiechu, a jak tylko wniesiono światło, zasiadła z nim na drugiej kozetce, w takiej samej poufalej i pełnej wesołości rozmowie.

Jacek się temu przypatrywał bardzo ciekawie, a kiedy jeszcze do tego dojrzał, że Petrynka od tej rozmowy rzucała na niego niby jakimś tryumfującym wzrokiem, obrócił się do starosty i spytał:

— Proszę pana, kto jest ten młody jegomość, który rozmawia z panną Petryną?

— To jest pan Marek, syn kupca z Pragi, ale bardzo przyjemny chłopiec — odpowiedział starosta.

Na tę wiadomość Jacek odchrząknął, plunął zlekka za krzesło i wyszedł z salonu.

Kiedy Jacek powrócił do siebie i jeszcze mu się to wszystko mąciło w głowie i w sercu co czuł i widział, i słyszał, wpadł Węgierski do niego.

— Jak też można, kochany Jacku — zaczął on zaraz ze drzwi, jeszcze przed południem przyjechać i dotychczas nie dać mi choć wiedzieć o sobie.

— Nie dziw się temu — rzekł Jacek z flegmą, ale i z zaciśniętymi zębami — bo przecież wiesz dla kogo tu przyjechałem.

— Ach! prawda, zapomniałem o tem na wieki. No więc cóż? jakże twoja Petrynka? Heloiza, Giulietta czy Piotr w czepku, który się zaparł Pana Jezusa trzy razy?...

— Dotychczas zaparł mnie się dopiero dwa razy — rzekł Jacek z flegmą — ale nim kogut zapieje...

— Jakto? doprawdy? no widzisz, widzisz! ja mówiłem zawsze że tam jakiś czart siedzi w tem gnieździe... Ale na to będziemy mieli dość czasu i bądź pewnym, że postąpimy sobie tak jak na nas przystoi. A teraz po-

wiedz-no mi prędko, co się stało ze starostwem? bo tutaj już tysiączne wieści o tem chodzą, a nikt właściwie nie wie.

Jacek opowiedział w krótkości.

— Trembecki! — krzyknął na to szambelan — to sztuczka Trembeckiego. Już mi tu i kasztelanowa się z tem wygadała. Ale i temu my poradzimy i panu Trembeckiemu jeszcze raz mówkę pogrzebową sprawimy. Tylko czasu cokolwiek i cierpliwości.

— Jakto Trembecki? ja ciebie nie nie rozumiem.

— Trembecki podsunął królowi myśl nadania ci tego starostwa i koniec. Kiedyindziej ci to opowiem obszerniej, a teraz zabieraj się prędko, bo wiedz o tem, że mnie tu pani kasztelanowa krakowska przysłała, ażebyś cię do niej przywiózł na wieczór. Śliczny tam wieczór dzisiaj, będzie wielki książę wejmarski i książęta bawarscy, książę biskup i cała krema Karlsbadu. Porobisz ładne znajomości. A kasztelanowa mi koniecznie kazała cię przywieść, bo już wie o tej hołobuckiej intrydze, chce cię ze swojej strony za to odszkodzić i jeżeli będziesz umiał z jej chwilowego usposobienia korzystać, to ci pewnie w tej wikłaninie pomoże.

— Ale proszę cię — rzekł kwaśno Jacek — kiedy bo ja nie chcę znać ani książąt bawarskich, ani wejmarskich, i nawet za łaski pani kasztelanowej dziękuję. Ja tu przyjechałem tylko na dni kilka...

— Mój Jacku! — zawołał na to szambelan — tylko mi nie wpadaj w jakieś żałosne rozpacz. Bo jeżeli cię dzisiaj jaka osa ukąsiła, to się jeszcze z tego wygoisz i jeszcze siedem razy cię taka osa ukąsi, i siedem razy się z takich boleści wygoisz. *On ne meurt pas de ces douleurs!* Po wygojeniu się znów żyć będziesz, a jak tylko żyć będziesz, to i dobre znajomości się zdadzą. A zresztą... jeżeli ona tam cokolwiek grymasi, to właśnie jej trzeba pokazać, że sobie nic z tych grymasów nie robisz i bawisz się doskonale.

Jacek się nad tem zastanowił, a potem rzekł:

— Masz rację! pójdę i będę się bawił wybornie.

To rzekłszy, zawołał swego kamerdynera, przerzucił się natychmiast w batysty, koronki, aksamity i złote hafty i pojechał z Węgierskim na wieczór do pani kasztelanowej krakowskiej.

Lubo ten wieczór świetnością swoją pod każdym względem odpowiadał godności rodzonej siostry królewskiej i znaleźlibyśmy tam wiele zajmujących rzeczy do widzenia i podsłuchania, nie możemy jednak wcale zatrzymywać się przy nim, boby nas to odprowadziło od wątku naszej powieści; ale natomiast to nam powiedzieć wypada, iż chociaż Jacek miał tyle siły nad sobą, że na tym wieczorze był swobodnym, wesołym i rozmownym, tak jak gdyby był najszcześliwszym z ludzi, jednak skoro powrócił do domu, sztuczna siła go opuściła zupełnie, czarne myśli obległy jego głowę, rozpaczliwe uczucia opanowały serce i cała noc mu minęła w nadzwyczajnej dręczącej go bezsenności. Południe już było, kiedy się ze snu ciężkiego obudził. Po przebudzeniu znów takie same zaczęły się w nim odzywać uczucia, ale snem pokrzepiony, uczył już teraz dość siły w sobie, aby się opanować napowrót. Jakoż spokojny i obojętny na pozór, około południa poszedł do wujostwa Petrynki.

Ale dzisiaj dzień był oko w oko taki sam, jak wczorajszy.

Panna Petrynka traktowała tak Jacka, jak gdyby go znała tylko z widzenia, za każdym zbliżeniem się jego wysadzała się w niegrzecznościach i nieokrzesaniu, a z jmné panem Markiem, kupcem z Pragi, ale chłopcem bardzo przyjemnym (jak powiadał starosta) bawiła się wesoło i doskonale.

To już w ambitnym młodzieńcu poruszyło całą miłość własną do gruntu, i już chciał natychmiast się od niej odwrócić na zawsze. Ale też sama miłość własna jeszcze mu nie dała uwierzyć w rzeczywistość tego co widział i każała mu być cierpliwym i czekać jeszcze dobitniejszego dowodu.

Z takim usposobieniem przyszedł on jeszcze po obiedzie do starosty Jaorlickiego.

Zastał tam towarzystwo z kilkunastu osób złożone, które się właśnie wybierało na jakąś przechadzkę. Jacek się do nich przyłączył. Przez drogę trzymała się Petrynka boku generałowej, co było bardzo przyjazną konstelacją dla Jacka, bo generałowa już dobrze wiedziała o co Jackowi chodziło, i jakiekolwiek zdanie mieć mogła o jego szczególnym guście, gotowa jednak była do pośrednictwa i wszelkich ułatwień. Ale to wszystko nie nie pomogło. Petrynka bowiem odpowiadała Jackowi ni w pięć ni w dziewięć, a jak tylko mogła, usuwała się wyraźnie od niego. Zniecierpliwiony tem do ostatniego, młodzieniec postanowił nareszcie wszystko od razu postawić na kartę i pomimo tak nieprzyjaznego do wyznań usposobienia, zapytać ją otwarcie, co to wszystko ma znaczyć? — ale przebiegła kokieta musiała to przedsięwzięcie z jego twarzy wyczytać, bo od tego momentu stała się całkiem nieprzystępną dla niego.

Kiedy powrócili z przechadzki, zatrzymali się wszyscy przed domem starosty, ażeby się tam pożegnać i porozchodzić do siebie. Jacek wciąż jeszcze trwał w swoim postanowieniu, chcąc koniecznie dzisiaj los swój stanowczo rozstrzygnąć. Ale tymczasem zwrot przypadkowy ogólnej rozmowy, uwolnił go w kilku sekundach od wszelkich dalszych zabiegów. Kiedy bowiem jeszcze Petrynka, generał z żoną i Jacek, zostali się sami przed domem, nie mogąc się zdecydować, co mają robić ze sobą, odezwał się generał:

— No cóż teraz będzie? Ja sędzę, że niech nasze panie idą sobie do domu, a my, panie starosto, chodźmy chyba przypatrzyć się linoskokom, którzy dziś dają tu widowisko.

— Ej to już późno — zauważył Jacek, który już nie chciał się od Petryny oddalić — szósta godzina, a oni mieli zaczynać o czwartej.

— Ale jeszcze dosyć macie panowie czasu — rzekła na to dobitnie Petrynka, patrząc z wyraźną ironią w oczy młodzieńca — idźcież więc sobie na teatr, a my pójdziemy do domu.

Słowa te, wyszłe z ust Petryny, były zanadto wyraźne, ażeby ich nie mieli zrozumieć wszyscy. Najlepiej wszakże zrozumiał je Jacek i czuł się tak obrażonym dotkliwie, że już dalej i dłużej nie mógł się dać obrażać. Ukłonił się więc jej grzecznie i natychmiast odszedł z generałem.

Wszakże uszedłszy kilkanaście kroków, wymówił się bólem głowy i porzuciwszy swojego towarzysza, do siebie powrócił.

Znalazłszy się w swoim pokoju sam na sam ze sobą, najpierwej się w nim obudziło uczucie, łyzy mu stanęły w oczach i żal go porwał gwałtowny.

— Tyle serca, tyle miłości, tyle poświęcenia bez granic — mówił on, łkając i zanosząc się w żalu — i to wszystko rzucić na taką skałę niewdzięczną, o Boże! cóżem ja Tobie zawinił!...

Chodził potem po pokoju i łyzy mu się lały strumieniem po twarzy. Im więcej sobie przypominał, ile ją kochał, ile mu drogiem było każde jej słowo, każde spojrzenie, jak był gotów wszystko, wszystko poświęcić, aby jej tylko jaknajwiększe szczęście zapewnić — tem głębszy żal krajał mu serce i tem obfitsze łyzy wylewały się z oczu.

Ale Jacek nie należał do rzędu tych ludzi, których lada co może pognębić. Rogata dusza siedziała w tym kawalerze, która przy obrażonej miłości własnej, stawiała się zwykle jeszcze daleko upartszą. Toż i teraz niebawem się otrząsł z łez swoich i żalu, i rzekł do siebie samego:

— Za tą, do której się schyliłem, ażeby ją podnieść ku sobie, która najpiękniejsze uczucia moje depcze złośliwemi nogami i która nawet zmiany swojej nie umie objawić inaczej, jak tylko gburowatymi fochami, za tą ja będę rozpacział i łyzy gorzkie wylewał?... O nie! Czyż nie dosyć tych łez, które dotychczas wylałem?... Dosyć! — zawołał Jacek tak samo, jak niegdyś Łukowski w Lublinie, i umywszy twarz zimną wodą, zaciął się w swoim nowem postanowieniu i zaparł się swojej miłości na zawsze.

W chwilę potem posłał po powóz i do szambelana pojechał.

Zastał on go na swoje szczęście w najlepszym usposobieniu: szambelan bowiem dopiero co z obiadu od któregoś z książąt powrócił i będąc dosyć zmęczonym, postanowił sobie nie wychodzić dzisiaj już z domu.

— Wybornieś zrobił, kochany Jacku — rzekł on, leżąc na sofie, do wchodzącego swojego brata — żeś teraz przyjechał do mnie, bo odbyłem już służbę moją dzisiajszą i mogę być cały na twoje usługi. Powiedzże mi tedy, cóż się dzieje z jmną panną Petryną?

— Z mojej strony — rzekł Jacek — już nic się nie dzieje, ani się kiedykolwiek dzieć będzie, bo jak mnie widzisz, jestem już gotów zupełnie.

— Jakto? więc się rzeczywiście zaparła? jak gdyby nie nigdy nie było?

— Zaparła się po raz trzeci...

— Zaparła się! — zawołał z niecierpliwością Węgierski — proszę cię, powiedzże mi jak to było, bom nadzwyczajnie ciekawy.

Jacek był bardzo kontent z tego, że się ma przed kim wygadać; jakoż opowiedział Węgierskiemu cały swój romans od początku aż do dnia dzisiejszego, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami.

— To są dziwne rzeczy i wcale nieodgadnione — rzekł na to szambelan — dobrze ja zawsze mówiłem, że tam czart jakiś siedzi w tym domu, bo mi to już nawet wtedy na myśl przychodziło, kiedy Hilzen starał się o nią. Co do ciebie wszakże, zdaje mi się, czyś trochę za gorąco nie postąpił...

— Jakto za gorąco! — zawołał Jacek — chyba za flegmatycznie! bo ja powinienem był zaraz pierwszego dnia się odwrócić i odejść na zawsze. Mój kochany! ja o dwieście mil przyjechałem, ażeby ją widzieć. Toż żeby do mnie mój podstarość z Zarwiwód przyjechał, to jeszcze bym go nie potrafił tak przyjąć...

— Ale bo to kobiety mają różne kaprysy...

— Za kobietę z takimi kaprysami ja dziękuję, bo takiej żony mieć nie chcę. A zresztą, mój kochany, i tyśiąc innych pięknych rzeczy mi się odkryło. Już weź tylko

to samo, w jaki sposób mi daje do poznania swoją niechęć, to i to będzie już dosyć. Tylko subretki się odwracają plecyma do swoich kochanków, ale kobieta dobrze wychowana, nawet kiedy komu piółun ma podać, to i ten jeszcze kwiatami otoczy. Jeżeli nie tyle delikatnego uczucia, to przynajmniej tyle wychowania powinna mieć każda, a jeżeli go nie ma, to nie może mieć pretensyi mieszczenia się w towarzystwie dobrego tonu.

— Hm! nie ma kwestyi. Zgadzam się z tobą zupełnie. Ale w gruncie rzeczy to prawie na jedno wychodzi. Te piółunki pomiędzy kwiatkami...

— Przepraszam ciebie, nie jest to wszystko jedno. I największa gorycz mi miłsza, jeżeli podana jest w formie takiej, do jakich form jestem przyzwyczajony i jaka mi się należy. Ale dajmy już pokój temu. Ja panny Petryny nie odmienię, a co się stało, to się już nie odstanie. Niech ona sobie robi, co jej się podoba, to mi jest wszystko jedno. Gdyby dziś przyszła do mnie i ze łzami żalu mi się w ramiona rzuciła, tobym się na bok usunął... Jednakże temu nie mogę się dosyć nadziwić, dlaczego to się stało? Bo jużciż jeżeli mnie uznawała godnym siebie w Warszawie, tom ja teraz się ani na jotę nie zmienił. A jeżeli jej się nie podobał w Warszawie, to dlaczegoż mnie sama tak gwałtownie pociągnęła ku sobie i dlaczego mnie tumańczyła tak długo? Są kobiety, które się lubią otaczać wielbicielami, ale ja bo wielbicielem nie byłem ani dwóch tygodni, tylko odrazu stałem się konkurentem. Jako taki bywałem zawsze w ich domu, jako taki asystowałem Petrynce wszędzie, za takiego ona sama mnie miała i jako taki nareszcie deklarowałem się jej wujowi... Jakim sposobem związek tak blizki i głośny można potem w ten sposób i bez żadnego powodu rozrywać, tego ja nie pojmuję. Bo jużciż z takimi rzeczami się żartów nie stroi, a kto je stroi ten nie ma ani krzty charakteru.

— Ona, jak widać — rzekł na to Węgierski — żarty sobie z tem stroi, bo tak samo prawie zrobiła z Hilzenem. Ale na jaki koniec?... tegom ja ciekawy. Bo takich żartów koniec łatwo jest przewidziany; raz i drugi żart się uda,

ale potem się osiada na koszu na zawsze. A nie sędzę przecież, żeby panna Petryna była tak naiwną i nie umiała tego przewidzieć. Chyba... chyba, że to jest tylko sztuczka jakaś z jej strony... chyba że nie trzeba jej wielbicieli, tylko konkurentów od czasu do czasu... parawanów do zakrycia jakiegoś innego romansu, bo i to także kobiety umieją.

— Jakto parawanów, ja tego nie rozumiem?

— Poczekaj-no — rzekł na to Węgierski, zrywając się z sofy, jeszcze czasu jest dosyć, ja pójdę do panny Petryny. My się znamy tak dobrze, że możemy odrazu wejść *in medias res* i porozumieć się w kilku słowach. Ja pójdę i dowiem ci się wszystkiego. Nie dowiem się może powodów, ale dowiem się co myśli o tobie i o całej tej konkurencyi, a potem dojdziemy wszystkiego. Któż jeszcze wie? możesz ją czem niechcący obrazić... może jest w paroksyzmie kaprysów... może już się zreflektowała i za chwilę będzie znów wszystko inaczej.

— O nie! — zawołał na to Jacek — inaczej już nigdy nie będzie. Petryna jest obcą dla mnie i żoną moją nigdy nie będzie. Nie chcę żony bez wychowania, kobiety i mizdrzącej się do lada kupczyka. Ale jeżeliś tak łaskaw, to jedź, proszę ciebie, i staraj się ją wyrozumieć. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, co ona o tem myśli i dlaczego tak się nagle zmieniła.

— Za godzinę będziemy wiedzieć wszystko co można — rzekł na to Węgierski, biorąc kapelusz, i wsiadłszy z Jackiem do powozu, odwiózł go do domu, a sam pojechał do starosty Jaorlickiego.

ROZDZIAŁ XIV.

Za godzinę szambelan już był z powrotem u Jacka.

— Widzisz — rzekł on do niego — tak się sprawuje poselstwa. Wiem już wszystko co trzeba. Ale to

dziwne są rzeczy, bo relacya twoja z relacyą panny Petryny nie a nie się nie zgadza. Gdyby nie było innych powodów, to już dlatego samego nie powinienes się z nią żenić, że tak różni jesteście ze sobą w zdaniach, a nawet i wzrok macie różny, bo patrzycie na rzecz jedną i tę samą, a każde z was widzi co innego.

— No, cóż mówiła? proszę cię, powiadaj mi prędko, bom niezmiernie ciekawy.

— Mówiła tedy najpierwej — zaczął szambelan — iż nie pojmuje wcale, jakim sposobem tobie mogło przyjść na myśl, że ona ma do ciebie jakąkolwiek sympatyą, bo ona ci nie dała do tego żadnego powodu.

— Żadnego powodu? — zapytał Jacek — a! pozwól-że mi...

— To są słowa panny Petryny. Powtóre utrzymuje taż panna Petryna, że obawiając się tego, ażebyś ty jej grzeczności dla siebie nie wziął za coś więcej, niżeli za prostą grzeczność, kazała ci to dać do zrozumienia przez chorążego, który nawet miał obowiązek zwrócić twoją uwagę na to, że twoje częste w domu starosty bywanie może się stać powodem do nieuzasadnionych domysłów.

— Co? chyba żartujesz? — rzekł na to Jacek.

— To są słowa panny Petryny — powtórzył Węgierski.

— A to już chyba ja jestem szalony! bo przecież sam wiesz dobrze, że rzecz się miała zupełnie przeciwnie i Petrynka sama przyjeżdżała do chorążego, ażeby mnie prosić przez niego, ażebym bywał. Tego, przyznam ci się, że nie pojmuję. Jest przecież chorąży.

— Po trzecie, powiedziała mi wyraźnie panna Petryna, że do ciebie nigdy żadnego przywiązania nie miała i mieć go nawet nie mogła, bo kocha się wcale w kim innym.

— Jakto? i to ci powiedziała wyraźnie?

— Powiedziała wyraźnie. A kiedym się chciał koniecznie dowiedzieć, ktoby był tym szczęśliwym, dała mi do zrozumienia, że nim nie jest kto inny, tylko młodziutki, siedemnastoletni wojewodzie witebski...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to Jacek śmiechem piekielnym — to już na przyszły rok będzie pewnie Radziwiłł!

— Po czwarte zapewniła mnie panna Petryna, że ma dla ciebie niesłychany szacunek i poważanie...

— Dziękuję, dziękuję — rzekł na to Jacek — zdarzy się komu czasem spaść z wozu lub z konia, to i mnie się to zdarzyło.

— Ba! żeby z konia — zawołał szambelan — ale tobie się gorzej zdarzyło. Tyś wlaźł w kałużę, która się do księżycy jak gładki kamień świeciła, lecz trzeba wyleżeć z tej kałuży...

— Już tak jak wylazłem. Nie zostaje mi nic, jak tylko najprędzej odjechać...

— A niech Bóg broni! — rzekł na to szambelan — a tożby jej tylko tego było potrzeba! Zaraz jutro wiedziałaby cały Karlsbad, że starosta hołobucki za panną Petryną dwieście mil przypędził, wziął kosza i z zakrwawionem sercem odjechał. To samo za parę tygodni wiedziałaby cała Warszawa. A na co to ludzie mają wiedzieć, co nie jest? Nie ty od panny Petryny, ale ona od ciebie dostanie kosza, ją splantujemy tak, żeby wszyscy wiedzieli o tem, i my cofniemy słowo nasze dane i wzięte od starosty, a nie on od nas. Panienkę trzeba troszeczkę rozumu nauczyć, to jej się przyda na przyszłość, a ty sobie zabawisz jeszcze w Karlsbadzie parę tygodni i będziesz się bawił wybornie. Wszakże ci nic nie przeszkadza do tego?

— Nie zgoła.

— Więc przy mojem zostaje?

— Zapewne, masz rację, takiego żartu nie należy mi puścić płazem; chociaż znów z drugiej strony... przebaczę chętnie, byłem tylko jaknajprędzej zapomniał!

— I to możesz uczynić jak zechcesz, ale aż czas będzie na to. Przebaczać jest to nauka wyjęta z Nowego Testamentu, ale przed Nowym Testamentem był Stary, a tam stoi wyraźnie: ząb za ząb, a oko za oko. Trzymajmyż się więc przyrodzonego porządku, a jak weźmiemy oko za oko, to potem jej przebaczymy.

Jacek się śmiał z tego i mówił:

— Dziwną masz logikę czasem, kochany Kajetanie.

— Każdy ma swoją logikę, a ja sobie mojej nie ganię. Więc tedy zostaje przy tem, co proponuję?

— Dlaczegoż nie? owszem. Zgadzam się z tobą zupełnie.

— Ale to nie dosyć jeszcze zgodzić się ze mną w zdaniu, bo trzeba mnie jeszcze posłuchać. Tybyś i sam sobie dał radę, ale ty jeszcze jesteś pod wpływem żalu...

— O! broń Boże! jaknajzupełniej nie. Moje postanowienie jest niewzruszone.

— To bardzo ładnie, ale to mi jeszcze nie daje dostatecznej za ciebie rękojmi, bo jak rzeczy wezmą inny obrót, to gotówes się dać zmiękczyć.

— Jakiż inny obrót mogą wziąć te rzeczy, kiedy ja już żadnego kroku nie zrobię?

— Ty nie zrobisz, ale może go zrobi kto inny.

— To i w takim razie nie dam się po raz drugi oszukać.

— Otóż o to mi chodzi. Dajże mi więc słowo na to, że mi się całkiem oddajesz w opiekę i tylko to będziesz robić, co ja zadysponuję.

— Masz moje słowo — rzekł na to Jacek z uśmiechem, podając rękę szambelanowi.

— Pierwsza tedy dyspozycja — rzekł szambelan — jest następująca. Będiesz bywał u starosty jak dotąd i nie okażesz najmniejszej zmiany po sobie. Będiesz wesołym, rozmownym i jaknajzupełniej swobodnym, tak jakbyś był najszcześniejszym z ludzi. Będiesz emablował ze wszystkimi damami, będziesz niewyczerpanym w rozmowie z wszystkimi... ale do Petryнки będziesz się zawsze obracał plecami. Jeżeliby do ciebie coś przemówiła, nie odpowiesz ani słowa, a w razie konieczności wycedzisz odpowiedź przez ramię. To będzie bardzo niegrzecznie z twojej strony, ale subretkę trzeba traktować jak subretkę i zresztą to tylko nas może zaprowadzić do celu. Żeby cię zaś nikt o niegrzeczność nie posądził, będziesz dla innych dam dwa razy grzeczniejszym niż trzeba, dla panny

Petryny zawsze najniegrzeczniejszym. Jeżeliby jej chustka upadła na ziemię, będziesz patrzył na chustkę i na nią, ażeby wiedziała, że widzisz i nie podniesiesz umyślnie; jeżeliby się zaś ona patrzyła z pretensją na ciebie, to w takim razie wstaniesz i chustkę nogą przydepczesz do ziemi. Jeżeliby ten kupczyk burzył się na to i ujmując się za Petryną, dał ci swoją niechęć w jakikolwiek sposób do zrozumienia, to go pogłaskaj po pudrowanej peruce i spytaj poczemu pieprz w Pradze. A jeżelibyś go i tem jeszcze nie zadowolnił zupełnie, to mu powiesz z trzeciego piętra, żeby się postarał o indygenat przynajmniej czeski, a potem się z nim rozmówisz. Tak sobie postępuj teraz, ja was tam będę odwiedzał, a za trzy dni, jak obaczymy jakie stąd skutki wynikną, ułożymy postępowanie nadal. Tymczasem zaś bądź zdrow, bo to już koło jedenastej, a ja śpiący jestem haniebnie.

To rzekłszy, szambelan pobiegł prędko do siebie.

Namyśliwszy się Jacek nad tą radą, odgadł w ten moment do czego szambelan zmierza i plan jego bardzo mu się podobał. Jacek czuł się obrażonym głęboko, tem głębiej jeszcze, ile że tego rzędu panienka, do jakiego należała Petryna, nie miała żadnego prawa poniewierać takim konkurentem, za jakiego, bez żadnego zarozumienia, mógł się trzymać hołobucki starosta; uznał tedy za słuszne nie puścić płazem takiej obrazy i lekkomyślnej kokietce zostawić po sobie nauczkę na całe życie.

Zaraz tedy nazajutrz wziął się do wykonywania tego zamiaru i postępował ściśle podług przepisu szambelana. Był u starostwa Jaorlickich przed obiadem, rozmawiał wiele ze starostą, staroście mnóstwo grzeczności nagadał, a Petrynkę traktował tak, jakby jej całkiem nie było w salonie.

Po południu zebrało się, jak zwykle, z kilkunastu osób złożone towarzystwo, na jakąś dalszą przechadzkę. Jacek asystował generałowej i jako z kobietą pełną wykształcenia, rozsądku i najszlachetniejszych uczuć, bawił się przewybornie, nadskakiwał potem innym damom i pannom, konwersacyę ożywiał, podniecał i rozweselał, ale dla Pe-

trynki nie miał ani jednego słowa. Kiedy jej parasolka z ręki wypadła, spojrział na parasolkę i minął, a kiedy Petrynka w rozmowie ogólnej odezwała się z jakim zdaniem, to jej na to nie odpowiedział, ale to zdanie podniósł i tak je wyśmiał, wyszydził i sponiewierał, jak najwierutniejszą płaskość bez sensu. Nieubłaganie konsekwentny w swem przedsięwzięciu, wytrwał w takim postępowaniu aż do samego wieczora; a kiedy towarzystwo się rozchodziło do siebie, nie mógł tego nie widzieć, że Petrynka była jak gdyby pomieszana i jakoś całkiem straciła swoją tak niezawodną wymowność.

Następnego dnia w zwykłej przedobiedniej godzinie Jacek znowu poszedł do wujostwa Petrynki. Postępowanie jego dzisisiejsze było oko w oko takie samo jak wczoraj. Po obiedzie znów taka sama przechadzka i znowu ta sama scena z Petrynką; skutek tylko był dzisiaj cokolwiek odmienny, bo Petrynka już daleko wcześniej dzisiaj straciła humor i ze złości tak zmaltretowała praskiego kupczyka, że się do niej już nie śmiał przybliżyć podczas całej przechadzki. Kiedy się zatrzymano przed domem starosty, dla zakończenia konwersacyi i ułożenia planów na jutro, pokazał się nagle szambelan. Szambelan był bardzo grzecznym dla Petrynki i wiele z nią mówił, ale Jacek przez to ani na chwilę nie wypadł z swej roli i korzystając z konwersacyjnego talentu swojego brata, który tysiąc przedmiotów umiał poruszać od razu, znalazł sobie jeszcze nie jedną sposobność rzucenia zręcznie Petrynce ironicznych przycinków.

Kiedy się damy porozchodziły, szambelan, generał i Jacek, przechodzili się jeszcze długo po pod domem starosty, przed którego oknami, a stamtąd i dalej, były pozakładane plantacye drzewek z kwiatowymi klombami. Podczas tej przechadzki Jacek zauważył, iż po kilka razy odsunęła się firanka w jednym oknie pomieszkania starosty, a z poza firanki wyglądała również kilka razy ciekawa twarzyczka Petrynki. Zauważył to także i szambelan i chcąc na to zwrócić uwagę Jacka, rzekł niby z niechcenia:

— Panna Petryna coś ciągle wygląda z okna, musi mieć tutaj kogoś pomiędzy nami, komu się nie może dosyć napatrzeć.

— Jużci nie mnie pewnie — rzekł na to z uśmiechem hrabia — tylko któregoś z was, moi panicze.

— A kto wie! — zawołał Węgierski — starzy żołnierze to czasem dziwnie sprytni są nawet i w tak drobnych wojnach, jakie się odbywają w salonie.

— Nie bluźnijże, proszę ciebie — odpowiedział generał — przecież mam żonę. Już to za którymś z was koniecznie zagłada tutaj panna Petryna.

— Ani za panem generałem, ani za żadnym z nas — rzekł na to Jacek — tylko najpodobniej za panem Markiem, kupczykiem z Pragi, ale bardzo przyjemnym chłopcem, jak powiada pan Jaorlicki, a co uczynkiem potwierdza jego siostrzenica.

— Niechże ci Bóg sekunduje, starosto! — rzekł na to hrabia, ściskając obydwie ręce Jacka — jakże od dwóch dni jesteś złośliwym. Ale masz rację, masz rację, jabym jeszcze złośliwszym był w twojem miejscu. Bo co też to się dzisiaj nie dzieje na świecie! Nie mówię już nic o kupcykach, z którymi, jak długo żyję, nie znajdowałem się jeszcze ani razu w kompanii, ale cóż też to macie dziś za kobiety! Myśmy byli szczęśliwsi od was, jeszcze to jakoś inaczej bywało wtenczas; ale wy bardzo już musicie być ostrożni w wyborze.

Jacek nie bardzo był skłonny do zwierzeń i nie podnosił tego przedmiotu, ale szambelan go podniósł i starał się zręcznie wyrozumieć, co też wie o tem generał. Po krótkiej rozmowie pokazało się, że nie tylko generał, ale i jego żona i całe towarzystwo trzymające się razem, wiedziało tak dobrze cały stan rzeczy, jak gdyby byli całemu romansowi przytomni, a lubo Petrynka starała się zrazu rzecz tę zdaleka całkiem inaczej przedstawić, nikt jednak jej nie uwierzył, bo kobiety znają się dobrze pomiędzy sobą i mają jeszcze do tego instynktu, które rzadko je mylą. Nie mogli się tedy dosyć nadziwić Petrynce, jak mogła tak mało mieć jeżeli nie stateczności, to przynaj-

mniej rozsądku, znienawidzono ją powszechnie i tak Jacek pomimo woli miał całe towarzystwo za sobą.

Ta wiadomość ucieszyła szambelana niezmiernie, a kiedy się z Jackiem rozchodził, rzekł mu:

— Sprawa nasza idzie wybornie, przez jutro jeszcze trzeba wytrzymać w tej samej pozycji, a na pozajutro zmienimy znów nasze role.

* * *

Nazajutrz tedy Jacek zachował się znowu tak samo względem Petryny, tylko jeszcze był mniej litościwym, a więcej ironicznym i pogardliwym.

Wszakże tego już znieść nie mogła na żaden sposób Petryna. To też dzisiaj nie tylko humor i wymowność całkiem ją odstały, ale nawet straciła już zwykłą swą równowagę umysłu i sama nie wiedziała co robi. Spoglądała co chwilę i coraz to innym wzrokiem na Jacka, odzywała się ciągle do rozmowy i jak się pokazywało ze wszystkiego, usiłowała koniecznie jakimbyś kosztem odmienić jego usposobienie dla siebie. Żądza ta, mająca zapewne swe źródło w obrażonej miłości własnej, owdągnęła ją do tego stopnia, że nie wahała się narzucać mu się sama, za obojętność kamienną odpłacać mu zręcznymi pochlebstwami i ledwie nie błagać o przebaczenie.

Kiedy powrócili z dzisiejszej przechadzki i wedle zwyczaju zatrzymali się przed domem starosty, a został jeszcze generał z żoną, jego synowica, młodziutka, ślicznie wychowana i cudownej urody panienka, z swoją guwernantką Francuzką, a oprócz nich Jacek i uczestniczący w dzisiejszej przechadzce Węgierski, Petryna nawet nie wahała się prosić Jacka do wujostwa na herbatę, mówiąc:

— Pani generałowa idzie jeszcze do cioci na godzinę, może i pan będzie łaskaw...

— Nie, pani — odpowiedział Jacek z sztywnym ukłonem — my idziemy dziś z Kajetanem do księcia biskupa na pogadankę wieczorną.

Z temi słowami odszedł natychmiast z Węgierskim.

— Brawo, Jacku — rzekł do niego szambelan, kiedy już byli sami, odegrałeś swoją rolę daleko lepiej, niżem się mógł spodziewać.

— A za kogóż mnie masz? — zapytał Jacek przecież mam dosyć silną wolę, ażebym sobie mógł coś rozkazać i rozkaz wypełnić.

— Brawo! wybornie! stało się to, com przewidział; ale teraz trzeba nam ton zmienić cokolwiek, aby struna nie pękła.

— Na jutro — rzekł Jacek — będę już większym troszeczkę, będę się niby poddawał, porzucę ironię i wszelkie sarkazmy, a zostanę tylko obojętnym.

— Tak, tak, moje dziecko — zakończył Węgierski — jesteś widzę tak pojętnym, że lada dzień swego mistrza prześcigniesz. Obaczymy co jutro będzie, i znowu tak wytrzymamy ze trzy dni, a jak ci się Petrynka odda napowrót, to wtedy znów pomyślimy nad tem, czy się z nią ożenić, czy osadzić na koszu?.. Ale tymczasem chodźmy istotnie do księcia biskupa na chwilę; nie ma dzisiaj żadnego wieczoru i pewnie go zastaniemy u siebie.

Od tego momentu Jacek się znacznie odmienił w swoim zachowaniu względem panny Petryny. Nie był uprzedzającym ani nawet grzecznym zanadto, ale przecież już od niej się nie odwracał, nie przeczył jej gdy mówiła, a nawet czasem jej odpowiadał. Widząc tę zmianę, łakoma dawnych hołdów dziewczyna, rzuciła się z całą energią do zniewolenia odstępcy dla siebie na nowo i nie szczędziła niczego, a nawet nie przebierała pomiędzy środkami, mogącymi go znowu zahaczyć i do siebie przyciągnąć. A ponieważ Jacek bardzo twardo się trzymał i dużo czasu potrzebował na to, nim się o krok jeden ustąpił, ona zaś nadzwyczajnie niecierpliwie osiągnięcia celu swojego pragnęła, więc jej żarliwość wzmogła się z czasem do tego stopnia, że nie wahała się w oczach wszystkich szturm wyraźny przypuszczać do niego i przeemocą go prawie zdobywać.

Im więcej się Jacek opierał, tem natarczywszą się stawała Petryna; dosyć że po dniach kilku tej walki, odby-

wanej z woli Jacka umyślnie w przytomności całego towarzystwa, nie tylko nikt wątpić o tem, kto tu jest stroną zaczepną, a kto odporną, ale nawet wszyscy się dosyć nadziwować nie mogli, jak można tak nagle front zmienić i z taką żarliwością się starać o powrót odmówionego hołdu.

A kiedy tym sposobem Jacek stanął znowu w tym samym stosunku do Petryni, w jakim stał do niej na początku tej konkurencji i nareszcie już cały świat to widział na własne oczy, że nie on o nią, ale ona konkuruje o niego, zastanowił się Jacek i za pośrednictwem szambelana przystąpił do rozwiązywania komedji.

Szambelan króla Stanisława Augusta nadzwyczajnie był zręcznym maszynistą, przedstawiał on nieraz tysiączne sztuki na scenie, sam stojąc za kulisami i pociągając tylko za sznurek lub kręcąc korbą; a kiedy już ponaciągał wszystkie sprężyny, to zwykle sam wlaził na parter, przypatrywał się komedji wraz z publicznością, która, widząc go śmiejącego się do rozpuku i bijącego oklaski, ani marzyła o tem, że autor spektaklu pomiędzy nią się znajduje.

Tak samo postępował on sobie i tutaj.

Jakoż zaraz dnia następnego rano nie on, ale generał podał projekt, ażeby dla hołobuckiego starosty, który był tak grzecznym, że przyjechał odwiedzić swoich ziomków w Karlsbadzie, dać przyjacielski obiadek.

Jacek wymawiał się bardzo od tej niezastudzonej grzeczności, utrzymując przy wszystkich, że się w Karlsbadzie znajduje tylko przypadkiem, że jedzie stąd do Drezna, do Berlina i dalej, i że wcale nie zasłużył na takie podziękowanie; ale generał wraz z całym towarzystwem uparł się przy swoim i obiad został postanowionym na jutro.

Po południu odbywała się zwykle przechadzka, ale Jacek nie wziął w niej udziału, jak zwykle, do końca, albowiem wpół drogi dopędził ich powozem Węgierski i pod pozorem prezentowania go któremuś z książąt zagranicznych, zabrał swego brata ze sobą. Bardzo tęsknym wzrokiem żegnało ich całe towarzystwo, lecz najtęskniejszym Petryna, bo jej się zdawało, że Jacek był dzisiaj

już bardzo grzecznym i nawet sentymentalnym. Wszakże jakim był Jacek dla niej w istocie, nie miała już sposobności przekonać się, aż przy samym obiedzie.

Obiad ten dnia następnego był przygotowanym na ostatecznym końcu przedmieścia, w ogrodzie pod gołym niebem. Dzień był prześliczny lipcowy, niebo przezroczyste jak kryształ i żadnej chmurki nie było na jego delikatnym lazurze. O! czemuż nie są tak przezroczyste i serca ludzkie! Ileż smutków, ile zawodów, ile nieszczęściaby przez to ubyłó ich życiu.

Stół był nakryty, zastawiony kwiatami, owocami i winem, i wszyscy goście już zgromadzeni. Ani jednej osoby nie brakowało, tylko starostwo oboje zostali w domu.

Z początku odbywał się obiad jak wszystkie obiady. Jacek miał po jednej stronie generałową, po drugiej synowicę jej męża. Naprzeciw niego siedziała Petryna, sąsiadując z jednej strony z kupezykiem z Pragi, a z drugiej z guwernantką Francuzką. Węgierski rozdzielał podług losu miejsca i tak mu to jakoś wypadło: szambelan sam siedział tak, że widział *en face* pannę Petrynę, generał trochę dalej za guwernantką, ale także naprzeciw Jacka. Inni goście, którzy wód używali, nie pili wina, ale zdrowy generał, Jacek i kilku innych mężczyzn, pili za to i za nich i za siebie. Było zresztą wszystkich osób dwadzieścia, to i bez wina nie brakło na zajmującej rozmowie i wesołości. Wszakże panna Petryna nie dzieliła jakoś tej wesołości, a na jej twarzy było widać lekkie zmieszanie, zdawało się, jakby była czegoś niespokojną albo nawet żałowała, że się znajdowała na tym obiedzie. Do tego żalu miała ona nawet dość słuszne powody, bo przyjść na ten obiad było albo wielką nieroztropnością z jej strony, albo tego rodzaju brawurą, która jest bardzo niebezpieczną i zawsze się najgorzej wypłaca. Sprzeciwiał się temu starosta i sprzeciwiała starościna, ale ona się przy swoim uparła; teraz dopiero się przekonała, że jej upór nie był na swoim miejscu. Nietylko bowiem Jacek ani nawet patrzył w to miejsce gdzie ona siedziała, nietylko posadzono ją tak, że gorzej nie było można, ale jeszcze i całe towarzy-

stwo spoglądało na nią jakimiś dziwnymi oczyma i prawie z pogardą.

Wszystko to nadzwyczajnie ją dojmowało, ludzkie oczy ją kłuły jak gdyby sztylety, zaledwie mogła dosiedzieć na miejscu. Ale to wszystko jeszcze byłoby niczem, gdyby nie to wino przekłete, które rozwiązuje usta i podnosi wszystkie uczucia do najwyższej potęgi. Wino też to zrobiło, że generałowi przyszedł concept wymyślać zdrowia; a może też i nie wino, bo Węgierski pił tylko wodę, i także mu na conceptach nie brakło. Dziwne rzeczy czego nie wymyślali. Z pięknych oczu przytomnych kobiet wzajemne spojrzenia jak błyskawice ku sobie latały; nikt z mężczyzn nie rozumiał tych spojrzeń, ale musiała je dobrze zrozumieć panna Petryna, bo co chwilę to rumieniała się, to bladła i siedziała tak, jakby na szpilkach. Byłaby może już bardzo znaczną ofiarę złożyła na to, gdyby była mogła nagle zniknąć od stołu, ale to było niepodobna: myszka wpadła w klateczkę i musiała w niej siedzieć. Aż tu tymczasem generał, będąc już po ósmym albo dziewiątym kielichu i stąd w przewybornym humorze, nalewa sobie kielich, nalewa Jackowi i rzecze:

— Kochany starosto! nie równy wiek nasz, nie równe tysiąc innych okoliczności, ale serca są równe! Wypijmyż sobie jedno zdrowie dla siebie!

Na te słowa Jacek podniósł kielich do góry, a generał rzekł dalej:

— Wypijmyż zdrowie tych najpierw, którzy się kochają.

Jacek postawił kielich na stole.

— Nie chcesz pan — rzekł generał — widać, że się kochasz. Wypijmyż sobie tedy zdrowie tych, którzy się gniewają.

Jacek nie tknął kielicha.

— I tego pan nie chcesz — rzekł znowu generał — widać że się nawet nie gniewasz. I masz w tem słuszość, bo są rzeczy na świecie, które stoją tak nisko, że się nawet gniewać na nie nie można. Ale ja panu proponuję zdrowie takie, które pewno wypijesz. A tem niechaj bę-

dzie zdrowie tych, którzy mają tyle rozsądku i taktu, że się nawet najprzebieglejszym kokietkom za nos wodzić nie dają; zdrowie tych, którzy różki szatańskie w ten moment odkrywać umieją; zdrowie nakoniec tych, którzy sobie kocha dać nie dopuszczają, jak długo żyją!

Na to Jacek podniósł prędko swój kielich, trącił o kielich generała, a w tym momencie wszystkie kobiety powstały, podnosząc także to zdrowie.

Petrynka siedziała jak przykuta na miejscu i była cała jakby ogniem oblana.

Kiedy się uciszyło, generał znowu nalał kielich Jackowi i rzekł do niego:

— Piłem ja do ciebie, napijże się ty do mnie, tak jak nas uczy nasz staropolski obyczaj.

— Ale także prosimy o jakie zdrowie — odezwały się do tego kobiety.

— Ja wnoszę nie zdrowie, ale po prostu życzenie — rzekł na to Jacek, podnosząc kielich do góry — życzenie tym, którzy serca nie mają, ażeby mieli przynajmniej rozsądek... i ażeby w zarożumiałości swojej nigdy nie myśleli, że są najmądrzejszymi ze wszystkich, bo na rozum jest rozum, a na sztukę zawsze jeszcze lepsza znachodzi się sztuka.

— Brawo! — zawołał na to generał, z nim razem inni, i tak znowu z okrzykiem wypito to zdrowie.

Kolor twarzy Petrynki z pąsu już zaczął przechodzić w karmazyn, a gdzieś tam nawet w buraczek.

Ale tymczasem generałowa powstała i rzekła:

— Może już dosyć będzie tych zdrowiów, bo we wszystkim trza miarę zachować.

To mówiąc, podała ramię Jackowi, a za nią wszyscy powstałi, aby się przejść po ogrodzie.

— Ach! zmiłuj się pan — rzekła generałowa z uczuciem do Jacka — jak też można było trafić tak nieszczęśliwie!

— No, patrz pani hrabina — rzekł Jacek — tak my ślepi jesteśmy.

— Ja się temu wcale dziwić nie mogłam. Bo ja to

dobrze pojmuję, że można uleść i dać się porwać pierwszemu wrażeniu, pod którego wpływem się potem wielu rzeczy nie widzi; ale tutaj dosyć raz było rzucić okiem, dosyć jednej rozmowy z uwagą posłuchać, ażeby się rozczarować na zawsze. Ale panowie czasem dziwnie nieuważni jesteście, a to coś pan o zarozumiałości do kogo innego powiedział, możeby się także i do was zastosować dało.

— Bardzo słusznie pani hrabina mówisz, bo my istotnie nieraz rozumiemy, że się tak znamy na ludziach, że się na nikim omylić nie możemy. Tutaj przynajmniej choć jeszcze zawczasu spostrzegłem się na mojej omyłce...

— Za co pan bardzo wdzięcznym powinienes być Panu Bogu — dodała generałowa — bo ubiegłeś nieszczęście i masz naukę na całe życie. Obawiam się tylko, ażebyś pan z tego wyjątku nie sądził tak samo o wszystkich kobietach...

— O! ręczę pani za to, że choćbym jeszcze dziesięć takich spotkał wyjątków, przypiszę to tylko mojemu nieszczęściu, bo mam całkiem inne wyobrażenie o kobietach i nigdy go nie odmienię.

Taka konwersacya toczyła się jeszcze z godzinę, poczem zajechały powozy i całe towarzystwo do Karlsbadu wróciło.

Po obiedzie i przez całą drogę nikt się o Petrynę nie troszczył i niewiedzieć nawet co się z nią działo. Ale musiał się troszczyć o nią i bardzo jej własny wujaszek, bo czekał na nią już w ganku. Jak tylko powysiadano z powozów, Petryna zaraz pobiegła do domu; wujaszek ją zatrzymywał, ale ona się wymówiła że jest zmęczoną i potrzebuje wypoczynku. Tymczasem wszyscy przed starostą nie mogli się dosyć nachwalić, jaki wyborny był obiad i jak się doskonale bawili, a generał dodał te słowa:

— Szkoda tylko, że nie będziemy mogli sobie powtórzyć tej dobrej zabawy, bo nas starosta hołobucki opuszcza.

— Jakto? jedziesz już? — rzekł, przystępując do niego, wuj Petryny — to być nie może!

— Tak jest, niestety — rzekł Jacek — jadę i jechać muszę, bo mam jeszcze dalszą drogę przed sobą. A przed wyjazdem chciałbym jeszcze kilka słów z panem starostą pomówić.

— Służę ci nawet natychmiast, jeżeli każesz — odpowiedział starosta i puścił się z nim inną niż reszta gości aleją przeddomowego ogródka.

A kiedy się już tak całkiem odosobnili od towarzystwa, Jacek zatrzymał starostę i rzekł do niego:

— Nim odjadę, muszę panu zakomunikować moje ostateczne postanowienie względem panny Petryny. W Warszawie powiedziałem panu, że się chcę starać o jej rękę, zapytywałem pana o zdanie i powiedziałem, że jeżeli się o jej przywiązaniu dla mnie przekonam, to się formalnie oświadczę. Teraz atoli przekonałem się o rzeczy zupełnie przeciwnej, bo panna Petryna nie tylko że nigdy nie miała i nie ma żadnego przywiązania do mnie, ale nawet złożyła mi dostateczne do tego dowody, że na żonę dla mnie wcale nie jest stworzoną. Nie pozostaje mi tedy nic, jak oświadczyć panu wyraźnie, że od powziętego zamiaru w Warszawie i od całej tej konkurencyi odstępuję na zawsze.

— Ale co to? co to takiego? — zawołał na to starosta — jakieś drobne nieporozumienia zaszły pomiędzy wami, to już zaraz zrywać dlatego? Proszę pana zatrzymać się tutaj chwileczkę, ja się muszę o to wypytać Petrynki. Zaraz tutaj powrócę.

To rzekłszy, nie dał nawet czasu do odpowiedzi Jackowi i pobiegł zaraz ku swemu mieszkaniu. Petryna właśnie już wychodziła znowu do gości i starosta ją spotkał na ganku. Wziął ją tedy w ten moment ze sobą, zaprowadził w trzecią aleję i tam z nią rozmawiał.

Tymczasem do Jacka zbliżył się szambelan.

— Cóż? już po rekuzie? — zapytał on swego brata.

— Poczekaj-no — rzekł Jacek na to — patrz, oto tam w alei stoi starosta z Petryną i egzaminuje ją, co to takiego zaszło pomiędzy nami.

Patrzyli tedy obadwa i widzieli przez światło miejsca

młodych drzewek i krzewów, jako Petryna była już na pozór zupełnie spokojną, tylko bledszą cokolwiek, niż zwykle. Rozmawiała ze starostą niby obojętnie, lecz w rzeczy z dziwną żarliwością wybiegały prędkie słowa z jej ust ściągniętych i modre oczy coraz to innym oświecały się blaskiem.

— Wiesz co stąd wyniknie? — rzekł szambelan, przypatrzwszy się dostatecznie tej dyplomatycznej naradzie.

— No, cóż takiego?

— Starosta będzie usiłował wmówić w ciebie koniecznie, że Petryna się kocha w tobie i że kiedyś, z czasem, pewnie pójdzie za ciebie.

— Ba! kiedy bo ja nie uwierzę.

W kilkanaście minut powrócił starosta, lecz obaczywszy szambelana, zaczął mówić o czem innym.

— Proszę pana — rzekł zaraz Jacek do niego — niech pan mówi otwarcie, to jest mój brat cioteczny i najlepszy przyjaciel. A zresztą przyznam się panu, że chciałbym już raz zakończyć tę przewlekłą historję, która mi jak grzech jaki ciąży na sercu.

— Więc kiedy mam mówić, to panu powiem — zabrał głos starosta. — Petrynka się nie może dosyć nadziwić, co pan sobie upatrzyłeś do niej w tym nieszczęśliwym Karlsbadzie. Ona ile miała szacunku i sympatyj dla pana w Warszawie, tyle ich ma i tutaj, i nie pojmuje wcale, skąd pan przyszedłeś do powątpiewania o tem, kiedy ona panu nie dała do tego żadnego powodu.

— A! to jest wyborne! — zawołał Jacek — to przed tygodniem powiadała panu Węgierskiemu, że mi nie dała żadnego powodu do tego, ażebym myślał, że *ma* dla mnie jakąkolwiek sympatyę, a teraz znów utrzymuje, że mi nie dała żadnego powodu myśleć że *nie ma* dla mnie sympatyj!...

— Ale bo to co innego, a tamto znowu co innego — rzekł prędko starosta — w miłości, wie pan, to tysiące bywa nieporozumień. Ale ja pana bardzo proszę, ażebyś miał cierpliwość...

— Nie, panie starosto! — rzekł Jacek głosem stanow-

czym — do takich eksperymentów nikt cierpliwości mieć nie może, kto ma jakiekolwiek uczucie honoru i własnej godności. Dlatego panu jeszcze raz to oświadczam, że od mojego zamiaru się cofam i od panny Petryny odstępuję na zawsze.

— Ha! kiedy się tak panu podoba — odpowiedział na to starosta — to na to przymusu nie ma. Ale ja jestem pewny, że o nie wam poszło, a co się zepsuło, toby się jeszcze dało naprawić z czasem.

— Ja bardzo wątpię — rzekł Jacek z ironicznym uśmiechem — żeby się takie *zepsucie* jeszcze dało naprawić, ale życzę go panie Petrynie z całego serca i z tem życzeniem mam zaszczyt pożegnać pana starostę.

— Ach! toż się przynajmniej tak nie żegnajmy! — zawołał na to wujaszek Petryny — ja się spodziewam, że cokolwiekbyś zaszło pomiędzy nami, to nie zamąci naszych dawnych stosunków i pan nam nie odmówisz i nadal swojej tyle nam drogiej i zaszczytnej przyjaźni. Pan widzisz, że ja z mojej strony robiłem wszystko co mogłem...

— Bardzo panu dziękuję i przyjaźń jego będę umiał zawsze cenić podług jej rzeczywistej wartości — rzekł Jacek i, pożegnawszy się ze starostą, podał ramię szambelanowi i odszedł.



Jacek chciał zaraz nazajutrz odjeżdżać, ale go Węgierski jeszcze na dni kilka zatrzymał, poczem obadwa razem wyjechali do Pragi.

Węgierski pojechał wprost do Warszawy, a jego brat cioteczny do Drezna. Z Drezna pojechał do Berlina i w każdym z tych miast bawił po dni kilkanaście; ale lubo miał wszędzie i listy rekomenyacyjne do osób znakomitych i osobiste znajomości z Warszawy i zresztą wszystko po temu, nie korzystał jednak z niczego i nawet mało gdzie co widział.

Nie było już w jego sercu ani cienia miłości dla Petryny, bo go nawet i być nie mogło, ale zawsze zawód

taki doznany dał mu się uczuć głęboko. Tyle serca, tyle szczerego uczucia, tyle miłości i poświęcenia rozniecić w sobie i znaleźć się potem w konieczności podarcia i podeptania własnymi nogami tego wszystkiego, zawsze to jest zdarzenie takie, które nie może duszy tkliwej nie obciążnąć żalobą i nie napełnić umysłu smutnemi i pochmurnemi myślami. Jacek zaś ten zawód uczuł jeszcze o tyle głębiej, ile że przez cały czas swego pobytu w Karlsbadzie, musząc dla dogodzenia ambicyi swojej odegrywać komedję, gwałt sobie zadawał i przemocą dławił w sobie te wszystkie naturalne uczucia, które się gwałtem wydierały z jego rozranionego serca. Przez całą więc podróż swoją był jak gdyby na dwoje rozdarty i do niczego nie zdolny; dlatego też wcale niedługo bawił w tej podróży i obiecując sobie pomiędzy swoimi daleko lepszą rozrywkę i tem prędzse zapomnienie nieszczęśliwego romansu, już z ostatnim dniem września znowu stanął w Warszawie.

ROZDZIAŁ XV.

Warszawa była o tej porze daleko mniej wesoła, niż zwykle. Kto miał na wieś wyjechać, już dawno wyjechał, a jeszcze nikt nie powrócił. Nawet ci, którzy z urzędu lub ze zwyczaju przez cały rok mieszkali w Warszawie, teraz powyjeżdżali do swoich majątków, jedni dla poczynającego się polowania, drudzy dla obliczenia się ze zbiorami, ażeby wiedzieć co będą mogli stracić przez zimę. Nie było więc ani ożywionego ruchu, ani żadnych balów lub zabaw w tej porze; ale że dwór królewski, jak zawsze tak i teraz, znajdował się w mieście, a dwór Stanisława Augusta nigdy nie był tak źle opatrzonym, ażeby się można było nudzić przy nim, więc i teraz jeszcze niekoniecznie trza było poziewać w Warszawie i kto chciał, mógł sobie znaleźć poddostatkiem rozrywek.

Jacek jednak wcale się nie czuł usposobionym do tego i, przyjechawszy do Warszawy, nudził się niesłychanie. Nie był to smutek, nie była to gorycz żadna, która obejmowała w tej chwili jego całą istotę, ale jakaś czezość tak zajęła mu serce, tak pusto, tak jakoś nudno i głucho zrobiło się w jego duszy, jak na ukraińskim stepie. Dziwna rzecz, że mu wtenczas na myśl nie przyszło powrócić do siebie na wieś choć na czas jakiś; dziwniejsza jeszcze, że sobie ani domu stolnika, ani Helenki nie przypomniał natenczas, ale to pewna, że, wyróciwszy swojemi samotnemi myślami świat cały, ziemi sandomierskiej, Zarwivód swoich, nie przypomniał sobie ni we śnie. Jemu się zdawało że Warszawa jest jego niby jakąś obowiązkową siedzibą; pomimo to, iż wiele miał mu do zarzucenia, polubił dosyć to miasto i nie pojmował nawet życia gdzieindziej, jak w tej tak świetnej naówczas stolicy. Jacek zresztą miał w sobie pragnienie jakiegoś szczęścia, jakiejś zmiany dotychczasowego życia na lepsze i miał to przeczucie, że jeżeli tego szczęścia nie znajdzie w Warszawie, to go nigdzie nie znajdzie. Ale było to najfałszywsze przeczucie, a właściwie mówiąc, nawet obłąd fatalny.

Nie należy się wszakże dziwić temu obłądowi. Jest to bowiem kolej losu, w którą wpadają zwykle wszyscy ci młodzi ludzie, którzy z poetycznemi złudzeniami wstępują w świat rzeczywisty i aż własnych doświadczeń potrzebują na to, ażeby poznać różnicę zachodzącą pomiędzy nimi a światem. A Jacek znajdował się właśnie w tem położeniu. Młodzieniec ten bowiem, lubo nosił na sobie frak aksamitny i koronkowe żaboty, duchem i sercem był nieodrodnym synem tych ojców, którzy nie znali innej drogi w swem życiu prócz prostej, a jeżeli się dorabiali zaszczytów i sławy, to tylko takim samym sposobem, jakim się niegdyś jej dorobili Żółkiewscy, Chodkiewicz, Czarnieccy. Tak on znał świat z dziejów ojczystych, taki świat odpowiadał jego prawemu umysłowi i sercu, i takim go być mniemał i dzisiaj. Ale tymczasem świat ten już był z gruntu zmieniony, a o tych czasach kiedy prawość otwarta i cnota była główną człowieka ozdobą, kiedy zaszczytów i znacze-

nia można się było tylko pracą i rzeczywistą zasługą dorobić, dawno już zapomniano. Za Stanisława Augusta, kilku uczonych tylko wyjąwszy, nie potrafilibyśmy wskazać ani jednego człowieka, któryby doszedł do wysokiego zaszczytu rzeczywistą zasługą. Wszystkie wyższe urzędy, tytuły, beneficya i zgoła wszystko, co przynosiło znaczenie i dochód, były to tylko owoce zasług pokątnych, intryg, protekeyi albo innych politycznych powodów, których było tysiące. Cały świat wyższy ówczesny był to tylko wielki kłęb intryg i podstępów; wszysej się oszukiwali nawzajem, a kto był najrzęczniejszy w oszustwie, ten się najwyżej wynosił, albo najwięcej korzystał. Z tego chaosu nakoniec wyłoniło się wielu ludzi znakomitych męstwem, prawością i cnotą; ale czy słyszał kto o nich przedtem? Czy byli oni wychowawcami tego świata, który miał główne ognisko w Warszawie? Nie. Bo przecież wszyscy ci ludzie wychowali się albo pod strzechą domową, albo w wojsku, które przechowywało w sobie jeszcze czysty płomień cnót starożytnych, albo powychodzili ze szkół takich, jak wojny francuskie albo amerykańskie. I nie mogło to nawet być inaczej. W tym świecie bowiem, gdzie duch intryg i fałszu był głównem technieniem ożywczem, człowiek czysty i prawy nie mógł mieć miejsca dla siebie i jeżeli nie przepadł zupełnie, to przynajmniej napewno nie mógł dojść do niczego. Prawda była tam zakazanym towarem, cnota solą w oku dla wszystkich, a jeżeli kto jeszcze do tego łączył otwartość charakteru i niezłomność w swych przekonaniach, ten musiał paść ofiarą swojego czasu i powszechnego zepsucia. Ile takich ofiar padło naticzas w Warszawie, Bogu to tylko jednemu wiadomo!

Ażeby teraz od wielkiego ogółu powrócić do naszych drobniutkich szczegółów, wspomnimy najpierwej o tem, iż Jacek już miał dwa razy sposobność zajrzeć za kulisy tego wielkiego teatru i przypatrzeć się jego aktorom bez masek. Jedną sposobność do tego podało mu owo nadanie hołobuckiego starostwa, przy czem zajrzał oko w oko aktorom pierwszego rzędu, a drugą jego nieszczęśliwa konkurencya o ubogą sierotę w pomiernym domku jakiegoś ukra-

ińskiego starosty, gdzie znowu obaczył aktorów prawie najniższej warstwy. To wszakże nie odebrało mu jeszcze wcale jego poetycznego złudzenia. O Petrynie nie myślał i miał to sobie za prosty wypadek, a co do starostwa hołobuckiego, był tak pewnym jak dwa a dwa cztery, że w królewskiej kancelaryi już dawno gotowe jest wynagrodzenie dla niego i że jak tylko się dowiedzą o jego powrocie, natychmiast go zawezwą do siebie i jakieś inne starostwo, albo przynajmniej stosowne wynagrodzenie mu dadzą.

Ale tymczasem minęło dni kilka, minął tydzień jeden, drugi i trzeci, Jacek już zaczął bywać tu i owdzie po domach, już nareszcie i wszystkie pooddawał wizyty, ale pomimo to z kancelaryi królewskiej nikt się do niego nie zgłaszał. Żyjącemu ciągle w swoich złudzeniach młodzieńcowi nie mogło się to pomieścić w głowie. Nie był on w stanie pojąć tego, jak oni mogą znieść taki ciężar na swem sumieniu; przecież wiedzą dobrze, że popełnili na nim fałsz i oszukaństwo, jakże mogą nie śpieszyć się jak najprędzej, aby to złe naprawić? Sądząc wszakże, iż może nie wiedzą jeszcze o tem, że on już do Warszawy powrócił, pokazał im się umyślnie; był u ks. Naruszewicza, był u księcia prymasa, brata królewskiego, i dał się do pani krakowskiej umyślnie na taki wieczór zaprosić, kiedy król był u niej, ale wszystko to nie przyniosło żadnego skutku. Ksiądz Naruszewicz mówił coś o hołobuckiem starostwie, ale to tylko tyle, aby mu żal swój wyrazić, że na takie fatalne trafił starostwo; król jegomości tylko go pytał o wielkiego księcia Wejmaru, jakich miał ze sobą uczonych i artystów w Karlsbadzie.

To napełniło wielką goryczą Jacka i nie wiedział już sam, co ma o tem rozumieć. Ale tymczasem zaszły takie okoliczności, które go prawie zniewoliły do tego, ażeby zdarł z swoich oczu tę poetyczną zasłonę i obaczył ciemną stronę tego intryganckiego świata w całej nagości. A sposobność do tego podała mu sama pani krakowska.

Pani kasztelanowa krakowska, wdowa po hetmanie wielkim koronnym, Janie Klemensie Branickim, a rodzona sio-

stra królewska, była jedna z tych osób, które wpływ prze-
ważny wywierały na króla. Ponieważ do tego tajnego
ministryum należały także figury takie, jak brat królew-
ski Kazimierz, podkomorzy niegdyś koronny i generał
gwardyi konnej koronnej, jak generałowie Komarzewski
i Arnold Byszewski, a nareszcie i Ryx, kamerdyner kró-
lewski, a późniejszy piaseczyński starosta i właściciel tea-
tru, — i te figury wszystkie, dla bardzo słuszných powo-
dów, były znienawidzone powszechnie, więc i o pani kra-
kowskiej utrzymywała się w większej części dość nieprzy-
chylna opinia; przypisywano jej intrygi, korzystanie mate-
ryalne z rozdawnictwa urzędów, mieszanie się w sprawy
publiczne na niekorzyść narodu i Bóg nie wie co jeszcze.
Ale to wszystko były najniesłuszniejsze i wcale nieugrun-
towane zarzuty. Pani ta bowiem, jak pod względem wy-
kształcenia i światła była niezawodnie najznakomitszą osobą
z całej familii królewskiej, tak i czystością charakteru gó-
rowała nad wszystkimi. Miała ona wpływ przeważny na
króla i starała się zeń robić użytek; ale użytek ten nie
miał nigdy na celu jej własnych korzyści, ani korzyści
osób, usiłujących lekkim a niezasłużonym sposobem przyjść
do znaczenia, urzędów lub beneficjów; ale, wcale przeci-
wnie, usiłowaniem jej całem było powstrzymać króla
w wygórowanych zbytkach, zwracać jego uwagę na intrygi
i podstępny, któremi go otaczano, a jeżeli wносиła za kim
instancję, to pewnie tylko za takim, którego ukrzywdzono
lub pominięto niesłusznie. Ponieważ jednak i ona sama
nie mogłaby się była przy swoich wpływach utrzymać,
gdyby była chciała występować przeciwko tym, którzy ró-
wne z nią posiadali wpływy, lubo tych wpływów używali
najgorzej, więc, chcąc nie chcąc, musiała przynajmniej choć
napozór trzymać z tą kamaryllą, co wprawdzie z jednej
strony rzucało na nią nieprzychylnie światło w oczach na-
rodu, ale z drugiej strony za to zapewniało jej utrzyma-
nie się przy swoich wpływach na zawsze i ułatwiał nie-
raz osiągnięcie jej dobroczynnych zamiarów. Taką zajmu-
jąc pozycję względem dworu i króla, pani kasztelanowa
krakowska była niejako stróżem swojego brata, a zarazem

i opiekunem tych wszystkich, którzy wskutek podstępów i intryg albo nie mogli się do zasłużonych nagród dociągnąć, albo ponosili krzywdy jakieś lub straty, a gdzie tylko coś takiego dojrzała, niezawodnie wszystko z swej strony zrobiła, ażeby sprawiedliwość wymierzoną albo strata wynagrodzoną została.

Nadanie Jackowi hołobuckiego starostwa było niezawodnie zdarzeniem takim, które lubo wiele sobie równych i lepszych jeszcze miało w owych czasach, było jednak oszukaństwem tak brzydkim, że samo z siebie o pomstę wołało do nieba. Nie mogła też o niem nie wiedzieć pani kasztelanowa, jakoż nietylko wiedziała, ale już niejeden krok uczyniła z swej strony, ażeby ta kancelaryjna pomyłka (jak ją nazywano u dworu) naprawioną została. Jednakże temu stały na drodze dwie walne przeszkody: jedna ta, że Jacek był dosyć zamożny, ażeby się mógł obejść bez tego starostwa, skąd wiano w króla to przekonanie, że przy ubieganiu się o to starostwo tylko mu o sam tytuł chodziło; a druga ta, że sandomierski szlachcic miał kark zanadto twardy, nikomu nie pochlebiał, o nie nikogo nie prosił i nietylko względy konsyliarzów królewskich, ale nawet i łaskę samego króla miał sobie za rzecz, która jeśli jest, to dobrze, a jeśli jej niema, to się bez niej obejdzie. Przy takim zachowaniu się Jacka było rzeczą wprost niepodobną, ażeby mógł stratę hołobuckiego starostwa w jakibądź sposób odzyskać i nawet było to rzeczą niepodobną do tego stopnia, że nawet sama pani krakowska nie była w stanie nie na to poradzić. Ale pani krakowska tę sprawę Jacka, która dla malkontentów stała się powodem do nowych i dosyć głośnych hałasów, zanadto sobie wzięła do serca, ażeby ją miała porzucić; usiłowała tedy najpierwej sama naprowadzić hołobuckiego starostę na tę drogę, na jakiej jedynie można było dobić się do uwagi i względów królewskich. Ale Jacek, jak się tego łatwo możemy domyśleć, nie chciał jej wcale zrozumieć. Pani kasztelanowa wszakże nie poprzestała na tem, a chcąc koniecznie ażeby Jacek sam się głównie przyczynił do odzyskania swej straty, nie mogąc zaś z położenia swego

otwarciej z nim o tem rozmawiać, użyla do tego Kortyczelliego.

Kortyczelli był to podobno Kurlandczyk rodem, lecz indygenat polski, który w regimencie gwardyi pieszej koronnej dosłużył się rangi kapitana; służbę tę wszakże wkrótce musiał porzucić dla garbu, który mu wyrósł na plecach wskutek jakiejś choroby. Człowiek ten był to prawdziwy wychowaniec gwardyi pieszej koronnej, szuler, rozpustnik bez granic, libertyn bez czei i wiary, ale przytem także, jak wszyscy gwardyjscy, pełen dowcipu, nadzwyczajnego sprytu do sprawek pokątnych i ducha intryganckiego. Jakim sposobem ten człowiek potrafił się wkreślić do króla, pozostało tajemnicą na zawsze; pewną rzeczą jest jednak, iż był jednym z pierwszych faworytów królewskich, wysyłanym był często od niego za granicę w różnych sprawach tajemnych i miał potajemne wprowadzie, lecz bardzo przeważne wpływy u dworu. Jakiego rodzaju to był człowiek i jaki był jego stosunek do króla, poświadczy najlepiej to, iż kiedy w r. 1788 z woli królewskiej lecz z wyroku rady nieustającej był wysyłanym do Wiednia dla zaarendowania na skarb soli wielickiej, to tę sprawę wyprowadził tak dobrze, że się ta sól natenczas dostała w arendę skarbowi dworu pruskiego. Zawezwany o taką zdradę przez radę nieustającą, kiedy różnymi wykrętami nie mógł swym sędziom oczu zamydląć i wyrok surowy wisiał już tylko na włosku nad jego karkiem, pokazał list własnoręczny królewski, pisany do niego do Wiednia — i wskutek tego listu został uwolnionym od sądu.

Ten Kortyczelli tedy, z woli pani krakowskiej, zaczął się sam nasuwać Jackowi i obiecywać swoją pomoc w sprawie hołobuckiego starostwa. Jacek i wiedział po części i widział zresztą z rozmowy, co to jest za figura i obrzydził go sobie odrazu, jako potwór tak brzydki i moralnie i fizycznie, ale przez grzeczność słuchał różnych uwag jego nad swoją sprawą. Lecz kiedy Kortyczelli nakoniec zaproponował mu otwarcie, że jeżeli da jemu pięćset dukatów i komuś drugiemu tysiąc i jeszcze komuś trzeciemu znów pięćset, to mu Ryx, kamerdyner królewski, odstąpi swego

piaseczyńskiego za hołobuckie starostwo z dodatkiem dwóch tysięcy dukatów, to Jackowi wszystka krew uderzyła do twarzy i omal że za drzwi nie wypchnął pokątnego ministra.

Można sobie wyobrazić z łatwością, jakie to odkrycie zrobiło na Jacku wrażenie. Gorycz, która dotychczas odżywała się tylko w jego sercu, objęła teraz całą jego istotę; wszystkie złudzenia względem Warszawy i tego całego świata, z którym w codziennych zostawał stosunkach, zniknęły nagle jak sen piękny poranny, a kiedy jeszcze do tego uroiło mu się koniecznie (choć całkiem niesprawiedliwie), że owe tysiąc dukatów, których Kortyczelli wymagał dla kogoś drugiego, były wymaganiem samej pani krakowskiej, to mu się zdawało, że już w całej Warszawie niema ani jednej pocziwej duszy, ani jednego czystego sumienia i że całe miasto jest tylko jedną kałużą fałszu, podstęp i intryg.

Żle wszakże mówimy. Albowiem była jeszcze jedna dusza w Warszawie, w której czystość i prawość rozczerowany młodzieniec jeszcze wiary nie stracił, jedno jedyne serce ludzkie, które mu się zdawało niepokalanem, któremu ufał i które mu w jego czarnych zwątpieniach niewymowną przynosiło pociechę. Tą duszą i tem sercem była pani podkomorzyna kaliska.

O tem wszakże wypada powiedzieć dokładniejszych słów kilka.

Kiedy Jacek, zgryziony, zasepiony i smutny z swojej karlsbadzkiej wyprawy powrócił i jeszcze więcej się zgryzł niespodziewanym obrotem sprawy o hołobuckie starostwo, a najgłębiej go to dojmowało, że w całym tak liczmem gronie swoich niby przyjaciół ani jednego nie znalazł takiego, któryby sercem pocziwem, otwartem, przyniósł mu słowo pociechy albo przynajmniej współczucia, zaniósła go kolej wizyt także i do pani wojewodziny mińskiej. W domu wojewodziny wiedziano już o tem od Węgieńskiego, jak Jacek skończył swoją konkurencyę o rękę siostrzenicy Jaorlickiego starosty, ale poważna matrona była tak delikatna, że tego przedmiotu jak najstaranniej unikała we

wszystkich swoich rozmowach. Z początku także tak samo postępowała sobie i pani podkomorzyna kaliska, ale jednakże dała Jackowi do zrozumienia, że wie o tej konkurencji, przyczem zarazem zachowywała ton taki, jak gdyby Jackowi nie mogła tego zapomnieć i niby się troszkę na niego gniewała. Jakkolwiek sobie Jacek ten ton szczególny i odcień gniewu różnie w różnych chwilach tłumaczył, przykro mu jednak było, iż pomiędzy nim a podkomorzyną zachodzi coś takiego, co mąci ich dawne i nawet dosyć sympatyczne dla niego porozumienie.

Aby więc tylko to porozumienie od wszelkich mętów uwolnić, przedsięwziął sobie podkomorzynę koniecznie w rozmowie na ten przedmiot naprowadzić i z domyślnych zarzutów się przed nią usprawiedliwić.

To przedsięwzięcie udało mu się zaraz za następnem widzeniem i nawet daleko lepiej, niżeli się sam mógł spodziewać. Lepiej mówię, bo Jacek, znając podkomorzynę i wiedząc dobrze z jak moralnego i prawie świątobliwego stanowiska ona się zapatrywać zwykła na podobnego rodzaju rzeczy światowe, nie spodziewał się wcale, żeby mógł inaczej z nią mówić o tym romansie, jak tylko przez aluzye i podobieństwa; a tymczasem podkomorzyna nie tylko zachęcała go do otwartej przed sobą spowiedzi, ale nawet słuchała wszystkiego z dziwnie szczerem i prawie siostrzanem zajęciem.

Jaką ta spowiedź ulgę przyniosła Jackowi, w jakiej anielskiej postaci przedstawiła mu się podkomorzyna, która pierwsza się z nim podzieliła jego smutkiem i żalem, nie potrzebujemy tutaj wspominać. Jacek wrócił do domu o połowę lżejszy i swobodniejszy i czuł się prawie szczęśliwym.

W dalszym czasie, kiedy się coraz więcej rozczarowywał dla świata, kiedy wszyscy ludzie coraz więcej tracili dawny swój blask w jego oczach, a między tymi ludźmi coraz mniej znajdowało się takich, w którychby mógł znaleźć jakikolwiek punkt oparcia dla swego serca, oczywiście że coraz więcej musiał się skłaniać ku podkomorzynie, która znów z swojej strony coraz więcej dla niego

okazywała współczucia i lubo zawsze trzymała się w granicach jak najsurowszej skromności, nie chciała jednak tego przed nim ukrywać, że mile widzi zawiązującą się z nim przyjaźń i jej dalszemu postępkowi żadnej tamy nie kładzie.

Tak pomału zbliżyły się wszystkie uczucia Jacka ku podkomorzynie, około niej gromadziły się jego myśli, i zawsze jeszcze doświadczony młodzieniec sam nie wiedział o tem, że za myślami i uczuciami przywiązuje się jego cała istota do tej pięknej kobiety, która wszakże przy swojej piękności i uczuć wylaniu, jest jednak przytomną i trzeźwą, i widzi to wszystko a może nawet sama tem zręcznie kieruje. Ale Jacek jeszcze nie miał oka na takie rzeczy, a jak wszędzie, tak i tutaj, postępując za popędem swojego serca, jeżeli się już nie kochał w podkomorzynie, to miał do niej pociąg nadzwyczaj sympatyczny, który o tyle był jeszcze piękniejszym, ile że był ugruntowanym na tym głębokim szacunku, jaki mieć zwykliśmy tylko dla istot czystych i niepokalanych.

W takim położeniu rzeczy nadeszła ta chwila fatalna, w której Jacek rozczerował się ostatecznie względem głównego ogniska owoczesnej Warszawy, a wyrzucony przez Kortyczellego najniemiłosierniej z okrętu swych złudzeń młodzieńczych, uczuł się poprostu rozbitkiem pomiędzy rozhukanymi bałwanami zepsucia, intryg i fałszu.

Tonący, jak mówili starzy, brzytwy się chwyta; tonący Jacek wszakże był jeszcze daleko szczęśliwszym, bo jakkolwiek rzucony pomiędzy rozhukane bałwany, miał jednak port pewny, do którego mógł z ufnością zawinąć. O! jakże słodka, jak pełna nieopisanej rozkoszy była dla niego ta chwila, w której po swojej ostatniej z Kortyczellim rozmowie znalazł się w salonie wojewodzinej i ze wszystkich owych goryczy i żalów mógł się wypowiadać przed jej siostrzenicą!

Podkomorzyna dzisiaj słuchała go z szczególniejszą uwagą; każda myśl jego, każde słowo, obudzało w niej osobliwsze zajęcie, a kiedy przyszła na nią kolej mówienia, to tyle pięknych udzieliła mu myśli, tyle szlachetnych

uczuć w jego serce przelała, i całą jego istotę nappełniła duchem takiego spokoju, takiego kornego poddania się losom i tak pięknych jeszcze na przyszłość nadziei, że Jacek uczuł się odrodzonym pod wpływem jej wymowy i przy jej boku o wszystkim zapomniał.

Kiedy powrócił do siebie, już mu podkomorzyna nie zchodziła z przed oczu; widział ją koło siebie, widział ją we śnie przez całą noc, a kiedy się obudził, to pierwszy przedmiot, który obaczył, były jej oczy prześliczne i te usta cudowne, pełne tak czarującej wymowy.

Nazajutrz ledwie mógł doczekać wieczora, a jak tylko słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, kazał się zawieść czempredzej do pani wojewodzinej.

W salonie zastał obydwie panie, Węgierskiego i wojewodzica witebskiego. Ten wojewodzie witebski, lubo to był chłopczyk jeszcze szkolnego wieku, nudził go jednak czegoś, a to zapewne dla tego, że go prawie zawsze spotykał w salonie wojewodzinej i znachodził go niedyskretnym cokolwiek, bo młokosik najczęściej stał jakby na straży przy podkomorzynie, a kiedy ustąpił, to widocznie podsłuchiwał, co Jacek z nią mówił. Dziś wszakże daleko więcej go zadziwił Węgierski, bo ten stał z podkomorzną w framudze okna i niby do niej coś mówił, ale podkomorzyna po pierwszej przemowie odpowiedziała mu coś z dziwną na twarzy ironią, a po drugiej przemowie odsunęła się od niego i spojrzała nań prawie z pogardą. Kto dobrze wszystkie szczegóły niniejszej powieści pamięta, ten sobie przypomni, że oko w oko taka sama scena odbyła się pomiędzy szambelanem i podkomorzną na balu u króla; Jacek tamtą scenę doskonale pamiętał, a widząc dzisiejszą, zdawało mu się, jakoby ci państwo tą samą konwersacyę, którą na balu królewskim zaczęli, teraz dopiero kończyli. Na tę myśl mimowolny uśmiech przebiegł po twarzy Jaka i postanowił sobie, przy pierwszej sposobności, o to się szambelana zapytać; ale tymczasem zapomniał o tem i jak mógł tylko najprędzej zbliżył się do podkomorzynie.

Anioł siostrzanego współczucia był dzisiaj jeszcze więcej anielskim niż zwykle. Jej uczucia i myśli były słodkie

jak nektar, wonne jak ambrozja, a świeże jak dopiero co rozkwitłe fijołki; Jacek był oczarowany, jego serce się rozpyływało pod wpływem dźwięcznego jej głosu, a jego dusza się unosiła w jakieś kraje nadziemskie, ubrane w zieleń i kwiaty jak wiosna, ciche jak wieczór letni, uroczyste jak święto Bogarodzicy.

Jacek ani wiedział, kiedy mu upłynęły godziny, kiedy światło wniesiono, kiedy kilka nowych osób weszło do salonu.

On byłby tak wieki przesiedział, niewiedząc kiedyby upłynęły.

Ale tymczasem w mieście odezwały się dzwony. Na ich odgłos podkomorzyna powstała, spojrzała wzrokiem pełnym niewypowiedzianej tęsknoty na Jacka i rzekła:

— Miło mi bardzo bawić się tak zajmującą rozmową z panem, ale obowiązek chrześcijański kładzie tamę zabawom. Dzisiaj wigilia do wszystkich świętych, dzwony mnie do modlitwy wołają.

To rzekłszy, pożegnała wdzięcznym uśmiechem Jacka i wyszła cicho z salonu.

Za nią w pięć minut wyszedł wojewodzie witebski, a w minutę po nim Węgierski; ale Jacek nie mógł jeszcze wychodzić, bo należało mu przynajmniej słów kilka z tymi gośćmi wymienić, których jeszcze nie widział. Wszakże jak tylko wypełnił ten obowiązek, zerwał się prędko i zarzuciwszy swój płaszczyk na siebie w przedpokoju, pobiegł skwapliwie do swego powozu, ażeby jak najprędzej być z sobą samym.

Kiedy przez sienię przebiegał, do której wychodziły drzwi do małej sionki, stanowiącej wejście do apartamentów podkomorzynej, zdawało mu się, że w tej sionce coś zaszeleściło; zatrzymał się chwilę i przez drzwi trochę otwarte spojrzał do tej sionki, ale ciemno tam było i nie nie mógł obaczyć; postać więc parę sekund, uderzył się ręką w czoło jakby się dziwił swej naiwności i zbiegł do powozu.

Za kilkanaście minut był już u siebie. Znalazłszy się

sam z swoim sercem przepelnionem tysiącem nowych wrażeń i uczuć, jakże odetchnął swobodnie.

Początkiem i końcem jego myśli w tej chwili była oczywiście podkomorzyna. Jej postać uroczą, wszechmocą wyobraźni w najpiękniejsze szaty ubrana, unosiła się nad nim jak duch pocieszyciel z nieba zesłany. Przypomniawszy sobie koleją każdy wyraz jej twarzy, każdy promień jej oczu, każde słowo jej niewyczerpanej rozmowy i pieścił się tem wszystkim z taką rozkoszą, jak gdyby sobie chciał wynagrodzić wszystkie te dnie i miesiące, w których już znał a nie umiał ocenić tej anielskiej istoty. O! jakże surowo karmił się za to, że nie przylgnął odrazu do niej z takim samym zapałem jak teraz! jakże gorzkie sobie czynił wyrzuty, że mógł ją porzucić dla tak prostej i niezgrabnej kokiety! Teraz wszakże będzie on już roztropniejszy i nie porzuci szlachetnego złota dla posrebrzanego mosiądzu. Choćby chciał nawet, to nie potrafi tego uczynić. Podkomorzynę nie odstąpi on za żadne skarby świata, ona jedna jest, która mu może ten świat obrzydliwy w krainę niebieską zamienić, która może urzeczywistnić wszystkie jego marzenia, która zatrze w jego sercu ostatni ślad smutków i wszystkich zawodów. Z nią żyć, jej tylko służyć, dla niej poświęcić wszystko, oto odtąd cel jego nowego życia.

Tak myśląc, Jacek chodził z rozpromienioną twarzą po pokoju i puszczał coraz wolniejsze wodze swojemu sercu i wyobraźni, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł do niego Węgierski.

Szambelan był w tej chwili dziwnie ponury i zamyślony, przeszedł wolnym krokiem przez pokój i siadł w fotelu, nie mówiąc ani słowa.

— Cóż się znów stało? — rzekł Jacek z uśmiechem do niego — pierwszy raz cię widzę w takim usposobieniu tragicznem.

— Słuchaj Jacku — odpowiedział szambelan z miną ważną, lecz zawsze zamyśloną — na pocieszenie twoje powiem ci arcy-ciekawą historję.

— Na pocieszenie moje?

— Na pocieszenie — powtórzył szambelan — bo się dowiesz, jakiego mnie tu jedna dama wystroiła figielka... Ty jesteś nowicyusz i ciebie wywieść w pole nie wielka sztuka, ale ja już nie pierwsze żołdy czynię w tej służbie, toż nie mało potrzeba na to, aby mi oczy zamydlić. A przecież tak się stało... hm! w głowie mi się to zmieścić nie może.

— Mnie się zmieści — rzekł Jacek — mów tylko czempredzej.

— Nie mam nigdy zwyczaju — zaczął opowiadać Węgierski — wymieniać nazwiska tych dam, które choćby tylko troszeczkę były łaskawsze od innych... ale nazwisko tej będę odtąd zawsze wymieniał. Podkomorzyna kaliska...

— Jakto podkomorzyna kaliska! — zawołał Jacek, stanawszy jak wryty na miejscu.

— Podkomorzyna kaliska powiadam — powtórzył szambelan — albo coś ona ciebie obchodzi?

— Tak... nic... jak najzupełniej nic... tylko mnie to dziwi... — bełgotał Jacek, nie wiedząc sam co ma mówić.

— Otóż podkomorzyna kaliska, przyjechawszy tutaj, zawiązała natychmiast stosunki ze mną...

— Kajetanie! — zawołał Jacek na to — ty sobie żartujesz! Ty sobie z świętych rzeczy żartujesz!

— Ale jak ciebie kocham; tak nie żartuję. Wszystko co ci powiem, jest prawdą co do joty...

Jacek był cały jak gdyby w ogniu, Węgierski mówił dalej:

— Prawda, że ja ten stosunek traktowałem z początku zbyt lekko i może jej dałem nieraz powód do niecierpliwości i małych zgryzot, ale podkomorzyna tak się kochała, tyle razy mi przysięgała, że wierną zostanie na wieki, że i ja byłbym na to przysiągł każdego czasu.

— Tff! — odetchnął Jacek w swoich płomieniach i parzył dziwnemi oczyma na szambelana. Szambelan mówił dalej:

— Przyszło nakoniec do tego, żeśmy się zbrouilłowali ze sobą; ja wyjechałem do Karlsbadu, lecz byłem tak pewny, jak dwa a dwa cztery, że kiedy powrócę, stosunek

nasz napowrót się zrestauruje. Tymczasem, co powiesz na to? przyjeżdżam i zastaję ją w najmiłośniejszej miłości z chłopcem, z studentem, krótko mówiąc, z wojewodziecem witebskim.

— Kajetanie! — zawołał Jacek zdławionym głosem — ty kalumnię rzucasz na niepokalaną kobietę! Ty sobie szatańską ze mną robisz zabawkę!

— Hm! — rzekł szambelan — jużci daleko gorsząbym z siebie robił zabawkę!

— Nie! — krzyknął Jacek — to być nie może! gdzież są na to dowody?

— Ja mam aż nadto dostateczne dowody, bo widziałem na własne oczy. W tej chwili wracam ze sionek, które prowadzą do apartamentów podkomorzynęj; tam się schowałem, chcąc podsłuchać jak się modli w wigilię do wszystkich świętych. I rzeczywiście modliła się całą godzinę. Po godzinie drzwi się otworzyły i wybiegł z nich — wojewodzie witebski...

— I ty go na własne oczy widziałeś?

— Widziałem go tak, jak ty ją u mnie widziałeś dnia tego, kiedy pierwszy raz do mnie przyszedłeś.

— Jakto! to ta dama, która była w twoim salonie dnia tego, to była...

— Podkomorzyna kaliska — dodał dobitnie szambelan.

— Och! niechże się tu ziemia pod wami zapadnie! — zawołał Jacek, podnosząc konwulsyjnie ściśnione pięście do góry. — Niniwe! Niniwe! ani pięćdziesięciu sprawiedliwych tu niema! ani dziesięciu! ani pięciu!... Ogień i siarka z nieba, to jedyne na was lekarstwo!...

To mówiąc, chodził jak gdyby był kleszczami targany po pokoju i widać było po nim, że był do dna samego wzruszony.

Węgierski siedział w fotelu i patrząc nieruchomemi oczyma przed siebie, milczał.

A kiedy taka niema scena odbywała się między obydwoma młodzieńcami, postrzelonymi z jednej i tej samej rusznicy, dał się słyszeć hałas jakiś i huk w przedpokoju.

W krótką chwilę otworzyły się drzwi z łoskotem i wpadło przez nie dwóch młodych ludzi. Jednym z nich był pan Kurdwanowski, a drugim jakiś nieznajomy; ale obadwa mieli twarze rumiane, byli w doskonałym humorze i widać było po nich, że z jakiegoś przyjacielskiego wieczoru wracali.

— Jacku! kochany Jacku! — zawołał Kurdwanowski, biegnąc z otwartymi ramionami ku niemu — jak się masz moje serce kochane! Cztery dni już tu siedzę w Warszawie, a dopiero w tej chwili się dowiedziałem, że i ty tutaj jesteś.

— Jak się masz, najpocziwszy Ignasiu! — odpowiedział Jacek, przyciskając go z uczuciem do swych piersi rozplamionych — o! nie uwierzysz, jak mi drogim jesteś w tej chwili!

— Poczekaj-no — zawołał Ignacy — za jedną chwilkę spodziewam się, że jeszcze droższym ci będę, bo ci doskonale rzeczy przynoszę. Najpierw przypatrz się, kto tu jest ze mną.

— Giżycki! jak mi Bóg miły Giżycki! — zawołał Jacek, rzucając się drugiemu młodzieńcowi w ramiona — scholarum piarum i konwiktów i bitew na Wiśle... najdawniejszy i najukochańszy kolega! Ale cóż u Pana Boga żywego, cóż wy z ostatnich końców Polski tutaj teraz robicie?

— Otóż wiesz, co robimy? — rzekł Kurdwanowski — zjechaliśmy się tutaj przypadkiem i założyliśmy werbunek na ukraińskie kresy.

— Na kresy? — powtórzył Jacek, jakby uderzony tą myślą.

— Na kresy, kochany Jacku! a co robić tutaj w Warszawie? gnuśnieć po salonach i patrzeć na intrygantów warszawskich? dać się im czernić, za malkontentów przedstawiać, o potajemne knowania posądzać? na kresy, kochany Jacku! tam dla nas pole, tam dla nas zabawa, tam życie! Żaden z naszych ojców ni dziadów nie pleśniał pomiędzy murami, żaden nie odbywał swego terminowania na woskowych posadzkach, żaden imienia

i sławy nie dosługiwał się w przedpokojach, toż i my idźmy w ich ślady! A więc o ziemię peruki, kolbertyny żaboty i szpadki złocene, na koń i na kresy, kochany Jacek, jak ciebie kocham na kresy!

— Ignasiu! — zawołał na to Jacek, rzucając się jeszcze raz w ramiona swojego przyjaciela — ty jesteś zbawcą moim! Pójdę z tobą gdzie zechcesz, tylko mnie weź z tej nieznośnej Warszawy i daj mi świeżem odetchnąć powietrzem!

ROZDZIAŁ XVI.

Nazajutrz rano pojechał Jacek do kancelaryi królewskiej, ażeby sobie posłuchanie wyrobić u króla.

Nie było mu to koniecznie potrzebnem, bo miał na to dosyć dróg innych, ażeby sobie dobre umieszczenie w partyi ukraińskiej wyrobić; ale chciał jeszcze widzieć tych pánów, chciał popatrzeć im w oczy i choć jakie takie zrobić sobie wyobrażenie o tem, co też myślą o hołobuckiem starostwie.

Ksiązę podkanclerzy, widząc go wchodzącego, był widocznie zakłopotanym i jak gdyby się obawiał, ażeby Jacek nie zarzucił go odrazu wyrzutami o ową kancelaryjną pomyłkę, tak się zaraz na samym wstępie rozgadał, że mu nie dał ani słowa wymówić. Zaopatrzony już w dostateczną dozę ironii i cierpliwości, młodzieniec wytrzymał go jak mógł tylko najdłużej, nie szczędził mu dwuznacznych zapytań i odpowiedzi, a kiedy się dosyć napatrzył pocącej się twarzy księcia podkanclerzego i nasłuchiwał jego obrotnej wymowy, oświadczył mu że sobie życzy mieć audyencyę u króla.

Otarł pot z czoła i odetchnął ksiązę podkanclerzy, kiedy się dowiedział, że tylko o to mu chodzi i z wielkiego ukontentowania tak się okazał gotowym, że natych-

miast sam poszedł przez deżurnego szambelana go zameldować.

W krótkiej chwili powrócił i zawiadomił Jacka, iż jego królewska mość przyjmie go o pierwszej.

O pierwszej przyjechał Jacek znowu do zamku. Całą godzinę w sali przedwstępnej wyczekał, lecz za tę cierpliwość oświadczone mu na końcu, że król jegomość przyjmie go w gabinecie. Przeprowadził go tedy szambelan deżurny przez sale i otworzywszy drzwi, wpuścił go do gabinetu.

Król wyszedł do niego z miną nadzwyczajnie poważną, a nawet surową; zdawało się jakoby się spodziewał nieumiarkowania w skargach i żalach ze strony osadzonego na łodzie starosty i chciał je już naprzód wzrokiem odeprzeć.

Ale Jacek z jaknajuniżeńszą pokorą oddał pokłon monarsze i rzekł głosem takim, w którym im więcej było wyrachowanej submisyi, tem więcej stanowczości i ukrytej ambicji:

— Najjaśniejszy panie! Zaledwie rok mieszkam w Warszawie, a już drugi raz znajduję się w położeniu zbliżania się z prośbą do tronu waszej królewskiej mości. Do zanieśienia prośby dzisiejszej nie miałbym był nigdy śmiałości, ale wasza królewska mość w nieprzebranej swojej szczodroblowości i łasce raczyłeś z taką gotowością uwzględnić moją prośbę pierwszą, iż mi to daje otuchę, że nie zechcesz mnie od stóp twoich odepchnąć z drugą.

Przez parę sekund król stał nieporuszony i patrzył na pochylonego przed sobą młodzieńca, poczem wyprężył się jeszcze bardziej i rzekł tonem suchym i ucinanym:

— Za jeden z najmilszych obowiązków sobie mamy, jeżeli możemy zadość uczynić prośbom naszych wiernych poddanych. Nie nasza wina, jeżeli proszący upierają się przy rzeczach takich, których nadanie połączone jest z trudnościami, albo których osiągnięcie ulegać musi nieporozumieniom i wikłaniom. Odebraliśmy państwo nasze w wielkim nieładzie i Bogu to tylko jednemu wiadomo, ile podejmujemy starań i pracy, aby zaprowadzić upragniony

porządek. Bogu też tylko jednemu zdamy z spraw naszych rachunek. Wszakże miło nam będzie wiedzieć, z jaką prośbą waćpan do nas przychodzisz?

— Najjaśniejszy panie! — rzekł Jacek na to z powtórnyim uniżonym ukłonem — niech mnie Bóg broni od tego, ażebym miał do stóp waszej królewskiej mości po raz wtóry zanosić prośbę taką, której zadośćuczynienie mogłoby ulegać jakimkolwiek trudnościom lub zawikłaniom. Ja przychodzę waszą królewską mość prosić o rzecz bardzo małą i prostą, którą nie jest nic więcej, jak tylko odpowiednie mojemu stanowi miejsce w partyi ukraińskiej.

Na to król jeszcze z większą uwagą spojrział na Jacka, widać że się tej prośby wcale nie spodziewał; wszakże już łagodniejszym daleko tonem odpowiedział natychmiast:

— Waćpan się tedy także wybierasz na kresy?... Ja nie mam nic przeciw temu, owszem, nawet cieszę się z tego, kiedy młodzież się garnie z ochotą do praktycznej nauki rycerskiego rzemiosła. Jest to na nasze szczęście jedyne dziś miejsce, gdzie istnieje podobna szkoła, ale pomimo to dobra to szkoła: nie jeden z tych czynił tam pierwsze swe żołdy, który potem ze sławą dzierżył wielką buławę wojsk rzeczypospolitej. Ale *tandem* nie spodziewałem się tego, ażeby i waćpana także *duch stepowy* owionął. Syn uczonego ojca i sam, jak słyszę, nie obcy naukom, rozumiałem że będzie miał stateczniejsze względem siebie zamysły i zostawiwszy niespokojnym umysłom uganianie się za hajdamakami, sam będzie usiłował pomieścić się gdzieś w bliskości głównego ogniska nauk i narodowej oświaty.

— Najjaśniejszy panie! nie każdemu jest dano czerpać z naukowych źródeł z takim pożytkiem, ażeby przez to, nie mówię już nowego blasku przysporzyć, ale nawet i starą swego imienia sławę mógł utrzymać w dawnej świetności i chwale. Śliska to droga, najjaśniejszy panie, a nawet przy rzeczywistych zdolnościach i chęciach, trzeba ją szczęśliwiej zaczynać odemnie.

Na to król znów się zmarszczył cokolwiek, a tymczasem Jacek dokończył:

— A zresztą niech mnie i to także usprawiedliwi w oczach waszej królewskiej mości, że tylko *jeden* z moich przodków szukał sławy dla siebie na polu nauk i sztuk, inni zaś wszyscy szukali jej starym obyczajem ze szablą w ręku. Wnosząc ze skutków, zdało mi się roztropiej pójść w ślady tych kilkunastu, którzy przysparzali zawsze i fortuny i sławy, niżeli tego *jednego*, który sławy nie podniósł, a odziedziczonej fortuny nawet część znaczną uronił.

Na tę uwagę, która była zbyt jasną, ażeby być mogła niezrozumiałą, król się odwrócił i przeszedł się raz po gabinecie, poczem rzekł prędko do Jacka:

— Waćpan się udasz jutro w południe do pana hetmana i zastaniesz tam już dyspozycyę wydaną odemnie. Żegnam i życzę jaknajszczęśliwszego powodzenia na kresach.

Jacek się na to kłaniał powoli, mówiąc:

— Wasza królewska mość raczysz przyjąć moje najuniżeńsze dzięki i zapewnienie najpowszechniejszej wdzięczności.

Te słowa wszakże mówił Jacek tak wolno i kłaniał się tak pomału, iż było zanadto widocznem, że oczekuje jeszcze czegoś od króla, co też król dostrzegł w ten moment i dodał jeszcze te słowa, ale już z nieukrytą niecierpliwością:

— A co do owych nieporozumień, które z wydanego waćpanu przywileju na hołobuckie starostwo wyniknęły, lubo się to nie stało ani z naszej winy, ani za naszym przewinieniem, proszę jednak być pewnym, iż pamiętamy o tem dobrze, co nas tak blisko obchodzi.

Poczem się skłonił lekko i zniknął w drzwiach otwartych do drugiego apartamentu.

Jacek obejrzał się jeszcze po gabinecie i z ironicznym uśmiechem na twarzy przeszedł krokiem powolnym przez wszystkie sale, a kiedy się dostał do swego powozu, kazał prędko jechać do Kurdwanowskiego.

Kto ma dokładne wyobrażenie o różnych partyach, ścierających się wówczas ze sobą w Rzeczypospolitej a nawet w samej Warszawie, temu nie trzeba powiadać, jak

Jacek był przyjętym od swoich kolegów, tych tak zwanych *duchów stepowych*, kiedy im opowiedział swoją audyencyę u króla. Ale też i tego nie trzeba dodawać, że po tej audyencyi nie miał on już co robić w Warszawie

— Zgubił się! zniszczył swoją karierę na zawsze! po-deptał szczęście własnymi nogami! — powiadali o nim ci, którzy ani spać, ani jeść nie mogli przez dwa tygodnie, kiedy król ich pomiął, rozmawiając kolejną z innymi.

Jacek to słyszał i śmiał się. A kiedy nazajutrz odebrał z rąk hetmana nominacyę na towarzysza w chorągwi pancерnej partyi ukraińskiej, i w parę dni potem na koniu, burką krymską okryty i z szablą u boku, odetchnął świeżem za warszawskimi rogatkami powietrzem, to już myślał tylko o tym chrzcie krwawym, który niebawem na kresach odbędzie, a Warszawa wydawała mu się tylko jak sen jakiś duszący i przykry, który go męczył przez kilka godzin i z którego się nie mógł obudzić.

ROZDZIAŁ XVII.

Na Ukrainie świat całkiem inny!

Wszakże nigdy podobno pomiędzy życiem na Ukrainie, a życiem w Warszawie, nie było tak wielkiej różnicy, jak za Stanisława Augusta. Kiedy bowiem w Warszawie cywilizacya francuska rozszerzała się z taką szybkością jak morowa zaraza, kiedy zacierano jaknajstaranniej ostatnie szczątki narodowych obyczajów pod każdym względem, kiedy cały naród męzki zniewiesiał, wypieścił się, wydelikatniał i nawet sami hetmani i wielcy i polni chodzili w trzewikach i pończochach i ze szpadkami porcelanowemi u boku: na Ukrainie żył jeszcze duch stary i chrobry, kowane były żelazem buty i ludzie byli żelazni, a postawić było dzisiejszego towarzysza chorągwi obok takiego towarzysza z czasów Zygmunta lub Batorego, to byłoby jak bracia rodzeni.

Na Ukrainie świat całkiem inny! Przechowywała się tam jeszcze ta stara wiara rycerska, która za Bolesławów urosła i tyle potem zbawiła pokoleń; żyła tam jeszcze cała ta przeszłość pancerna, która przez tyle wieków była rzeczywistym pancerzem całego kraju, a jej technienie, roznoszące się po powietrzu, miało jeszcze dzisiaj moc taką, że kiedy owionęło nawet niewieściuchów warszawskich, to ich zamieniało w rycerzy.

Jak owi kompanczykowi i mołojcy siczowi, którzy, kiedy wyjeżdżali ze swoich kurzeni do Polski, dla układu z zamkami lub pohulanki, ubierali się w jedwab i złoto, a kiedy wracali, to suknie jedwabne rzucali w błoto i ubierali się napowrót w zadziegione koszule i ciejące kubraki, żeby ich potem nawet nikt nie rozpoznał; jak i owi mołojcy na granicach siczy odmieniali się sami umyślnie, tak mołojców warszawskich, choćby nie wiedzieć jak wypieszczonych, odmieniał w oka mgnieniu ów duch ukraiński i z salonowych fireyków przerabiał w takich twardych i chrobrych husarzy, jak gdyby się porodzili w chorągwiach i całe życie przepędzili na stepie. A cóż tam dopiero za serca uczciwe, jakie umysły otwarte, jakie piersi i dłonie braterskie! Hej! toż to nie Warszawa, gdzie lada pokojowiec królewski nadyma jak pęcherze swe wybladłe policzki, gdzie lada drażkowy kasztelan pogląda z piętra na osiwiąłego na poczcziwem podkomorstwie obywatela i gdzie wszyscy z jadem w sercu a z słodyczą na ustach, z głową pełną intryg a z piersią pełną łakomstwa, zadyśzani, zziązani, biegną, spychają, potracają się wzajem, ażeby mogli pierwsi przybieść do przedpokoju. Tutaj pole szerokie, i stu, i dwustu, i tysiąc się na jednym szlaku pomieści, nikt nikogo nie podbiega i nikogo nie spycha, bo dla każdego jest para do tańca i dla każdego jest order krwawy od nieprzyjacielskiej szablidy. O fałszu i podstępach nikt tutaj nie myśli, bo wobec stepu tak otwartego i ludzka pierś być musi otwarta, a łakomstwo rzeczy doczesnych nikomu się ani przyśni, bo na tym stepie widać nieprzeliczone mogiły, obrazy śmierci — i dużo jeszcze jest miejsca na mogiły na stepie!

To były pierwsze wrażenia, jakie Jacek odebrał, przyjechawszy ze swymi towarzyszami na kresy. Jak tylko stanęli w przeznaczonej dla siebie stancyi i oddali listy porucznikowi (porucznik zwykle miał komendę chorągwi, bo rotmistrzem był zawsze jakiś wojewoda, marszałek, biskup, czasem król lub inny pan wielki), zostali przyjęci z tą otwartością, jakiej się spodziewali. Porucznik się zdziwił trochę z początku i rzekł:

— Waćpanowie tu przyjeżdżacie na praktykę rycerską wtedy, kiedy my ściągamy na zimowe leże. Ale nie ma się czemu dziwić, bo to u nas tak zawsze: nie wtedy, kiedy potrzeba, jeno kiedy ochota po temu. Ale my tu może i w zimie będziemy mieć jaką ponowę, a zresztą przyjdzie wiosna, to sobie to nagrodzimy.

To mówiąc, zaprosił ich zaraz do siebie w gościnę.

— Czem chata bogata tem rada — mówił. — Nie dziwujcie się, że was po Warszawie nie przyjmę, ale bo my tu marcypanami żyć nie możemy. Trza też i wam od razu od przysmaków odwykać i nakłaniać się do tego, czem żyć można na stepie.

Ale panicze przywieźli ze sobą dwie bryki win, bakalię i różnych specyałów warszawskich i ofiarowali to zaraz porucznikowi w darze, jako wkupno do chorągwi. Porucznik mile dar przyjął, a że tam nikt się niczem sam cieszyć nie umiał, więc i on kazał dać znać natychmiast tym towarzyszom, którzy byli pod ręką i tego samego wieczora jeszcze sutą fetę wyprawił. Młodzi przybysze tedy mogli od razu zapoznać się z całym towarzystwem i od razu sobie zrobić wyobrażenie, jakie życie będą tu wiedli na stepie.

Jakoż było co widzieć. U porucznika była izba duża, prawie tak wielka jak sala do tańca, tylko że była do trzeciej części w ziemię wsiąknięta, jej ściany były od siekiery, a odymione na ciemno-brunatno, na nich wisały rzędy, kulbaki, arkany, broń, zbroje i różne inne narzędzia; na środku stał stół duży na nogach krzyżowych; pod ścianami proste drewniane ławy, i — owóz całej jej urządził. Jak tylko się zmierzchno, zaczęli się schodzić

towarzysze: pięciu było nowo przybyłych, a tamtejszych się zebrało ze dwudziestu kilku. Lecz cóż za figury.

Siwy jak gołąb namiestnik, któremu niegdyś przed laty kochankę zabili hajdamacy i który za to od lat trzydziestu kilku bez odetchnienia krwawo się mścił na zbójcach. Z tych, którzy byli przy owym mordzie już i kości pewnie nie było i prochy wiatr rozwiał po stepie, ale on jeszcze się mścił na ich następcach i czeladnikach: kazał ich ćwiertować i wbijać na pale, zabitych karbował sobie na belkach swojej izdebki i powiadał, że jak belków zabraknie, to będzie karbował na drzwiach i futrynach od okien, bo przysiągł zemstę do ostatniej kropli krwi swojej. Srogi ten mściciel był tak łakomy łbów hajdamackich, jak skąpiec dukatów; na widok hajdamaki wszystkie muszkuły w nim drgały, jak gady pocięte; na widok mąk hajdamackich, uśmiech niewypowiedzianej rozkoszy oblewał twarz jego; ale zresztą gołąbek, wróble mogły igrać z jego białymi włosami jak z starą strzechą; z towarzyszami swymi był jako ojciec z swojemi dziećmi, a przed Bogiem jak najnędzniejszy robaczek, który w prochu się wije...

Drugą, nie mniej ciekawą figurą był pan chorąży. Dwadzieścia i trzy lat już siedział na kresach, a o jego życiu dawniejszem, nikt sobie nawet żadnego nie mógł zrobić domysłu. Porucznik sam tylko był wtajemniczony w ten sekret, bo inaczej byłby go do chorągwi nie przyjął, ale towarzystwo nie знаło nawet jego prawdziwego nazwiska. Kiereszem się nazwał przyszedłszy na kresy i tak go mianowano do dziś dnia. Po herbowym sygnecie tylko, który nosił na palcu, po postawie wyniosłej i dumnej, po znajomości wielu języków i wychowaniu wykwintnem, które zdradzał niekiedy, domyślano się, że jest potomkiem jakiegoś znakomitego rodu; ale jakie powody go wypchnęły z wielkiego świata i osadziły na kresach na tyle lat, któż to mógł odgadnąć? Może w młodości swojej dopuścił się czegoś takiego, co hańbę przyniosło familii; może się w jaką miłość niepozwołoną zaplątał, może mu żonę albo kochankę wydarto; może padł ofiarą chci-

wości lub intryg swojej własnej rodziny?... bo się to wówczas zdarzało.

Obok niego siedziało dwóch bliźniaków, jak jeden: sieroty to były niegdyś po zrabowanym i zabitym ukraińskim szlacheicu. Dziećmi prawie jeszcze z resztkami fortunki, oddali się pod opiekę chorągwi, tutaj się wychowali, tu wzrosli, upodobali sobie to życie i zostali na zawsze. Dzisiaj już męże obadwa, zahartowani w niewczasach i trudach, doświadczeni w bojach za młodu, starzy, wytrawni żołnierze, z młodzieńczymi rumieńcami na licach!

Dalej za nimi mąż ospowaty jak szatan, z pociętą twarzą, z czarną najeżoną czupryną, w aksamitnym kubraku, w kapeluszu szerokim ze strusiem piórami na głowie. Szlacheic to herbowny, ale żołnierz całego świata. Służył zrazu w regimencie cesarskim; podczas wojny z Węgrami do Węgrów przeszedł, poszedł potem w służbę francuską, po morzach pływał; w murzyńskiej ziemi bawił lat kilka, aż o Indye podobno się oparł, a nakoniec, syt wichrów i burz, do Warszawy powrócił. Ale gdzież takiemu dosiedzieć w Warszawie? mniej burzliwym i wichrowatym duszno było w tem mieście, toż i jemu się duszno zrobiło niebawem i poszedł na kresy. Tu trafił na swoich, polubił wnet towarzyszy i został z nimi — do czasu.

Inni znów innym strojem, a u każdego co innego na głowie i w głowie, inny kubrak na piersi i pod kubrakiem inaczej. Ileż to tam pamiątek, ile tajemnic, ile najciekawszych powieści w tych sercach! Bo każdego z nich coś wypędziło ze świata, coś przypędziło na kresy; każdemu z nich duszno było, każdemu zapaliło pragnienie burzy, wichrów i niebezpieczeństw; każdy chciał albo zginąć, albo się wybić do góry, albo przynajmniej pohulać. U każdego też tutaj serce lekkie jak wiosna, u każdego duch rzutny, swobodny i śmiały, u każdego życie już dawno przeboleło, a każdy dzień darowany. Z takich ludzi po największej części składała się partya ukraińska.

Nie masz się tedy i co dziwić tak bardzo, że ta partya nie miała miru w Warszawie, że jej nie lubili dworscy panowie, że jej król głównie nie lubiał i nazywał po-

spolicie *stepowymi duchami*. Były to rzeczywiście same *duchy stepowe*. Nie można się było po nich spodziewać, ażeby im się podobało to, co się działo w Warszawie, nie można było liczyć na nich, że poprą to, co król uradzi ze swoim bratem podkomorzym, z księciem prymasem i z Kortyczellim, ani też od nich wymagać, ażeby zaniedbanie rzeczy najważniejszych pozwolili sobie usprawiedliwić wspieraniem wierszopisów i czwartkowymi obiady. Nie lubiono ich tedy w Warszawie, a dworacy królewscy, ścieląc zawsze ze szkodą innych drogę dla siebie samych, usiłowali ich królowi zawsze w jaknajczarniejszych przedstawiać kolorach. Były to jednak wszystko tylko jaknajhaniebniejsze potwarze, bo lubo prawdą było, że każdego prawie z towarzyszków tej partii coś wypędziło ze świata, nie było tam jednak ani jednego człowieka, któryby miał jakąkolwiek plamę na sobie. Właśnie dla tego, że się do tych chorągwi ściągali najróżniejsi ludzie z całej Polski, każdy z nich musiał odbyć jaknajostrzejszy egzamin, a porucznicy, z których każdy przy swojej chorągwi osiwił i strzegł czystości jej imienia i sławy jak własnej żrenicy, byli tak przy tych egzaminach wybredni, że czasem nawet listy od samego jw. rotmistrza nie nie pomogły i towarzysz, podejrzany porucznikowi, odchodził z kwitkiem. Oprócz tego jeszcze i komput strzegł także nie mniej surowo honoru chorągwi, a kiedy się zdarzył taki towarzysz, który, nie wspominając nie już o plamie na charakterze, ale który tylko nie przypadł do smaku kolegom, to i takiego nie cierpiano pomiędzy sobą i wyproszono delikatnie z chorągwi. Koniecznymi warunkami przyjęcia i utrzymania się przy której z tamtejszych chorągwi, była najpierwej dobra i pewna rekomendacya, potem dostatek funduszków na wyżywienie siebie i dwóch pocztów przynajmniej, a co do osobistych przymiotów, niewątpliwa waleczność, posłuszeństwo i czystość religijnych przekonań, których przestrzegano surowo; co zaś w takich okolicznościach mogło być nadto, to chyba tylko nadto fantazyi.

Taką opinię o partii ukraińskiej, dwór tylko jeden wyjawszy, miała cała rzeczpospolita, tak byli uprzedzeni

o niej Kurdwanowski, Jacek i ci, którzy z nimi przybyli, i tak też ją nawet znaleźli. Bardzo tedy przyjemna była to dla nich chwila, widzieć po raz pierwszy przyszlých swoich kolegów, tak osławionych z męstwa, chrobrości ducha i niesforności umysłu, którzy jednak jak ludzie najlepszego wychowania i najłagodniejszych obyczajów przystępowali do nich, witali ich sercem i słowem otwartem i już od razu stawali przy nich z taką miłością braterską, jak gdyby ich znali od kolebki i towarzyszyli im we wszystkich kolejach życia.

W pół godziny niespełna, cały stół się zapełnił. Coraz to dziwniejsze wchodziły figury, coraz fantastyczniejsze ubiory, coraz to inne twarze, ale u wszystkich jeden duch i serce jak gdyby jedno, pogarda dla niego, wyszlifowanego zepsuciem świata, stara służba w ojcowskim zakonie, bratnia dłoń przyjaciołom, a zresztą, niech tam Pan Bóg już radzi o swej wiernej czeladzi.

Kiedy więc stół się zapełnił do koła i zaświecono dwa duże kagańce, i zapalono dwie wazy ponczu, do którego materyałów dostarczyły specyały warszawskie, to i rozpłomieniły się serca i porozwiewywały się usta; a że najpierwszym przedmiotem rozmowy była Warszawa, o której musieli rozpowiedzieć nowi przybysze wszystko, co tylko wiedzieli: więc i huk się zrobił nie mały i zaledwie kto mógł się doprosić głosu.

— Bo po kiego dyabłałabym się obsadzał tem tałająstwem! — zawołał jakiś stary konfederat — metresy i linskoki jeszcze nikogo na dobrą drogę nie wyprowadziły. I co z tem zresztą za rozrywka?

— Otóż to jest, że niema! — rzekł na to konfederat drugi — bo czy to zastąpi księdza Skargę ksiądz Naruszewicz, który pisał paszkwile na konfederacyę? albo księdza Borkowskiego ksiądz Bohomolec, który podobno pisuje komedye? albo Kochanowskiego Trembecki? Jeden młody Węgierski, możeby z czasem Rejowi wyrównał, ale i ten podobno...

— Jeżeli łaska twoja, panie bracie — przerwał prędko

Jacek — to wnoszę do ciebie instancję za Węgierskim, bo to mój brat cioteczny.

— A gdyby też i rodzony! — zawołał na to konfederat — to i toby nie nie pomogło, bo skoroś ty tu wszedł między nas, to już ani brat, ani swat, ani nawet matka rodzona nie może ci być milsza: bo odtąd bracia twoi to my, a matka twoja, chorągiew!

— Ale o Węgierskiego się waszmość nie bój — dodał do tego ten, który się bił z murzynami, bośmy tu wszyscy mu przyjaciółmi.

— Przywiózł nam tu pan cześnik jego kilka wierszyków — rzekł któryś inny — i tak nam przemówiły do serca, że je prawie umiemy na pamięć.

— Kasa bo kasa — zauważył na to namiestnik — ale bo też i jak tu nie kasać? Toż to chyba ślepym być trzeba na to i z kamienia lub z lodu, ażeby nie warczeć na takie rzeczy, jakie się dzieją po dziś dzień w Warszawie. Opowiadał mi to kwestarz kapucyn, który za swoim bratem pojmanym do sieczy był jeździł, do czego tam już przyszło nakoniec. Toż to żaden obywatel uczciwy ani żony, ani córki tam nie śmie pokazać, toż cały seraj podobno pan stolnik trzyma na swym zamku, toż frymarczą urzędami i benificyami; król je sam za gotowe pieniądze *sub secreto* sprzedaje, a kiedy się uda, to jedno beneficjum dwa razy się sprzedaje...

— Ale dajno waść pokój — rzekł na to porucznik — bo co nadto to nadto. — My o sto mil z okładem od Warszawy siedzimy i tylko tyle o niej wiemy, co nas dojdzie przypadkiem. Nie u każdego cnota, nie każdemu też wiara.

— Już co temu — rzekł na to Kurdwanowski — to może pan porucznik dać wiarę, bo oto zaraz koło niego siedzi żywe *exemplum*. Dano mu starostwo i ma przywilej do dziś dnia, ale na starostwie jak siedział kto inny, tak siedzi także do dziś dnia.

— Hej! a czy nie o hołobuckiem starostwie tu mowa? — zapytał porucznik.

— Niestety! — rzekł Jacek — o hołobuckiem.

— A toż powiadaj-no mi waszmość czempredzej — zawołał na to porucznik — bo się tu coś z tego i o nas oparło. Wzywano tu jedną z naszych komend do obrony tego starostwa, ale komendant zwąchał pismo nosem i odpowiedział, że póki stoi pod rozkazami hetmana, to bez niego i króla mu nawet słuchać nie wolno. Waszmość chciałeś zajazd robić na Hołobuki? powiadaj-no nam jak to było.

Jacek tedy zaczął opowiadać całą tę hołobucką historię.

A wśród jego opowiadania otworzyły się drzwi i weszło trzech nowych towarzyszków do izby. Dwóch drugich nie można było dobrze rozpoznać w cieniu słabo oświetlonej komnaty, ale pierwszy z nich, który najbliżej do stołu przystąpił, był to młody chłopiec, o dwudziestu i kilku latach, dosyć miernej lecz zażywej budowy, twarz miał okrągłą i nawet zanadto ładną, jak na srogiego hajdamaków pogromcę, ale oczy jego pełne żywego ognia i wąs jasny, zakręcony z fantazją, dawały za to nieomyślne świadectwo równego ognia i fantazyi na duchu. Temu wrażeniu odpowiadał także i strój jego: miał bowiem na sobie zgrabny kubraczek zielony, na nim pas piękny ze srebrnych klamer, za którym sterczała para małych pistoletów w złoto oprawnych i piękny nóż z rączką z perłowej macicy ze złotem; na tem wszystkiem miał zarzuconą przez ramię burkę krymską z długim czarnym, szklącym kutnerem, która była pasowym aksamitem podszyta i srebrnym łańcuchem z takimiż klamrami pod szyją spięta; na głowie miał zgrabną konfederatkę z jakąś kitką piórek czy szklanych włókien, którą wszakże zdjął z głowy i położył na stole. Z tych szczegółów snadno zgadnąć, że cała ta postać młodzieńcza była tak przyjemnem i miłym zjawiskiem, że rzuciwszy raz na nią okiem, trudno się było od niej oderwać: jak bowiem całość jego ubioru uderzała od razu dobrym smakiem i swobodną, prawie naturalną pięknoscią, tak i w jego wejrzeniu było coś dziwnie sympatycznego i prawie pociągającego dla serca.

Łatwo wszystkim wrażeniom ulegający Jacek, kiedy rzucił okiem na tego młodzieńca, tak był odrazu uderzony

jego widokiem, że na chwilę uciał swoje opowiadanie. Zdawało mu się, jak gdyby go gdzieś znał już oddawna, jak gdyby się z nim bardzo często widywał i chciał się już zerwać z miejsca, ażeby rękę ku niemu wyciągnąć, lecz słuchający jego opowiadania z nadzwyczajnem zajęciem napomnieli go w ten moment, wołając z różnych kątów:

— Nie przerywajże nam twojej historii. To wszystko nasi, powitasz się z nimi i później.

Zaczął tedy Jacek opowiadać dalej, a tymczasem ów nowo przybyły nałożył sobie lulkę, którą wyjął z zana-drza, zapalił ją u kagańca i zostawszy na nogach przy końcu stoła, słuchał wraz z innymi historii hołobuckiego starostwa. Podczas opowiadania można było uważać, że ów młodzieniec do Kurdwanowskiego na palcach przystąpił, poklepał go po ramieniu, ścisnął mu rękę w milczeniu, a potem o coś zapytał. Kurdwanowski mu odpowiedział do ucha i cisza znów była jak pierwej, tylko ów młodzian już Jacka ani z oka nie spuścił i zdawał się każde jego słowo polykać.

Inni słuchali go także z natężoną uwagą i co moment dawali znaki to zadziwienia, to oburzenia, aż kiedy im Jacek opowiedział swoją ostatnią audyencyę u króla i na tem zakończył, gwar się zrobił pomiędzy nimi; a kiedy jedni chwalili go za to, że się w żadne intrygi dla odzyskania starostwa nie wdał, drudzy, że wszelką łaską pogardził, i ci i owi dawali mu niby do zrozumienia te słowa: Tylko sobie umiej pozyskać nasze umysły i serca, a cała partya ukraińska pójdzie na Hołobuki i w lot je dla ciebie odbierze.

Atoli wśród tego gwaru, który coraz bardziej ucichał, ów młodzieniec przybliżył się do Jacka tak, że stanął naprzeciw niego i spytał go po prostu:

— Tyś to jest Jahółkowski?

— Ja, do usług twoich — odpowiedział Jacek rad temu, ale przecież cokolwiek tą żołnierską otwartością zdziwiony.

— Podajże mi rękę kolego — rzekł na to tamten, wyciągając rękę przez stół ku niemu.

— Daję ci rękę z całego serca — zawołał Jacek z uśmiechem, ale powiedzże mi z łaski swojej, kto jesteś?

— Ja jestem Hilzen, kasztelanie mściśławski.

— Tyś jest Hilzen! — zawołał Jacek, zrywając się z ławy i przyskakując ku niemu — ty Hilzen? a! jak mi Bóg miły, wielka to dla mnie uciecha. Kiedy ty tutaj jesteś, to mi już nie nie brakuje.

— I mnie nie także — zawołał, ściskając go kasztelanie — bo od trzech miesięcy niczego tak nie pragnę, jak ciebie obaczyć. Jednemiśmy drogami chodzili i do jednegośmy celu zaszli! lecz mniejsza o to! ja tylko jednej rzeczy chcę się dowiedzieć od ciebie, spodziewam się, że mi jej nie odmówisz.

— Przed tobą nie będę miał żadnego sekretu — rzekł Jacek, zwłaszcza też, że i ja ciebie o rzecz nie jedną za-
pytam.

— Kiedyś więc łaskaw, to chodźmy sobie zaraz na drugą stronę i pogadajmy. Ja jestem nadzwyczajnie ciekawy.

— Mości panowie! — zawołał za nimi Kurdwanowski, kiedy już odchodzili — o czy nie możnaby i w naszej obecności pogadać? Tajemnice wasze nie są ani tak święte, ani tak bardzo nowe, abyście mieli powód drożenia się z niemi. Owszem nawet, stare to rzeczy i prawie codzienne. Jest nas tutaj trzydziestu, a podobno nie ma ani jednego takiego, któryby nie miał takiej tajemnicy na sercu. Któż się choć raz w życiu nie kochał? kogóż i ten raz nawet nie zdradziła kobieta?...

— A przepraszam — rzekł na to namiestnik — są tacy, którzy nie znają zdrady takiej, będącej chlebem codziennym w Warszawie, ale nie mającej na prowincyi, Panu Bogu niech będzie chwała! ani nawet przykładu.

— Przed laty trzydziestu — dodał Kurdwanowski, a obróciwszy się do Jacka i do kasztelanica:

— Ot! nie róbcie tajemnic z rzeczy, która wszystkim nam będzie przyjemna.

Ale kasztelanie rzekł na to:

— Nie, mój drogi! są rzeczy, które lubo nie święte, nie oddają się jednak na użytek publiczny.

— Jeszcze się kocha! — mruknął sobie Jacek pod nosem.

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział kasztelanic, biorąc Jacka pod ramię i przechodząc z nim na drugą stronę — ja się już wcale niekocham. Ale kochałem się kiedyś i ta miłość była mi droższą, niż wszystko na świecie, a co kiedykolwiek bądź mi drogiem, tego nigdy nie oddam na pastwę serc obojętnych i ust żartobliwych.

Tych kilka słów odkryły bardzo piękną stronę kasztelanica, za co go Jacek nie mógł, jak tylko jeszcze tem więcej ukochać, czego chcąc mu dać jaknajprędzej przynajmniej jakie takie dowody, opowiedział mu na jego żądanie z największą szczerością cały proceder swojej konkurencyi o siostrzenicę Jaorlickiego starosty i całe jej zachowanie się przy tem.

Kasztelanic go słuchał z natężoną uwagą i wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, a kiedy się już wszystkiego dowiedział, chwycił się ręką za czoło i zawołał:

— To są rzeczy dla mnie niepojęte zupełnie! Dlaczego ta dziewczyna chwyta każdego, kogo tylko może dosięgnąć, rzuca mu się prawie sama w ramiona, za konkurenta go przed całym światem ogłasza, a potem stara się wszelkimi, godziwymi albo i niegodziwymi sposobami, odsunąć go od siebie; ja tego nie pojmuję.

— Kokieta! — rzekł Jacek.

— Ale cóż za cel, proszę ciebie? jaki koniec tego wszystkiego? toż to przecież już i latka się uzbierały... i zresztą, czy ty wiesz, kto jest właściwie Petryna?

— Siostrzenica starosty.

— Ale nie! to jest tylko jakaś daleka krewna jego, córka najuboższej wdowy, z najuboższego przedmieścia z Lublina.

— Czy tak jest istotnie?

— Ale tak jest niezawodnie. Znam przecież jej matkę, sam byłem u niej. Poznawszy mnie i dowiedziawszy się odemnie, że się starał o jej córkę, zaledwie swoim

oczom wierzyła: — „Jaśnie wielmożny panie! moja Petrynka chyba już musiała oszaleć!“ — to są własne jej słowa. Pisała potem do niej i podobno nawet sama do Warszawy jeździła. Poczciwa to jakaś kobieta, ale nędzna, uboga, i przyznam ci się, że mi się i to jej ubóstwo nie mogło w głowie pomieścić, kiedy sobie przypominałem położenie, humor, a nadewszystko zachowanie się jej córki. Do czegoż dąży to wszystko?

— To do niczego zgoła nie dąży — rzekł na to Jacek — kokieta jest i lekkomyślna przytem, dobrze jej jest u bogatych wujostwa, a więc bawi się w sposób najlepszy, jaki mogła w swojej pstrej głowie wymyśleć, i o jutrze nie myśli.

— Ale nie — odpowiedział prędko kasztelan — jej tam wcale nie jest dobrze w tym domu. Bo trzeba ci wiedzieć, że jej starościna nie cierpi i wcale się z tem przed nią nie tai; starosta skąpy jest niesłychanie, a choćby może dla niej nie żałował pieniędzy, bo ten znów ją lubi niezmiernie, to starościna jest jeszcze skąpszą od niego, na czem Petryna oczywiście tem gorzej wychodzi. Ja ci ręczę za to, że jej położenie w tym domu nie jest do zazdroszczenia... a zresztą! lichy tam wie. Ja ani jej, ani tego całego domu zrozumieć nie mogę. Ale tylko cierpliwości... zrozumiemy my ich kiedyś wszyscy. Mam ja moje domysły, tylko ich nie chcę wspominać.

— Mój drogi! mam i ja także domysły, bo i ślepyby musiał przyjść na nie, kiedy tak jasno mówią za nimi wszystkie okoliczności. Ale co mi do tego! Pogardziłem już nią teraz, bo godna była pogardy; a choćby nawet i te domysły okazały się prawdziwymi, to cóż jej zrobię już więcej?

— Ty nic nie zrobisz, bo ty już masz dostateczną z niej satysfakcyę, ale ja mego jej nie daruję. Mój kochany, ja u białych raków dla niej służyłem!

— Jakto? — zawołał Jacek, śmiejąc się na całe gardło — u białych raków? ja tego nie rozumiem.

— Nie śmiej się, proszę ciebie — rzekł na to kasztelan — bo mi się wszystka krew burzy.

— Ale proszę cię, powiedz mi, cóż to było takiego?

— Co było! — zawołał młodzieniec z westchnieniem

— tyś był powściągliwszym i przezorniejszym i dlatego jako tako z tej klatki wyszedłeś, ale ja byłem słabym i zaślepionym bez pamięci i dałem jej z sobą robić, co jej się podobało. Otóż tyle dokazywała ze mną, że mnie aż do białych raków zrekrutowała.

— Mój drogi, powiedzże mi, jak to było.

— To było tak: — mówił kasztelaniec — z początku postępowała ze mną tak samo jak z tobą. Sama prawie rzuciła mi się w ramiona: sympatyę, sentymenta, grzeczności, pochwały, zgoda wszystko jak z tobą. Ale kiedy się już rozgłosiło przed całym światem, że ja się o nią staram, ona, jak gdyby jej tylko tego było potrzeba, zaczęła jakieś kaprysy ze mną.

— Zawsze jedna i ta sama metoda! — rzekł Jacek.

— Ale ja na to nie zważałem — opowiadał dalej kasztelaniec, bo trzeba ci wiedzieć, że byłem z nią już tak jak po deklaracyi i do jej kaprysów byłem już trochę przyzwyczajony. Jak na to jeszcze właśnie natenczas musiałem wielkie przechodzić nieprzyjemności z moją rodziną, która sobie zrazu ani mówić nie dała o tem, ażebym ja się żenił z jakąś sierotą, nieznanego imienia, pochodzenia i t. d. Te nieprzyjemności trwały ze trzy miesiące. O! czegoż natenczas nie doświadczyłem! Ale wszystko to jakoś zniósłem i przeparłem nakoniec i po trzech miesiącach byłem już gotów do ożenienia. Ale tymczasem Petrynka zwinęła przedemną chorągiewkę tak nagle, że prawie mówić ze mną nie chciała. Za nic moje wszystkie poświęcenia i trudy, które dla niej poniosłem, za nic moje nowe zabiegi, błagania: ona nietylko była jak kamień dla mnie, ale mnie nawet wyraźnie odmiatała od siebie i to nawet takimi sposobami, które bardzo mi źle świadczyły nietylko o jej sercu, ale nawet o wychowaniu. Pomimo to wszakże byłem cierpliwy; kochałem się do szaleństwa a czegoż się z miłości nie zrobi! — Używałem więc wszystkich środków, ażeby ją ku mnie nakłonić, i byłem gotów, sam nie wiem co, ale nawet i w ogień skoczyć dla niej. Ale

im więcej ja się o jej względy starałem, im pilniej jej wszędzie asystowałem, im głośniejsz świat o tem gadał, że się w niej kocham szalenie, a ona mnie maltretuje, tem ona rzeczywiście jeszcze nielitościwiej obchodziła się ze mną i bawiła się mną jak drewnianym konikiem. Aż jednego wieczora zdarzyło się, że do starosty na herbatę przyszedł oficer od tych białych raków nieszczęsnych. Znasz dawny regiment generała Golecza, który ma zwierzchnią suknię czerwoną a wyłogi, kamizelki i resztę ubioru białe, za co ich przez żart białymi rakami nazwano. Otóż ten mundur jak zaczęła chwalić Petrynka przedemną: a jakby panu w tym mundurze było ładnie! a jak z tymi kolorami do twarzy! jużbym panu nawet sama przypięła do kapelusza kokardę. Z początku myślałem, że to żart tylko, ale tym pochwałem nie było końca, wkrótce pochwały zmieniły się w dość wyraźne namowy, a nareszcie rzuciła mi niby z niechcenia te słówka: Jeszcze jesteśmy młodzi i mamy dosyć czasu przed sobą, a nikomu to nie zaszkodzi posłużyć trochę rzeczypospolitej. — Te słówka były dostateczne dla mnie, a że ja nad niczem nie lubię się długo namyślać, więc do trzech dni miałem już patent na oficera u białych raków, a czwartego dnia prezentowałem się w mundurze Petrynce. Wielkie jej było ukontentowanie i już myślałem, żeśm tą ofiarą całkiem ją przebłagał. I byłbym ją rzeczywiście przebłagał, ale żebym był chyba u raków pozostał na zawsze... Ale ja nie po to tam wstępowałem, bo jak wiesz, jest to pułk cudzoziemskiego autoramentu, w którym lada kto może być oficerem, a w którym mnie nie godziło się służyć. Mogłem przecież na zawołanie mieć miejsce towarzysza, wuj mój rodzony jest rotmistrzem petyhorskiej chorągwi a i po ojeu moim jeszcze mi się pamiętać jakaś od rzeczypospolitej należy... To też cały świat nie mógł mi się nadziwić: kasztelanie mściśławski u białych raków! kasztelanie komenderuje szyldwachem! kasztelanie ronty prowadzi po nocach!... powtarzano sobie z ust do ust, a nikt tego nie mógł zrozumieć. Ja to wszystko słyszałem, milczałem i milczę o tem

do dziś dnia. Ale ja tego nie daruję. Przyjdzie czas, ja zażadam mojego rachunku...

— No i cóż potem, panie bracie?

— I cóżby potem! — zawołał kasztelan — wystąpiłem we cztery miesiące i zastałem Petrynkę całkiem obcą dla siebie. Powiadała nawet przed jedną z pań, która ją o mnie pytała, że nigdyby za takiego nie poszła, który służył u białych raków.

— A! zmiłujże się!

— Tak było. Ale ja nic już nie mówiłem na to i dziś nie nie mówię. Przyjdzie czas, kiedy gębę otworzę szeroko, a wtedy się rozmówimy. Ale podobno to nie z nią będzie rozmowa.

— Tylko?

— Tylko z jej wujaszkiem kochanym — rzekł na to dobitnie kasztelan — bo ja parawanem nikomu nie będę.

— Ach! ja temu uwierzyć nie mogę.

— Ja mogę, bo mam na to dowody. Lecz dajmy pokój! Wracajmy do naszych, bo i tak już zadługo tutaj siedzimy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Życie na kresach bardzo się podobało Jackowi. Tego roku i w zimie zdarzała się służba. Wracały wojska obce, wysyłano podjazdy, przychodziło do sporów a nawet i do pomniejszych utarczek. Jacek chrzest krwawy odbył jeszcze na śniegu. Cięty w twarz i ugodzony kulą pod prawe ramię, przeleżał już resztę zimy i początek wczesnej na-
ówczas wiosny. O wiosnie poszedł z chorągwią na luki. Było do czynienia pod samą szyję. Codzień to nowe hajdamackie kupy wypuszczały się za Dniepr na tę stronę na rabunki i mordy. Zasiadano na nich, otaczano je, bito, pojmanych wieszano i wbijano na pale, jak zwykle. Piękna była bitwa z hajdamakami, bo się bijali walecznie

i prawie po rycersku; rzadko który dawał się brać, póki się mógł utrzymać na nogach, żaden bez krwi wylewu; przed rozpoczęciem bitwy oddawali pokłon czapkami i bronią, a potem uderzali z taką fantazją, że im jej każdy mógł pozazdrościć i pięknie to było, póki się spotykała pierś z piersią, broń z bronią... Ale kiedy potem przychodziło do egzekucyi, kiedy się wzniosły i zaskrzypiały szubienice, kiedy rozdzierające jęki dały się słyszeć z palów... smutno było Jackowi i nieraz myślał sobie w duchu: bo-dajbym tu nigdy nie był przyjeżdżał!

Wtedy to często, kiedy kilkodziowymi podjazdami i utarczkami zmęczony, ogłuszony jękami na pal powbijanych złoczyńców, wzburzony widokami nieustępujących mu z przed oczu szubienic, na swoją lukę powrócił; kiedy inni towarzysze zasiadali do wesołej biesiady i gwarliwej gawędy, on wymykał się milczkiem z ich koła, uciekał w pole albo się rzucał na ziemię pod cieniem jakiego drzewa i tam długie godziny trawił sam z sobą. Było coś w jego wewnętrznej istocie, jakieś niespokojne uczucie w sercu, jakiś głos tajemniczy w sumieniu, który się ciągle do niego odzywał, dawał mu się słyszeć wśród gwaru bitwy i szczęku oręża, budził go nawet z snu najtwardszego po nocach, wołając głuchym jękiem jak gdyby z pod ziemi: — Jacku, Jacku! pomyśl nad sobą, ażaliś ty sprawiedliwy! pomyśl, ażali to wszystko, co cię od kilkunastu miesięcy spotyka, nie jest zasłużoną karą dla ciebie! pomyśl i uderz się w piersi, dopóki czas jest i dopóki Pan jeszcze może się ulitować nad tobą!

Młodzieniec drżał, sam nie wiedząc dlaczego. Uciekał myślą od tego głosu, odpychał gwałtem od siebie wszystkie warszawskie, karlsbadzkie i hołobuckie wspomnienia, zasłaniał się otwartymi rękami przed tymi szkaradnymi obrazami; ale te obrazy jak widma pędzone wichrami przelatowały stepem, wieszały się przed nim w powietrzu, usiadały na dalekich mogiłach i stamtąd uderzały go w oczy swemi jaskrawemi barwami, rozdzierały mu serce, wywoływały gorycz na jego usta...

I wtedy to dopiero nieszczęśliwy młodzieniec, szukając

jakiegokolwiek przystani dla rozbolełego serca i duszy stęsknionej, zaczął zalatywać myślą w kolebkę pierwszych snów swoich, w krainę dawnego szczęścia i spokoju, w tę cichą i szczęśliwą w swej ciszy sandomierską ziemię, gdzie tyle serc żyło pocziwych, przyjacielskich, serdecznych, gdzie jeszcze starym obyczajem mądrość z zacnością chodziły w parze, gdzie otwartość i prawda w rzędzie cnót pierwsze trzymały miejsce, gdzie się brzydzono podstępem i fałszem, a o intrygach takich, jakie w stolicy stały się główną spraw wszelkich sprężyną, tylko głuche i prawie niezrozumiałe chodziły wieści...

I przypomniał sobie ów dom modrzewiowy w Kąkolnikach, w którym reszty dni swego czystego życia dokończywał białowłosy pan stolnik.. Starzec ten niegdyś wszystkie siły swoje poświęcał usługom ojczyzny, i w radzie, i w boju, i w poświęceniach był zawsze pomiędzy pierwszymi, i tak lat blisko czterdzieści wytrwał bez odpoczynku, bez skargi i w ustawicznej nadziei... I dzisiaj jeszcze nie był on tak starganym na siłach, aby nie mógł być czynnym, i dzisiaj jeszcze miał serce to samo, a głowę w doświadczenia bogatszą, a pomimo to przecież się zamknął w swym domu jak gdyby w klasztorze i nawet nie chciał wiedzieć, co się dzieje na tym nowym i hałaśliwym warszawskim świecie...

Jacek przypomniał sobie wszystkie stosunki, jakie go niegdyś wiązały z domem stolnika. Przypomniał sobie te czasy, kiedy tam prawie jak gdyby do rodziny należał. Czcigodny starzec był mu jak gdyby drugim ojcem, który mu starożytne cnoty w najżywszych przedstawiał obrazach, uczył być najpiękniejszym przykładem otaczającej go braci, najlepszym ojcem dla swoich poddanych, najtroskliwszym opiekunem dla biednych i uciśnionych. Stolnik sam dzisiaj już się usunął z wielkiej sceny publicznej, ale Jacka, przeciwnie, do pracy i poświęceń sam nawet zachęcał, wskazywał drogi, na których może być czynnym i pożytecznym, wskazywał środki pewne do osiągnięcia znaczenia i wpływów, i prawie sam go za przyszłego spadkobiercę wszystkich dóbr swoich naznaczał.. Stolnikowa była

mu matką. Ileż zawsze przywiązania, ile macierzyńskiej miłości zdradzała dla niego! Z jakim tklivem zadowoleniem patrzyła na jego rozwijające się zdolności, jak się cieszyła pochwałami oddawanemi mu przez sąsiadów, z jakim szczerym udziałem rozmawiała o jego pięknej przeszłości, z jaką serdeczną pociechą spoglądała na wzrastające codziennie przyjazne związki pomiędzy nim a Helenką!... A cóż dopiero powiedzieć o tem dziecku anielskiem, które z nim podzieliło wszystkie dobre i smutne losy swego dzieciństwa, które przez lat tyle tak harmonijnie wtórzyło jego wszystkim uczuciom, myślom, zapałom i uniesieniom, które jak kwiatek polny, jak powój wiotki wiosenny, przy jego sercu nauczyło się czuć i poznawać uczucie, pod jego wpływem nauczyło się myśleć, patrzeć na świat i na ludzi i o tem wszystkim jego własne pojęcie, które nakoniec pod jego wyobraźnią wymarzyło sobie całą przyszłość swoją, — a dziś bez niego zostało może bez uczucia, bez myśli, z gorzkim wspomnieniem tylko rozwianych marzeń i utraconych nadziei!...

To wszystko stawało dzisiaj Jackowi w jego chwilach samotnych, jak gdyby obraz widomy, przed łaknącemi jakiegokolwiek widoku oczyma i napawało go smutkiem niewypowiedzianej ciężkości. A kiedy sobie jeszcze ten świat, jaki się tam niegdyś dla niego otwierał, porównał z tym światem, w którym niedawno, szukając szczęścia dla siebie, tyle i tak szkaradnych doświadczył zawodów, kiedy sobie postawił przed oczyma tych ludzi, z których braterskiego gwałtem się wydarł objęcia, i znowu tych ludzi, których sam z ufnością i wiarą chciał do swego kochającego serca przycisnąć, to ów ciężki smutek jego zamieniał się w żal tak krwawy i rozpaczliwy, że cały świat mu się wydawał tylko dla niego katownią i nawet samo życie mu zmierzło...

To usposobienie jego, z którem wśród bitwy igrał sobie jak dziecko ze śmiercią, a w chwilach spoczynku od ludzi uciekał i albo błądził samotny po stepie, albo się w jakim nieodszukanym kącie ukrywał, było zanadto widocznem, ażeby go nie dostrzegli jego towarzysze. Ja-

koż dziwili się temu wszyscy niemało, boć przecie i z nich niejeden doświadczył gorzkich w tem życiu zawodów, i był oszukany przez ludzi, i miał do przeboleń także nielekkie smutki i żale, a przecież każdy na stepowem powietrzu, wśród ciągłych niebezpieczeństw i bojów, a nakoniec w towarzystwie tak wesołym, udzielającym się i szczerze braterskiem, jakoś umiał rzucić te troski o ziemię, zapomnieć smutnej przeszłości i rozbudzić nowe w swem sercu nadzieje. Dziwowano się więc Jackowi i ze szczerzej chęci pomóżenia mu usiłowano się o przyczynach tego usposobienia dowiedzieć. Ale było to wszystko napróżno, albowiem ani Kurdwanowski, ani kasztelanie mściławski, ani żaden inny z towarzyszków nie potrafili tak blisko do niego przystąpić, ażeby zamknięty w sobie młodzieniec otworzył im serce swoje i myśli.

Ale przecież z czasem znalazł się taki, który, lubo także nie wymógł na nim całkowitej jego serca spowiedzi, przecież przynajmniej przeczuć go potrafił, a zresztą go wyrozumiał. A tym był stary, roztropny, prawego charakteru i czystego serca porucznik. Ten już zdawna miał baczne oko na Jacka, a rozeznawszy z łatwością, że jego zimna krew w niebezpieczeństwach jest raczej rozpaczliwą obojętnością, niżeli przyrodzonym przymiotem duszy, jego wściekła odwaga raczej zawziętym uporem, niżeli rycerską fantazją, i widząc go nadto jeszcze zawsze tak w sobie zamkniętym i od ludzi stroniącym, jako dbały opiekun i drugi ojciec powierzonej mu młodzi, tem jeszcze baczniejszą zwrócił na niego uwagę. W krótkim też czasie, po części z rozmów z nim prowadzonych w tym celu umyślnie, po części z przypadkowo rzucanych przez niego opinii, roztropny starzec zajrzał tak głęboko w serce i umysł młodzieńca, że go poznał do gruntu. Podług jego zdania, Jacek miał serce zanadto miękkie, a jeszcze bardziej wyegzaltowane przez marzenia i książki; z takim sercem rzucił się w świat między ludzi, o których miał naprzd wy-marzone najpiękniejsze pojęcia, trafił najnieszczęśliwiej i rozczarował się odrazu, ale zamiast się rozczarować do tych

ludzi, z którymi się zetknął, rozczarował się do całego świata i zwątpił o wszystkim.

Tak wyrozumowawszy sobie porucznik przyczyny dzisiejszego usposobienia Jacka, widział go rzeczywiście nieszczęśliwym i żał mu się zrobiło młodzieńca, który na kresach tylko mógł jeszcze bardziej zakamienieć w swoich zwątpieniach, a powróciwszy w świat i poznawszy go głębiej i wszechstronniej, nietylko by dawne w swoim sercu obudził życie, ale z swojemi zdolnościami i charakterem mógł się stać dzielnym i znakomitym członkiem Rzeczypospolitej. Świat ówczesny, lubo po nim tak różnorodne grasowało zepsucie, nie był jednak już zgniłym zupełnie, było w nim jeszcze dosyć zdrowych i niedotkniętych zgnilizną żywiołów, nie brakowało na ludziach zacnych, pełnych poświęcenia, rozumu i cnoty, i wiele jeszcze dróg zostawało otwartych, na których można było pracować z pomocą drugich, z rzeczywistym pożytkiem na teraz i z najlepszą na przyszłość nadzieją. Ścigać łotrów i zwycięskie staczać z nimi potyczki pod dobrą komendą lada kto potrafi, ale zajmować z pożytkiem dla ogółu stanowisko dobrego obywatela w kraju, wpływać zacnie i skutecznie na drugich, wypełniać z prawdziwem poświęceniem urzędnicze albo poselskie obowiązki swej ziemi, na to czegoś więcej potrzeba, niżeli silnej ręki i fizycznej odwagi, a kto do tego zdolności posiada, źle czyni, jeżeli się w ciasnym obrębie prostego szermierza zamyka. Do tego czasu zresztą Jacek już dosyć nabył znajomości służby wojskowej, a dawszy dostateczne dowody osobistej odwagi i waleczności, mógł, choćby dzisiaj, objąć nad całą chorągwią komendę i w potrzebie taką samą służbę wypełnić w swoim powiecie.

To tedy wszystko rozważył sobie porucznik, i z jednej strony nie widząc żadnego celu w dalszym pobycie Jacka na kresach, z drugiej zaś będąc pewnym, że życie tutejsze tylko codziennie gorzej działa na jego usposobienie wewnętrzne, postanowił sobie naprowadzić go pomału na myśl powrócenia do domu i tę myśl z końcem jesieni doprowadzić do skutku.

Ale Jacek zaraz przy pierwszej próbie okazał się nieprzystępnym z tej strony.

Kiedy bowiem porucznik doprowadził nakoniec do tego, że mu natracił wyraźnie myśl powrócenia do domu i zajęcia tego stanowiska, do jakiego i z urodzenia i z usposobienia jest przeznaczony, on wzdrachnął się na to, a potem ścisnął porucznika z uczuciem za rękę i rzekł:

— Bardzo panu porucznikowi dziękuję, że tak po ojcowsku się troskasz o moją przyszłość, ale moje postanowienie jest wcale inne. Przyszedłem tutaj na kresy, ażeby jednego zapomnieć, a drugiego się natomiast nauczyć, a dotychczas jeszcze nie osiągnąłem żadnego z tych obu dwóch zamiarów. Co zaś tyczy się tego, że mogę być pożyteczniejszym w kraju niżeli na kresach, to muszę panu porucznikowi powiedzieć, że masz nie całkiem prawdziwe wyobrażenie o mnie: bo ani mój majątek jest tak znacznym, ażeby zaniedbanie go mogło przynieść szkodę krajowi, ani moje zdolności są takie, żebym mógł nimi lepiej służyć mej ziemi, ani jeszcze nawet i wiek mój i doświadczenie po temu. A zresztą przyzwyczałem się tutaj, nauczyłem się szanować i kochać moich towarzyszków i najszczęśliwszym będę, jeżeli tu jak najdłużej zostanę.

Jacek zapewne czuł i myślał inaczej, ale tak mówił, a postanowienie jego było tak silne, że porucznik, rozgadawszy się z nim otwarcie, stracił całkiem nadzieję namówienia go do opuszczenia chorągwi przed zimą.

Jakoż byłoby nigdy do tego nie przyszło, gdyby nie to, że inna do tego przyczyniła się okoliczność.

Przez ten czas bowiem, o ile się zdaje, poruszyły się względem starostwa sumienia w Warszawie. Nie można było dojść tego dokładnie, kto był głównie działającą siłą w tej agitacji; z różnych atoli szczegółów należało przyjąć to przekonanie, że ksiądz biskup smoleński, widząc Jacka marnującego swą młodość na kresach i psującego się między stepowymi duchami (jak się zapewne o tem wyrażano u dworu) i przypisując krok taki głównie doznanemu przezeń zawodowi na owem starostwie, korzystał z jakiejś chwili dobrego usposobienia króla i tę

sprawę powtórnie wprowadził na tapet. Może być także, że sam król, który miał niewątpliwie serce najlepsze i wyśmienity rozsądek, przy zdarzonej sposobności sam sobie tą kancelaryjną pomyłkę przypomniał i wedle sprawiedliwości osądził; może być zresztą, że pani kasztelanowa krakowska, która sypiać nie mogła, kiedy o jakiejś podobnej niesprawiedliwości wiedziała, tej sprawie nakoniec taki obrót nadała; ale jakkolwiekby tam było, pewną jest rzeczą, że w miesiącu października Kurdwanowski odebrał list od pana Łęskiego, w którym tenże posiadacz hołobuckiego starostwa jemu donosi, iż będąc do tego różnemi prośbami i naleganiami powodowany, jest skłonny do wejścia z panem Jahołkowskim w umowę o Hołobuki i nawet mu w tej chwili takie położy warunki, iż nie wątpi, że zostaną bez targu przyjęte.

Nawet i tę wiadomość jeszcze przyjął Jacek dość obojętnie; jemu byłby zapewne wtenczas stokroć miłszym list od kogobądź z Kąkolnik, albo choć przynajmniej od księdza prowincyała; ale tak wyraźnej i łatwej propozycyi ze strony pana Łęskiego nie mógł poprostu odrzucić. Wszakże pomimo przyjęcia jej, jeszcze tak był wiernym przedsięwzięciu nieruszania się z kresów, że kazał Kurdwanowskiemu odpisać, ażeby pan Łęski do niego na lukę przyjechał i tam z nim się rozmówił. Ale już na to nie pozwolił porucznik. Nie pozwolili i towarzysze, którzy zapewne nastrojeni przez porucznika, opadli go wszyscy razem, ażeby swojego szczęścia nie deptał samowolnie nogami i odebrał już nakoniec to hołobuckie starostwo, które najniesprawiedliwiej utracił, a które mu się teraz samo oddaje w ręce. A kiedy nareszcie Jacek zdecydował się jechać do Czerteżowa, ażeby tam z pomocą Kurdwanowskiego zrobić umowę z Łęskim, porucznik mu powiedział wyraźnie, iż żąda tego od niego, ażeby już na kresy nie wracał, tylko wyjechawszy po zrobionej umowie na to starostwo i zaprowadziwszy w niem swoją administracyę, ażeby do Zarwivód pojechał i osiadłszy napowrót na swoim majątku, zajął to stanowisku, które jest przeznaczone dla niego.

Temu Jacek się znowu usiłował sprzeciwić, ale już porucznik i mówić nie pozwolił i rzekł nakoniec z udaną surowością:

— A jak to waść śmiesz się temu sprzeciwiać? Jesteś towarzyszem chorągwi, a to jest rozkaz, który masz spełnić po służbie co do joty. Pojedziesz stąd do Hołobuków i zabierzesz je *in possessionem*, a potem się udasz do Zarwivód w Sandomierskie i tam masz stać póty, póki cię nie powołam. Taka jest moja komenda i niema co o niej mówić.

Tak tedy Jacek, zmuszony prawie do tego kroku, który mu miał przynieść zbawienie, wyprosił sobie tylko pozwolenie wzięcia udziału jeszcze w jednej wyprawie na hajdamaków i potem zaczął się już z Kurdwanowskim wybierać w podróż. Do nich przyłączył się jeszcze kasztelanie mściśławski, który po odebraniu jakichś listów z kraju, już od kilku tygodni męczył porucznika o wolność opuszczenia chorągwi, i tak razem we trzech wyjechali do Czerzeżowa.

Nazajutrz po przybyciu do majątku Kurdwanowskiego, zawezwał Łęskiego, który rzeczywiście natychmiast przyjechał. Sprawa ta jednak nie poszła tak łatwo, jak to zapowiedział list odebrany na kresach; pan Łęski bowiem, lubo pewnym był tego że oprócz tego co weźmie od Jacka, odbierze sowite wynagrodzenie z szkatuły królewskiej albo ze skarbu, usiłował jednak ile możności jak najwięcej wytargować na hołobuckim staroście. Ale i Jacek także nie był już dzisiaj tak gorąco kąpanym jak dawniej, a domyślając się prawdziwego stanu rzeczy, bardzo małe tylko obiecywał odstępującemu korzyści. Tak ten targ trwał przez dni kilka, a po ich upływie przecie domysł Jacka się stwierdził i pan Łęski, ukontentowany kilkunastoma tysiącami odstępnego, zrzekł się przy świadkach i na piśmie wszelkich praw do tego starostwa na rzecz nowo mianowanego starosty. W parę dni potem pan Jaholkowski wyjechał do Hołobuków jako ich prawy posiadacz i przez rządce Kurdwanowskiego, którego swoim pełnomo-

enikiem czynił, natychmiast objął rządy i gospodarstwo tego majątku na siebie.

Tak więc nakoniec załatwioną została ostatecznie ta sprawa, która taką zakałę przynosiła najwyższej władzy, a Jackowi napędziła tyle zgryzot i zmartwień, że prawie połowa tego gorzkiego usposobienia, które go opanowało, miało w niej swoje źródło.

Lubo odzyskanie tego starostwa teraz i na tej drodze nie przyniosło już Jackowi tyle pociechy, jakiejby był doznał gdyby był Hołobuki posiadał bez przeszkody odrazu, albo przemocą zajechał i zabrał, wypadek ten jednak bardzo szczęśliwie wpłynął na niego; jego humor kwaśny się wypogodził i obudziła się w jego sercu na nowo dawna wiara w siebie, w ludzi i w jakąś lepszą przyszłość w tem życiu. Jak niewiele mu trzeba było na to, aby się rozczarować, zwątpić o wszystkim i zrobić rozbrat ze światem, tak też niewiele i na to, ażeby się przeprosić i znowu do dobrych myśli powrócić. Jacek był młody jeszcze; dopóki człek młody, dopóty jest gibki i giętki, a w gibkości umysłu i serca spoczywa najpewniejszy warunek szczęścia na ziemi.

Wszakże jeszcze daleko szczęśliwszym od niego był jego przyjaciel Ignacy, ten bowiem, jak niewzruszonym był w głównej zasadzie życia, tak ta cała zasada nie miała nic innego na celu, jak ustawiczne naginanie się do wszystkich okoliczności i korzystanie z nich w sposób taki, ażeby się niemi jak najlepiej zabawić. Kiedy więc ta sprawa Jackowa szczęśliwie się zakończyła, kto najwięcej cieszył się z tego i był najweselszym, to był Kurdwanowski. On propozycję dobrowolnej umowy jeszcze przed rokiem Łęskiemu zrobił, on dzisiaj tę umowę prowadził, on targu szczęśliwie dobił; a lubo to wszystko jemu najmniejszej nie przyniosło korzyści, było to jednak dosyć dla niego, aby go uszczęśliwić. Cieszył się więc korzyścią Jacka jak swoją własną; zaraz dom swój dla wszystkich sąsiadów otworzył i, fetując ich u siebie, taką rozniósł pomiędzy wszystkich wesołość, jakby nie nad marnem starostwem, ale przynajmniej nad jaką prowincją odniesiono

zwycięstwo. A ponieważ i przybywający sąsiedzi takim samem sercem dzielili szczęśliwy obrót braterskiej sprawy, więc Jacek jeszcze tem więcej się odżywił pomiędzy nimi, i coraz weselsze, swobodniejsze dni pędził w Czerteżowie. Zwracając atoli teraz daleko baczniejszą uwagę na to, ile i jakiego udziału kto zdradza dla niego, dostrzegł niebawem, że kasztelanie mściśławski tej wesołości powszechnej był prawie obcym zupełnie. I nie było to żadne przywidzenie, młodzieniec ten bowiem, od czasu jak jeszcze na kresach jakieś listy otrzymał z kraju, znacznie się na humorze zmienił; od kiedy zaś przybył do Czerteżowa, ciągle był czemsiś niby zajęty i zamyślony, pisywał coś w osobnym pokoju, codziennie prawie gdzieś posłańców wysyłał i nawet z żydkami miał jakieś potajemne konszachty.

To spostrzeżenie zajęło Jacka, i kiedy dnia jednego po obiedzie znajdowali się sami w sali jadalnej, a kasztelanie siedział w rogu sofy tak zadumany, jak gdyby w głowie prowadził jakieś rachunki, Jacek się zbliżył do niego i kładąc rękę z ufnością na jego ramieniu, rzekł głosem łagodnym:

— Cóż ty, kochany Pawełku, jakiś jesteś smutny, jakiś zafrasowany, czy masz jaką zgryzotę?

— Zgryzoty nie mam żadnej — odpowiedział kasztelanie wciąż w zamyśleniu — ale mam pewny niepokój.

— Cóż? czy stało się co takiego?...

— Nic się jeszcze nie stało, ale się dzieje, a że nie wiem jeszcze dokładnie, jak się to dzieje, więc mnie to niepokoi.

— Ja to uważam już nie od dzisiaj — odezwał się na to Kurdwanowski z uśmiechem — że ty gdzieś szpiegów rozsyłasz na wszystkie strony, ale myślałem, że to jest jakaś tajemnica miłosna.

— I nawet zgadłeś — rzekł kasztelanie — bo tak jest w istocie, tylko jest to tajemnica taka, którą mogę wszystkim powiedzieć.

— A więc mówże nam jak najprędzej — zawołał Jacek — a przedewszystkiem mnie, bo mnie to obchodzi.

— Powinno ciebie obchodzić, ale cię nie obchodzi. Jakąś szczęśliwszą masz miłość odemnie!

— Cóż to jest? — rzekł Jacek ze zdziwieniem — proszę cię, powiedz, bo moją ciekawość na ogniową próbę wystawiasz.

— Hm! — rzekł na to, ruszając głową kasztelan — dziwi mnie to, że dotychczas jeszcze sam się nie domyśliłeś o co tu chodzi. Wiesz przecie, że stara Jaorlicka jeszcze z początkiem wiosny umarła...

— No wiem, ale cóż z tego?

— Hm! wiesz przecie także, jakie mieliśmy podejrzenia względem starosty...

— I to wiem także, ale jeszcze nie widzę...

— A ja widzę — rzekł kasztelan na to — bo w tej chwili Petryna jest tutaj u podkomorzyny kaliskiej, a dzisiejszej stolnikowej owruckiej, a starosta Jaorlicki siedzi u chorążego i jest wieść taka, że w tych dniach ma się odbyć ślub tych państwa obojga...

— Jakto! — zawołał Jacek, odskakując od kasztelanicy — ja tego nic a nic nie rozumiem! To podkomorzyna kaliska...

— Podkomorzyna kaliska — odpowiedział prędko kasztelan — po wydaniu się jej romansu z wojewodzie witebskim i zrobionym stąd małym skandalu w Warszawie, pochwyciła sobie jmc pana stolnika owruckiego, siedemdziesięcio-letniego starca, ale pana kilku milionów i wyszedłszy za niego, mieszka stąd o trzy mile w Płotyszczach...

— A toś mi powiedział nowinę! — zawołał Jacek, przechodząc się w zamyśleniu po sali.

— To nawet i dla mnie nowina — rzekł na to Kurdwanowski — i dziwna mi, że mój Jaworkiewicz, kiedy przyjeżdżał do mnie na kresy, nie mi o tem nie mówił.

— Więc proszę ciebie — zawołał znów Jacek, przybiegając do kasztelanicy — więc Petrynka bawi teraz u podkomorzyny?

— Bawi u podkomorzyny, a stamtąd o ćwierć mili, w wiosce należącej do chorążego, mieszka tymczasowo sta-

rosta Jaorlicki i do Płotyszcz dojeżdża. Starosta jest wykwapowany zupełnie: ma nowe powozy, nowe szory z czubami, kapiącą od złota liberyą i jak wieść niesie, jest przygotowany zupełnie do ślubu, który ma niebawem nastąpić...

— A! to są rzeczy cudowne! — rzekł na to Jacek, zamyślając się nad tem i chodząc wielkimi krokami po sali.

— Więc ty nie wiesz jeszcze z pewnością — zapytał Kurdwanowski kasztelanica — czyli ten ślub ma nastąpić i kiedy nastąpi? Poczekajże, to ja ci się każę o tem dowiedzieć, a do jutra będziemy mieli raport dokładny.

— Ale nie trzeba! — zawołał na to kasztelanica, bo ja dziś jeszcze będę wiedział o tem. Wysłałem żydka do tamtejszego księdza i dałem mu dobrą instrukcyę; wczoraj jeszcze pojechał i już tylko co go nie widać.

Ledwie tych słów dokończył, kiedy istotnie wszedł służący do sali i zapowiedział kasztelanicowi, że jakiś żydek znajduje się w sieni, który z nim pragnie słów kilka pomówić. Kasztelanica wybiegł natychmiast z pokoju, a tymczasem Jacek, który wciąż w zamyśleniu przechadzał się wielkimi krokami po sali, rzekł wpół do siebie, a wpół do Kurdwanowskiego:

— Ha! tak jest istotnie! takie rzeczy się dzieją w dzisiejszym świecie!... ale powiedz ty mi, mój kochany Ignacy, dlaczego ja byłem tak nieszczęśliwy, że musiałem tam także wścibić moje trzy grosze?

— Dlaczego? — powtórzył Kurdwanowski z uśmiechem — tego ja nie wiem napewno, ale prawdopodobnie dlatego, żeś jeszcze fryc sobie w tych rzeczach. Właściwie zaś mówiąc, jesteś zanadto wrażliwym, pierwszym wrażeniom dajesz się porywać odrazu i potem przy nich trwasz z takim uporem, że cię z twojego złudzenia nie już rozczarować nie zdoła, chyba aż tak naga rzeczywistość, jaką ujrzałeś w Karlsbadzie. Mnie także uderzyła ta wasza Petryna, kiedym ją pierwszy raz ujrzał w salonie, bo ona ma w sobie coś oryginalnego, ale pierwsza rozmowa z nią była dla mnie dostateczną, aby nie zaczynać drugiej. Przesaśda i komedia od fryzury aż do trzewików, a co drugie

słowo odzywa się albo śpiewaczka wojażującej trupy, albo mieszczańeczka z lubelskiego przedmieścia. Jak się tam można było kochać, ja tego nie pojmuję.

— Ja się też nigdy w niej nie kochałem — rzekł na to Jacek.

A wtem wszedł kasztelanie mściśławski.

— No, wiem już wszystko — rzekł on, wchodząc do sali — jutro po południu w płotyszczańskiej cerkiewce ma się odbyć ślub pana starosty Jaorlickiego z panną Petryną. Ale że się nie odbędzie, za to ja wam ręczę! I spodziewam się, że mi do tego aktu zechcecie posłużyć za świadków.

Obadwa świadkowie patrzyli na niego ze zdziwieniem, a Ignacy zapytał:

— Za świadków posłużymy ci chętnie, ale powiedzże nam, co zamýślasz uczynić?

— Czy to uczynię, czy owo, to wszystko jedno, ale się staroście z Petryną ożenić nie dam, ani Petrynie wyjść za starostę, to pewna. Ja do nich obojga mam moje prawa i nim się ze sobą pobiorą, każde z nich musi się sprawić przedemną!

— A! wiesz co — rzekł na to Kurdwanowski — ciekawy bardzo jestem, co ty możesz mieć do nich za prawa? Bo żeś się kochał kiedyś w pannie Petrynie...

— Ale co ty mi gadasz! — zawołał na to kasztelan — ja dla niej u białych raków służyłem i tego nigdy jej nie daruję. A ze starostą mam ja także zobowiązania, z których mi zdać musi rachunek.

— To wszystko dobrze! — rzekł Kurdwanowski — ale ja przecież jeszcze nie rozumiem, w jaki sposób ty możesz temu ślubowi przeszkodzić?

— W jaki sposób! — powtórzył z ironicznym uśmiechem kasztelan i porwawszy pistolet ze stołu, zawołał: — patrz! oto jest sposób na niego!

— Jakto? — zawołali razem obadwa Jacek z Ignacym — zastrzelić?

— Nie! — odpowiedział w irytacji Pawełek — o! nie! pistoletów zawsze jest para i ja też parę mieć będę

z sobą. Jeden dla niego, a drugi dla siebie. On, albo ja! Za inną cenę nie pójdzie do ślubu. I bardzo was proszę, ażebyście mi byli świadkami.

Obadwa młodzi patrzyli na niego z ciekawością, a na siebie z zadziwieniem, ale w pierwszej chwili milczeli. Kasztelanie zaś, kipiąc cały od wewnętrznego wzburzenia, tak mówił dalej:

— I czegoż się tak na mnie patrzycie? czy ja nie mam słuszości? czy ja nie mam prawa wpakować kulę pomiędzy żebra temu, który mnie używał za zasłonę swojego pokątnego romansu i jeszcze mnie teraz chce na dudka wystrychnąć? Niechaj Jacek się tem nie obraża i niechaj milczy na to, on może nie jest obrażony, bo on się może nie kochał, on nie miał żadnych stamtąd obietnic, on przez zawód doznany strat żadnych nie poniósł; ale jam się w niej kochał jak szalony, ja miałem słowo od niej i od starosty, jam doznał takiego zawodu przez to, który niczem i nigdy już być naprawionym nie może, jam moje życie całe przez to pokrzywił i całe szczęście moje zniszczył na zawsze!...

Przy tych ostatnich słowach łzy resztę głosu zadławiły mu w gardle, odrzucił od siebie pistolet i upadł w kąć sofy, zakrywając twarz obydwoma rękami.

— Pozwólże mi, Pawełku — rzekł na to Kurdwanowski po chwili, siadając koło niego sofie — niech ci powiem rozsądne słowo. To wszystko, co ty mówisz, jest prawdą i ty masz słuszość zupełną. Starosta postąpił z tobą haniebnie, a jeszcze haniebniej Petryna. Ale cóż się stąd pokazuje? oto pokazuje się to, że to są ludzie, którzy tak pod względem charakteru, jak wszystkich duszy przymiotów, stoją tak nisko, że już niżej nie można. A nad takimi ludźmi nikt pomsty nie bierze i wierz mi, mój drogi, że to nawet niewarto. Takimi ludźmi trzeba pogardzić i zapomnieć o nich na zawsze. To jest moja rada i ręczę ci za to, że pewnie najlepsza.

— Pogardzić? — powtórzył drżącym głosem kasztelanie — ja nimi dawno już pogardziłem, ale zapomnieć im tego nie mogę.

— Możesz zapomnieć — odpowiedział Ignacy — i musisz im to zapomnieć. Zemsta taka wcale nie przystoi dla ciebie. Żądać rachunku i mścić się w sposób taki, można tylko nad równym sobie, można tylko nad takim, który jest godzien stanąć z tobą na jednym terenie. A wierz mi, Pawełku, ci ludzie tego nie godni. Stawając z nimi do walki, tyłkobyś jeszcze raz siebie samego obraził, tyłkobyś wlał we wszystkich to przekonanie, żeś się kochał i jeszcze się kochasz w pannie Petrynie i podniósłbyś przez to tembardziej jej próżność i dumę. A ją właśnie potrzeba zostawić na tej niskości, na jakiej stoi, i gdyby ona cię nawet obchodziła w istocie, udać przed światem i przed nią samą, że cię zgoła nic nie obchodzi.

— To prawda, ty masz rację — mówił na to Pawełek — ale ja tego zrobić nie zdołam. Ja nie jestem w stanie udawać tam obojętność, gdzie mi serce się kraje i wszystka krew we mnie się burzy! A zresztą powiedz mi, jakim sposobem ja mogę darować występki, który na mnie popełniono umyślnie? czy godzi mi się poglądać na to obojętnie, jak ci ludzie, którzy sobie zrobili igraszkę z moich uczuć najświętszych i z mego całego życia, będą dzisiaj ze sobą szczęśliwi i w szczęściu jeszcze drwić sobie ze mnie bezkarnie, że im posłużył za drabinkę do tego szczęścia?

— Ale daj no pokój, Pawełku! bierzesz wszystko gorąco i nie tak jak się ta rzecz ma w istocie. Ot! patrzaj! Jacek jest także w takim samem położeniu jak ty, a przecież patrzy na to obojętnie i ręczę ci, że o zemście nie myśli.

— Ani mi się śni o tem — rzekł na to Jacek z dumą — ja sobie ten wypadek uważam tak, jak gdyby mnie lampart uliczny, ścigany przez swoich kolegów, porwał na ulicy i usiłując ukryć się za mną, obrukał mi poły mojego płaszcza. Cóż robię w takim razie? otrząsam się z ulicznika i idę dalej swoją drogą. Tak samo postąpiłem sobie i z tymi ludźmi. Otrząsałem ich z siebie i teraz niech sobie robią co chcą, ja ani patrzę w tę stronę.

— A widzisz! — zawołał na to Ignacy — otóż to

jest widzenie rzeczy takie, jakie mieć należy w tym razie. I tobie także tak trzeba postąpić. Ja nawet, gdybym był na twojem miejscu, tobym jutro do Płotyszcz pojechał, byłbym na ślubie i śmiałbym się z tego małżeństwa, ile tylko śmiechu stanęłoby mi w gardle.

— Wiesz co — rzekł na to starosta hołobucki — to wcale niezła jest propozycja. Ja, gdybym mógł tylko tę wizytę okryć jakimś słusznym pozorem, tobym z chęcią do Płotyszcz pojechał.

— A na co tutaj pozorów! — zawołał Ignacy — ja znam męża podkomorzynej od lat niepamiętnych; nie wiedząc o niczem, pojedziemy go jutro odwiedzić.

— Doskonale — rzekł Jacek — ja jadę z tobą.

— A ty, Pawelku? — rzekł na to Ignacy — ty także z nami. Obaczysz, jak się zabawimy wybornie. A jaką sobie wyprawimy ze starosty i z Petryнки komedję, to ręcę ci za to, że i pan Bielawski lepszej nie wymyśli.

— Ja pojedę — odpowiedział kasztelan — ale z pistoletami za pasem.

— Nie, mój Pawelku! jak ciebie kocham, tak tego nie zrobisz. Czy to rzecz godna rycerza z kresów straszyć kobiety i starce w pudrowanych perukach? czy pojedynek z takim panem Jaorlickim wart tego, aby się zapalić do niego? a wreszcie cóż ci na tem zależy, ażeby temu ślubowi przeszkodzić? czy ożenisz się z panną Petryną, gdy się starosta z nią nie ożeni?...

Kasztelan wstał z sofy i chodził po sali. Całą twarz miał zburzoną i lzy mu stawały w oczach co chwila.

— Już sam nie wiem, co zrobić ze sobą — rzekł narazie do swoich przyjaciół.

— Ale nie nie robić, nie zgoła — poderwał prędko Ignacy, przybiegając ku niemu i porywając go w swoje objęcia — śmiać się z tego wszystkiego i jechać z nami na wesele, ażeby pokazać całemu światu, że cię ta sprawa nie a nie nie obchodzi. Ręcę ci, że to będzie najlepiej. Zgoda więc na to?

— Proszę was — zawołał kasztelan — dajcie mi

pokój. Jedźcie wy sobie, kiedy chcecie, tylko mnie dajcie już pokój.

To rzekłszy, wybiegł prędko do drugiego pokoju.

Kasztelaniec jeszcze się kochał i ta miłość naprowadzała go jeszcze na różne dziwaczne myśli, nie dając mu znieść spokojnie wiadomości o zamierzonym ślubie Petryny. Jakoż mieli z nim obydwaj przyjaciele niemało kłopotu, nim go od zamiaru wyzywania starosty odwiedli. Ale go odwiedli nakoniec zupełnie i kasztelaniec rzekł się swej zemsty z całą szlachetnością i zaparciem się swojej nieszczęśliwej miłości na zawsze.

Widząc to Jacek i zastanowiwszy się nad skutkami, jakie intryganka siostrzenica starosty wywarła na jego przyjacielu, czuł jego boleść z całym poczciwego serca udziałem, lecz pomyślawszy przytem także o sobie, nie mógł się tem nie ucieszyć, że równa miłość dla Petryny także i u niego nie zakorzeniła się równie głęboko. Wyleczenie się prędkie z tego nieszczęśliwego uczucia miał on do podziękowania po części Węgierskiemu, a po części swojej wygórowanej cokolwiek ambicyi, ale jakiegokolwiek były tego powody, zawsze ich skutek był dobrym, co czując podnoszący się z swego zwątpienia młodzieniec, rozweselił się jeszcze lepiej i był dobrej myśli o resztę.

Tymczasem Kurdwanowski obstawał zawsze przy swoim, ażeby jechać nazajutrz do Płotyszcz; Jacek nie miał nie przeciw temu i owszem nawet pragnął widzieć fizygnomię Petryny i starosty, jaką zrobią na widok tak niespodziewanego gościa na swoim ślubie; a kiedy nie mogli kasztelanica na żaden sposób namówić, ażeby im towarzyszył, nazajutrz rano zabrali się sami i pojechali do Płotyszcz.

ROZDZIAŁ XIX.

Tymczasem kiedy się to działo w Czerteżowie, cośmy opowiedzieli w poprzedzającym rozdziele, w Płotyszczach

miały się rzeczy tak w samej istocie, jakie o nich kasztelanie pobierał wiadomości po części z listów odebranych jeszcze na kresach, po części zaś przez żydków wysyłanych na zwiady do Płotyszcz. Wszakże dla dokładnego wyrozumienia zaszłych i jeszcze zająć mających wypadków, potrzeba nam to opowiedzieć pokrótce.

Owóż tedy podkomorzyna kaliska, pomimo całej miśterności z jaką prowadziła swoje intrygi, nie mogła jednak przeszkodzić temu, ażeby się jej romans z młodzieńskim wojewodziecem witebskim nie wydał nakoniec przed światem. Nie można tego powiedzieć na pewno, ale domyślać się godzi, że się głównie do tego przyczynił Węgierski, z którym ona sobie postąpiła prawie tak samo, jak Petrynka z Jackiem i kasztelanem mściśławskim. Szambelan królewski miał rzeczywiście zanadto delikatnego uczucia i wychowania, ażeby nosić otwarte plotki o cudzym romansie po świecie, zanadto miał charakteru, ażeby na wzór intrygantów ówczesnych i teraźniejszych rozsiewać je potajemnie; pomimo zawziętości na podkomorzynę, nie miał on może nawet takiej zemsty na celu, ale złośliwy poeta był tak niepowściągliwym w swojej złośliwości, że póty zdradliwą kochankę smagał swoim nieubłaganym dowcipem, póki jego uszczypliwe przycinki nie zwróciły uwagi publicznej na podkomorzynę i póki jej tajemnica, przeszedłszy przez usta równie złośliwej publiki, nie doniosła się nakoniec aż do rodziców wojewodzica. A jak to się stało, oczywiście, że skandal zrobił się z tego, który był jeszcze o tyle jaskrawszym, ile że wojewodzie miał dopiero lat siedemnaście, podkomorzyna sławę niepokalaną i dom, w którym hawiła, był mianym za jeden z najpoważniejszych, a nawet po staroświecku rygorystyczny. Po takim skandalu, nie pozostawało nic podkomorzynie, jak na czas jakiś z Warszawy wyjechać, ale właśnie natenczas kiedy się to działo, przyjechał do Warszawy pan stolnik owrucki, który, jako dawny znajomy, na czas swego pobytu w stolicy stał się codziennym gościem wojewodziny mińskiej. Podkomorzyna, mająca w owej chwili najfatalniejszą perspektywę przed sobą, obaczywszy milionowego

starca, który znajomość z tak piękną kobietą zaczął po staremu od fałdzistych koperczaków z gładzeniem łysiny, z zarzucaniem wylotów i pokręcaniem wyczernionego wąsa, chwyciła się go i na chybił trafił zarzuciła wędkę na niego. Zapleśniały pomiędzy podolskimi stertami wdowiec, nie mając wyobrażenia o tem co się dzieje w Warszawie, nie marząc już nawet o tem, ażeby się mógł jeszcze komuś podobać, a widząc, że się nagle przed nim przyszłość tak piękna otwiera, dał się ułowić z największą łatwością i w kilka tygodni zamienił obrączki. Kiedy we dwa miesiące potem pan stolnik na ślub do Warszawy przyjechał i ten ślub rzeczywiście wziął w kościele św. Krzyża, to cała Warszawa śmiała się z niego, a pan Węgierski nawet tak dowcipne wiersze na młodą parę napisał, że ich dla zbytku dowcipu nie podobna powtórzyć; pan stolnik wszakże o tem wszystkim nie wiedział, a bawiąc z swoją młodą i piękną żoną jeszcze kilka tygodni w Warszawie, wydawał ogromne obiady i bale, ażeby się z tym poczywym światem choć w ten sposób swoim niespodziewanem szczęściem podzielić.

Tak z tego zdarzenia i podkomorzyna, i pan stolnik owrucki, i wojewodzina mińska, i rodzice młodego wojewodzica, i cała Warszawa, i zgoła wszyscy byli kontenci — co, przyznać trzeba, nawet przy najszcześniejszych zdarzeniach rzadko się zdarza na świecie.

Wszakże jak tutaj powszechna radość, tak w domu starosty Jaorlickiego smutek zapanował na chwilę. Około tego czasu bowiem staroscina, zapadłszy na zdrowiu ostatecznie, zgasła jak lampa, w której oleju zabrakło. Po jej śmierci starosta znalazł się w niemalym o Petrynę kłopotcie. Zdawało mu się bowiem, iż to nie wypada, żeby młoda kuzynka nadal w jego domu została, a nie miał jej gdzie umieścić naprędce. Udawał się o to do chorążego; chorąży, nie umiejący nie prawie odmawiać, nie miał nie przeciw temu, ale pani chorążynie, która miała już dorastające córeczki, właśnie to się nie podobało, że starosta pomimo tak podeszłego już wieku, boi się swoją kuzynkę zatrzymać u siebie, i wymówiła się grzecznie od tego.

Wszakże właśnie natenczas podkomorzyna zaczęła się wybierać z mężem na wieś. Miała ona nadzieję, że do przyszłej zimy swego staruszka do zamieszkania w Warszawie namówi, jednak na teraz nie mogła jeszcze ani wspominać o tem i nie miała przed sobą innego widoku, jak pobyt samotny przez całą wiosnę, lato i jesień w Płotyszczach. Kiedy więc starosta zgłosił się do niej z prośbą, ażeby na czas jakiś zabrała do siebie Petrynę, to jej to wypadło nadzwyczajnie na rękę — i tym sposobem siostrzenica starosty znalazła się przeciwko swemu spodziewaniu w Płotyszczach.

Po odjeździe stolnikostwa z Petryną, starosta także wyjechał z Warszawy i osiadł tymczasowo w swych dobrach. Majątek jego był o mil kilkanaście odległym od Płotyszc i było mu stamtąd trochę zdaleko do Petryny dojeżdżać; to też ażeby zbyt często nie powtarzać tak dalekich przejażdżek, przesiadywał za każdym przyjazdem po kilka tygodni w Płotyszczach. Starosta wtedy był nadzwyczajnie smutnym i zfrasowanym, skarżył się ciągle na swoje sieroctwo, wzdychał ciężko i mówił, że mu już świat zgoła nie miły i sam nie wie, co ma począć ze sobą. Nieustającym przedmiotem jego rozmowy była tylko starościna nieboszczka, którą, ażeby innych nie nudził, najwięcej czasu trawił z Petryną, rozmawiając z nią rzekomo o przymiotach serca i nieodżałowanej stracie swej żony i powiadając nawet wszystkim, że ta rozmowa jest jeszcze jedyną pociechą w tem życiu. O ożenieniu się z nią ani jedno słowo z ust jego nie wyszło, ale jego zachowanie się musiało takie słowo z ust innych wywołać; jakoż rzeczywiście tak stolnik, jak podkomorzyna wpadli na tę myśl i zaczęli sprawę Petryny pomału forytować u niego. Starosta przyjął tę propozycję dość obojętnie, wymawiał się wiekiem, żałobą, nakoniec smutnem usposobieniem serca po stracie żony, jakiej drugiej już pewnie nie znajdzie; ale jak mu stolnik zaczął perswadować, że nie nie masz więcej nieznośnego, jak stan bezżenny, że młoda żona to daleko więcej niż drugie życie, tak się starosta dał nakoniec uprosić i ośwadczył się swej siostrzenicy, mówiąc, że

jeżeli nie swoją osobą, to przynajmniej majątkiem chce ją uszczęśliwić. Petryna oświadczenie się starosty przyjęła jako szczególniejszą łaskę wujaszka i wynosząc pod niebiosy jego szlachetność i dobroć, oczywiście natychmiast z nim zamieniła pierścionki. Wszakże ze ślubem trzeba się było jeszcze powstrzymać, albowiem nie wiadano z pewnością, czyli z powodu powinowactwa nie zajdą kanoniczne przeszkody, i zresztą starosta chciał ten ślub odbyć w sekrecie, do czego mu potrzeba było indultu. To jednak wszystko dało się załatwić bez żadnych trudności, albowiem starosta zaraz po zaręczynach stracił odrazu całe swoje usposobienie żałobne i stał się energicznym, wesołym, pełnym ufności w siebie i młodzieńczego zapału. Zaraz też, nie czekając, sam do Warszawy pojechał, kanoniczne przeszkody usunął, indult wyrobił i tak się wyekwipował, że całą karawanę karet, powozów i różnych sprzętów nowych przywiózł ze sobą z Warszawy.

Powróciwszy do siebie, nie osiadał już w swoich dobrach, tylko z wszystkimi ekwipażami w małej wiosce chorażego, do Płotyszcz przypierającej, zamieszkał i stamtąd już resztę swej konkurencyi aż do dnia ślubu odbywał. Konkurencyje te były to rzeczywiście najweselsze może dnie w życiu starosty; w tym czasie bowiem zmienił się on do niepoznania, odmłodził, jak gdyby mu lat dwadzieścia ubyło, stał się wesołym, kochającym, serdecznym, a ubierając się wedle ostatniej mody paryskiej, tak ochoczo nadskakiwał swej siostrzenicy, jak gdyby to była pierwsza miłość jego, platonicznemi wyegzaltowana myślami.

Przyszedł nareszcie dzień ślubu, który miał się odbyć o trzeciej godzinie po południu w Płotyszczach. U starosty dnia tego już od samego rana panował ruch wielki. W masztalerniach i stajniach odświeżano szory herbowe z czubami ze strusich piór i wstęgami, czyszczono konie i zaplatano im grzywy w kutasy i fręzle, wytaczano pozłociste powozy; liczna służba, poubierana to w barwę herbową, to z węgierska w kołpaki z kitami i pozłociste dolmany, kręciła się wciąż po dziedzińcu. Od rana także i sam starosta siedział już przy tualecie. Kamerdyner Fran-

cuz, świeżo w Warszawie przyjeży, męczył go wielitości-
wie przy ubieraniu, smarował mu twarz jakiemiś masty-
ksami, posypował ją bielidłem i różem, wyskubywał włosy
szczypczykami, brwi układał, farbował, muskał i Bóg nie
wie czego z nim nie wymyślał. Starosta cierpiał męki pie-
kielne i po kilka razy aż mu się nie dobrze zrobiło na tej
torturze, ale to nie nie pomogło; kamerdyner bowiem po-
wiedział mu, że go musi tak wystroić jak lalkę, postawił
przed nim wodę z cukrem i rum dla ochłody, i pōty go
z swoich rąk nie wypuścił, póki swojego dzieła komple-
tnie nie skończył.

Kiedy już starosta był całkiem ubrany, zerwał się
prędko z krzesła, odetchnął z głębi piersi z pod ciasnych
sznurówek, obejrzał się w zwierciadle i rzekł:

— Obejrzyjże mnie jeszcze, czy wszystko jest dobrze?

— Jaśnie pan jesteś ubrany jak król sam, a wyglą-
dasz najwięcej na lat trzydzieści i kilka — odpowiedział
frant kamerdyner.

Starosta się na to uśmiechnął z zadowoleniem i dodał:

— A w samej rzeczy! nieżleś mnie wykrygował, tylko
że jakoś twarz mam zanadto czerwoną...

— To właśnie dobrze, tak być powinno przed ślubem.

— Doskonały jesteś! — zawołał starosta wesoło i po-
łożył mu za to pięć dukatów na stole.

W tej chwili kareta, zaprzężona czterema końmi siwo-
jabłkowitymi, już stała przed gankiem, foryś na takimże
samym koniu stał przed nią, a za nią drugi powóz z czte-
rema kasztanami, przeznaczony dla panny młodej. Za po-
wozem stało jeszcze bryk kilka dla sług i pod rzeczy
i zgola cały orszak był bardzo wspaniały.

Starosta wybiegł przed ganek, obejrzał jeszcze i to
i owo i znalazłszy wszystko w należytych porządku, wsiadł
do karety i kazał ruszać czempredzej.

Ale ledwie co z miejsca ruszono, koń pod forysiem
wspiał się dębem do góry, zagryzł z wściekłością wędzi-
dło i runął jak długi na ziemię. Cały orszak się przez to
zatrzymał.

— A co tam? — zawołał starosta, wysadzając ostrożnie wypudrowaną perukę przez okno.

— To nic, jaśnie panie — rzekł na to kamerdyner przyskakując do okna — tylko koń pod forysiem wspiął się i padł.

— Jakto i zdechł?

— Zdechł, jaśnie panie.

— Tam do kata! — zawołał starosta — to jakieś złe *omen* mospanie!

— A cóż to za *omen*, jaśnie panie — odpowiedział kamerdyner — koń padł i na tem koniec. Chyba że konia szkoda...

— Ale już tam mniejsza o konia — rzekł niecierpliwie pan młody — każ tylko prędko podać mu innego; bo późno będzie.

Starosta tymczasem wysiadł jeszcze z karety, kazał sobie dać szklankę wody, wachlował się chustką; a jak tylko forysiovi innego podano konia, ruszyła cała kalwakada do Płotyszcz.

*

*

*

Tymczasem w Płotyszczach weselnicy byli już zgromadzeni i czekali tylko przybycia starosty. Dzień był piękny, pogodny i ciepły; pomimo późnej jesieni, parno nawet było w powietrzu, pajęczyny się snuły po krzakach i nowe kwiatki jeszcze wykwiwały z pod ziemi. Całe też towarzystwo było zgromadzone na ganku, lub rozpie-rzchnione pomiędzy klombami przedgankowego ogrodu.

Na środku gazonu był mały namiot rozbity. Pod nim na otomanie, bogatym perskim kobiercem przykrytej, siedziała podkomorzyna i trzymając arfę przed sobą, grała na niej jakąś aryę nieznaną; za nią stał jakiś elegancko ubrany młodzieniec i wtórował jej na flotrowersie. Przed gankiem, o słup namiotu oparta, w biały strój ślubny ubrana, stała Petryna i ręce założywszy przed sobą, zdawała się tonać albo w dźwiękach muzyki, albo w własnych swych myślach. W główkach młodych panien przed

ślubem zawsze tyle obudza się myśli, a te myśli są zawsze tak smutne! — wszakże myśli Petryny nie niosły żadnego smutku ze sobą, bo jej twarz była wypogodzoną, a jej oczki tak uśmiechnione radośnie, jak gdyby była już w niebie. Była to wszakże rzecz naturalna: w tej chwili bowiem stała ona na celu Bóg wie jak długo oczekiwanych życzeń. Za godzinę będzie już starościną, panią znakomitego majątku, pałacu na wsi i pałacu w Warszawie, powozów, koni, strojów, złota i drogich kamieni, ile tylko zapragnie. Na przyszłą zimę otworzy swoje własne salony w stolicy, ubrana w same koronki, brylanty i złoto, będzie gości przyjmować u siebie, co tylko najznakomitszego się znajdzie w Warszawie, wszystko to u niej się będzie zgromadzać, sam król nawet jej salony swoją bytnością zaszczyci: o! ileż to blasku, ile świetności i chwały przywiąże się wtedy do jej imienia! — A wszystko to będzie winna li sobie samej, swojej własnej zręczności i rozumowi, bo wszakże się urodziła ubogą sierotą na lubelskiem przedmieściu, była nieznana i bez żadnych widoków, mogła się na wieki w Lublinie zagrzebać jako żona tamtejszego palestranta, mogła nawet dość piękną zrobić partię, biorąc Jacka za męża, ale ona przetrwała mężnie te wszystkie pokusy, pomimo różnych grzechów zachowała niepokalaną sławę, pomiędzy tylu intryg przepłynęła w całości i teraz staje z tryumfem u swego celu, zostając panią milionów i żoną starego, zaślepionego, dawno już przez nią opanowanego wujaszka!

Tak sobie myślała Petryna, kiedy wtem lekki paryski powozik, zaprzężony czterema tarantowymi prześlicznej krwi końmi, z elegancką liberyą na koźle, ze srebrnym strzelcem z tyłu, zajechał przed ganek. Z niego wysiadło dwóch pięknych wykwintnie ubranych młodzieńców, i którzy stanąwszy na ziemi, oglądali się w tę stronę i ową, gdzieby mogli gospodarza obaczyć. Byli to Jacek i Kurdwanowski.

Jak tylko ich gospodarz obaczył, zaraz ku nim przystąpił, a poznawszy swojego młodego sąsiada, objął go w swoje ramiona, wołając z radością:

— Ach! mój Ignas kochany, którego u babki nieboszczki tyle razy nosilem na rękach!... Ale cóż ty tu robisz? wszakże byłeś na kresach i słyszysz cudów męstwa tam dokazywałeś?

— Odbyszy praktykę — odpowiedział na to Ignacy — powróciłem do siebie, ażeby się trochę po gospodarstwie obejrzeć, a prawdę mówiąc, przyciągnęła mnie tutaj głównie sprawa mojego przyjaciela, hołobuckiego starosty, którego oto mam zaszczyt prezentować panu stolnikowi.

— Toż to jest hołobucki starosta! — zawołał na to staruszek — dajże mi waszmość rękę kochany sąsiedzie. Nie znałem cię osobiście, ale znałem z rozgłosu i wierz mi waszmość, że miałem zawsze szczerą sympatię dla niego, choćby tylko dla tego fatalnego starostwa, które nas tu wszystkich burzyło. No, ale chwała Bogu, skończyło się to przecie szczęśliwie i bardzo to się chwali waszmości, żeś tak sobie postąpił. Nie prosiłeś nikogo o nie i przecież nakoniec postawiłeś na swoim. Nie mało też dobrego słyszałem o waszmości od pani wojewodziny mińskiej, bo i moja żona zna cię podobno z Warszawy. Bardzo się tedy cieszę, żeście nie zapomnieli o mnie i nawet doskonaleście do nas trafili, bo właśnie tu mamy wesele.

— Wesele? — rzekł Kurdwanowski z udaniem zdziwieniem — a któż to się żeni?

— Żeni się mój przyjaciel, pan starosta Jaorlicki, a jego przyszła bawi właśnie w naszym domu. Zaraz ją także poznać, ale chodźcie pierwiej do mojej żony.

To mówiąc, uradowany staruszek wprowadził obudwóch przyjaciół pod namiot.

Na widok Jacka, podkomorzyna się nie zmieniła ani na jotę, tylko wzięwszy kilka mocniejszych akordów na arfie, muzykę swoją skończyła i rzekła, powstając na chwilę z otomany:

— Pan Jahołkowski! gość zawsze miły, a tem jeszcze miłszy, że wcale niespodziewany na tych tu kresach tureckich.

Jacek odpowiedział natychmiast stosowną grzecznością i przymrużonemi oczyma spojrzał z niechcenia na stojącą

od niego o parę kroków Petrynę; ale Petryna była w tej chwili blada jak ściana, zdawało się nawet, że na jedno oka mgnienie straciła zupełnie przytomność. Zauważył to Jacek śród rozmowy z podkomorzyną, ale nie mając zamiaru prześladowania Petryny nawet swym wzrokiem, usiadł na otomanie, prowadząc dalej zaczęłą rozmowę. Ale podkomorzyna, która wpadła w tej chwili w humor wyborny, rzekła niebawem do niego:

— Czy panowie wiecie o tem, żeście tu na wesele trafili?

— Właśnie dowiadujemy się od pana stolnika.

— Więc pan już wiesz kto jest panna młoda? — rzekła podkomorzyna, a wskazując wzrokiem na pannę Petryną, dodała:

— Czy pan nie poznaje?

— Doprawdy, że załedwiebym poznał — odpowiedział na to hołobucki starosta, nie ruszając się z otomany — ja pannę Petrynę znałem tak mało i nie widziałem już jej tak dawno... tyle zresztą od tego czasu przeszło się różnych kolei...

Na te słowa Petryna zacięła usta, ale odpowiedziała natychmiast:

— A jabym pana zawsze poznała. Od tego czasu, jakem pana po raz ostatni widziała w Karlsbadzie, niceś się pan nieodmienił, nawet w tym samym humorze jeszcze jesteś pan dzisiaj, w jakim byłeś dnia ostatniego w Karlsbadzie.

Uśmiechnął się na to Jacek i rzekł obojętnie:

— Pani masz pamięć nadzwyczajnie szczęśliwą, ale co do tożsamości mego ówczesnego z dzisiejszym humorem, to racz się pani temu nie dziwić, bo u mnie humor już od lat wielu zawsze jest jednakowy.

— Jeśli tak jest, to pan masz najszcześniejsze jakie być może usposobienie — odpowiedziała Petryna — ja się tem wcale pochwalić nie mogę. Mnie lada rzecz drobna zawsze głęboko dojmie; nie mogę nie uczuć, choć nie chcę.

— Tak jest w samej istocie — rzekł Jacek — o ile

sobie przypominam, to i ja zawsze to sobie uważałem po pani. Najlepszy dowód tego miałem na ostatnim obiedzie w Karlsbadzie. Ileż to uczuć nie malowało się wtenczas na twarzy pani, w którą z takim uwielbieniem spoglądał pan... pan... ten kupiec z Pragi, jakże to on się nazywał?...

— Ten kupiec z Pragi — odpowiedziała ucinkowo Petryna, która widać koniecznie chciała placu dotrzymać Jackowi — nazywał się Marek. Niestety! samych Marków tylko miałam, którzy na mnie z uwielbieniem patrzyli.

— A! pani zbyt skromnie utrzymujesz o sobie — zabrał znowu głos Jacek zawsze z równą obojętnością — albo nie wiesz o wszystkich swych wielbicielach. Bo ja właśnie na kresach poznałem jednego z tych wielbicieli, który wcale nie należał do Marków...

— Nic a nic tego nie rozumiem, co państwo ze sobą mówicie — rzekła w tem miejscu podkomorzyna i przemówiwszy słów kilka do Kurdwanowskiego, razem z nim wyszła przed namiot.

Pod namiotem został Jacek z Petryną sam na sam. Dziwna to była scena, która się teraz zaczęła odegrywać pomiędzy nimi. Jacek wprawdzie nie miał nic do powiedzenia Petrynie, jego sprawa z nią była już dawno skończona i zapomniana; względem niej nie miał on nic na sumieniu, a nie pragnąc żadnej dalszej zemsty za zdradę doznaną, patrzył na nią z owym obojętnym uśmiechem, który będąc dalekim od złośliwego szyderstwa, nie był przecież wolnym od wyrazu ironii. Ale stosunek siostrzenicy starosty do niego był wcale innym. Miała ona bowiem względem niego ciężki grzech na sumieniu, z którego koniecznie się chciała usprawiedliwić, a zresztą, wchodząc dziś w nową rolę i mając zamiary błyszczenia wszystkim, czem tylko można na świecie, chciała za wczasu wszelkie mogące jej ku temu przeszkadzać trudności usunąć i wszystkie dawne nieporozumienia zagładzić. W tym celu została umyślnie pod namiotem z hołobuckim starostą i odpowiadając na jego ostatnią uwagę, rzekła:

— Ja się domyślam, kogo pan tam znalazłeś na kresach, nie sądzę jednak ażebyś pan chciał wierzyć temu

wszystkiemu, co mogą mówić młodzi ludzie, patrzący na świat przez szkiełko swych złudzeń młodzieńczych.

— Oczywiście żem temu nie wierzył — rzekł na to Jacek z ironią — kasztelanie mściśławski żyje tylko w samych złudzeniach. Powiadał mi między innemi naprzykład że z woli pani służył przez cztery miesiące u białych raków, podczas kiedy nie tylko nigdy nie był w tym regimencie, ale nawet pani takiego dowodu miłości nigdy od niego nie wymagałaś. On może z panią i trzech słów nie wymienił, a może nie zna pani zupełnie?...

— Pan jesteś nieubłagany — rzekła na to z wymuszonym uśmiechem Petryna — ale panowie wszyscy tacy jesteście. Wydać sąd o kobiecie jest u was zawsze dziełem jednego momentu i ani wam się śni o tem, jaką nieraz przez to krzywdę zrządzacie istocie takiej, która już dlatego samego, że się sama bronić nie może, powinna zasługiwać na względy i pobłażanie.

Słyszając Petrynę zaczynającą mówić z takiego tonu, domyślił się Jacek w ten moment do czego zmierza, a chcąc mieć przynajmniej tyle z niej satysfakcyi, ażeby jej się nie dać usprawiedliwić nawet i pozorami, odpowiedział na to, patrząc jej w oczy:

— Pobłażanie i względy? takie słowa wychodzą z ust pani? zaledwie mogę wierzyć mym własnym uszom.

— A toż dlaczego? czyż ja nie mam praw takich jak każda kobieta?

— Ja tego nie wiem, czy pani masz te prawa, czy nie masz, ale to wiem z pewnością, że kto sam w szranki wyjeżdża, sam nieprzyjaciela wyzywa i na własną rękę walne bitwy z nim stacza, ten prawa do względów i pobłażania rzeka się samowolnie.

— Jeżeli jest zwyciężony — odrzekła złośliwie Petryna.

— Czy pani wyszłaś z walk swoich zwycięsko? — zapytał Jacek, patrząc jej w oczy z ironią.

— Czy ja wyszłam zwycięsko!! cha! cha! cha! — zawołała Petryna z głośnym śmiechem szydzącym — doskonałe pytanie w dzień mojego zwycięstwa!

To rzekłszy, rzuciła wzrokiem, w którym się mieszało

politowanie z szyderstwem, na Jacka i obróciwszy się w miejscu, poszła powolnym krokiem na ganek.

Jacek został pod namiotem w milczeniu, sam nie wiedząc co myśleć.

Tymczasem chłopiec umyślnie na to na dach wysadzony, dał znać głośnym wykrzykiem, że pan młody już jedzie. Wszyscy goście zgromadzili się w ganku. Wyszedł też i Jacek z pod namiotu i stanawszy z Kurdwanowskim pod kolumnami, czekał wraz z innymi przybycia starosty.

Wkrótce też rzeczywiście kawalkada pana młodego pokazała się w bramie dziedzińca, a w parę sekund kareta starosty stanęła przed gankiem. Kamerdyner zeskoczył z kozła i chwycił ręką za klamkę od drzwiczek, ażeby je czemp prędzej otworzyć. Ale Petryna w ten moment sama przybiegła i odsunawszy kamerdynera, otworzyła drzwiczki, wołając głosem pełnym przymilającego się wdzięku:

— Od godziny już wszyscy czekamy na kochanego wujaszka.

Ale starosta siedział w kacie karety i ani się ruszył.

Petryna popatrzyła mu w twarz i skamieniała na miejscu.

Inne osoby przybiegły do drzwiczek, zaglądając do wnętrza karety; Petryna załamała ręce, wołając:

— Przez Pana Boga! co to jest takiego?

A wtem kamerdyner roztrącił wszystkich i porwał starostę za ręce. Ruszył nim, chwycił go w swoje ramiona i wyniósł z karety, trzęsąc nim i wołając. Ale wszystko to było na próżno.

Starosta bowiem już nie żył. Apopleksya go uderzyła na drodze.

Widząc to, panna młoda, z rozdzierającym serce wykrzykiem padła zemdlona na ziemię przy trupie swojego oblubieńca.

Nieboszczyka starostę i zemdloną Petrynę obskoczyli mężczyźni i wnieśli ich zaraz do pałacu.

W chwilę potem już nikogo nie było na ganku.

Jacek tylko stał z załamanami przed sobą rękami, o kolumnę gankową oparty i patrzył osłupionemi oczyma

przed siebie. Opodal od niego stał Kurdwanowski, który także był zamyślony przez chwilę. Wszakże niebawem już zbudził się ten ostatni i wzięwszy Jacka za rękę, rzekł do niego:

— Cóż? chyba jedźmy do domu. To jakieś Holbeinowskie wesele.

— Straszne są nieraz sądy ludzkie — rzekł na to Jacek — ale daleko straszniejszy sąd Boży.

ROZDZIAŁ XX.

W kilka tygodni potem Jacek już był w Zarwiwodach i przez takichże drugich kilka tygodni był tylko sam z sobą. Doświadczenia jego, przez rok cały przepędzony w Warszawie i drugi rok przepędzony na kresach, nabyte, były nietylko dostateczną ochroną od nudów, ale i bardzo pożywnym pokarmem duchowym dla niego. Doświadczenia takie są daleko lepszą nauką, niż wszelkie książkowe maksymy i morały, bo podczas kiedy te wchodziły prosto do głowy i pozostają jak nie niosące procentów skarby, najczęściej bez pożytku zamknięte w skrzynce pamięci, tamte zasiewają się w sercu i jak rodzajne nasiona przynoszą plony obfite. Trzeba tylko umieć zebrać te plony i pod przewodnictwem rozumu obrócić je w rzeczywisty pożytek.

Jacek mógł sobie to obiecywać bez wszelkiego zarozumienia, bo wiedział o tem i wziął się rozumnie do tej roboty. Przechodził on teraz myślą wszystkie te doświadczenia i odrzuciwszy na bok wszelką pretensję do ludzi za ich złości i zdrady, starał się natomiast stąd tylko dla siebie pozyskać na przyszłość naukę.

Tak przebacząc wszystkim, a sądząc siebie jaknajśroziej, dojrzał teraz niejedną rzecz taką, której niedawno jeszcze nie widział; niektóre strony świata i życia przed-

stawiały mu się w nowem zupełnie świetle i wogóle zresztą nie mało zasad, które dotychczas miał za niewzruszone i pewne, okazały mu się prawdziwemi tylko w teoryi, ale całkiem innemi w zastosowaniu.

Przy tych rozmyślaniach oczywiście nie jedna piękna łuska opadła mu z oczu, nie jedno dawne złudzenie rozchwiało się, jak fata morgana w powietrzu, nie jedno poetyczne uczucie zwiędło, jak kwiatek puchowy na mrozie; ale to rzeczy próżne! Każda pora życia ma swoje przywileje i prawa; wiecznie kwitnąć nie można, a kiedy roślina ma przynosić owoce, wędnie jej kwiatu korona i opadają listki wiosenne.

Jacek się umiał zastosować do tego niezłomnego prawa natury i ani roznosił się w żalach za utraconym swym rajem, ani pragnął koniecznie do swoich dawnych złudzeń powracać. Natomiast raczej, poznawszy świat jakim jest rzeczywiście, postanowił odtąd zastosowywać się ściślej do niego, ażeby przedsiębiorąc to tylko, co będzie możliwem, nie tracić czasu napróżno na nowe zawody i tym sposobem rolę swoją, choć małą, odegrać jednak z prawdziwym dla społeczeństwa i siebie pożytkiem.

Wszakże mając zamiar zacząć odtąd nowy zawód życia, należało mu zbadać się najpierwej, ażali nie ciąży na nim dług jaki z przeszłości. O dług taki nawet nie potrzeba mu było i badać się wcale, bo myśl o domu stolnika i porzuconej bez żadnego powodu Helence, jak tylko się w nim raz odezwała na kresach, tak od tego czasu nie opuszczała go ani na chwilę. Było to nawet coś więcej niżeli myśl, bo było to żywe, głębokie, niezwalczone uczucie, które, mieszkając w nim samym, z początku część tylko, później połowę a teraz już całą jego opanowało istotę. To uczucie znał już Jacek tak dobrze, jak siebie samego i wiedział o tem, że póki nie uczyni mu zadość, póty ani mu myśleć o zajęciu jakiegokolwiek stanowiska w swej ziemi, ani o wypełnianiu najbliższych swych obowiązków, ani nawet o wewnętrznym spokoju.

Ale jak przystąpić dzisiaj do obrażonego a tak dumnego stolnika? jak przebłagać tak obojętnie opuszczoną

Helenkę? jak odbudować napowrót przyjazne stosunki z tą rodziną, u której niegdyś tyle znajdował szczęścia i u której dziś jeszcze chciał znaleźć szczęście na całą przyszłość? Były to pytania, którym zadość uczynić zaprawdę było daleko trudniej, niżeli wyjść zwyczajsko z romansu z Petryną, albo odzyskać hołobuckie starostwo.

Jacek widział te trudności i zastanawiał się nad niemi z największą rozwagą, wszakże cokolwiekby miał ku osiągnięciu tego celu przedsięwziąć, postanowił sobie na-przód szczególniejszą we wszystkim zachować ostrożność, wyczerpać wszystkie możliwe środki i wytrwać mężnie do końca.

Takie postanowienie nawet było dla niego koniecznem, bo lubo już w kilka tygodni potem z pozasięganych wieści mógł wnosić napewno, że Helenka zawsze jeszcze o nim pamięta i nawet sama stolnikowa bez żółci o nim wspomina — toż jednak dowiedział się równie napewno, że stolnik jest nieubłaganie zażarty na niego i to do tego stopnia, że od półtora roku nie daje sobie wspomnieć ani jego nazwiska.

Nie pozostało tedy Jackowi nic innego, jak o cudzej pomocy pomyśleć, a przede wszystkim jakiegoś pośrednika wynaleźć, któryby zawziętego stolnika cłoć cokolwiek potrafił zmiękczyć i ubłagać. Na takiego pośrednika nie zdawał mu się nikt inny właściwszym, jak ksiądz prowincyał z Opatowa, mąż rozsądny i doświadczony, a do tego jeszcze krewny tak blizki stolnika. Jego Jacek już miał dawno na myśli i przewidując zawczasu, że na każdy wypadek bez niego się nie obejdzie, jak tylko na wieś do siebie przyjechał, co tydzień fury z leguminami i omastą do opatowskiego klasztoru wysyłał, ofiarując je rzekomo na podziękowanie Panu Bogu za szczęśliwy powrót z kresów, a w rzeczy podobno na skaptowanie sobie księdza prowincyała. Do niego tedy miał on już drogę niby utorowaną i jak tylko się przekonał, że się tu na długie korowody zanoszą, sam do Opatowa pojechał.

Przełożony konwentu przyjął go z właściwą sobie uprzejmością, a nawet z oznaką wdzięczności jako dobro-

dzieja klasztoru, a jak zawsze był łatwym w pożyciu, dla każdego przystępnym i na zwyczajne wypadki życia zapatrywał się bez właściwych owemu wiekowi przesądów i maleńkości, tak i Jacka przypuścił natychmiast do poufalej rozmowy i wysłuchał cierpliwie jego prośb i intencji względem domu stolnika. Odpowiedź jego wszakże nie była wcale pocieszającą.

— Ja z mojej strony — mówił on bowiem po wysłuchaniu wszystkiego — ja z mojej strony nie biorę panu staroście tak bardzo za złe, żeś się naówczas tak nagle od domu stolnika odwrócił; jestem bowiem przekonany najmocniej, że nie uczyniłeś tego ani ze złego serca, ani wskutek żadnego gniewu, ani może nawet przez lekkomyślność. Wyjechałeś do Warszawy, bo cię tam powołano, zawieruszyłeś się tam, jak tysiące innej młodzieży, uznałeś potem za słuszne pójść na czas jakiś na kresy i odtąd już rzeczy poszły swoim porządkiem. Ja nawet więcej powiem waćpanu, bo ja i tego nie myślę, ażeby te dwa lata przejażdżek po świecie, jakiegokolwiek tam być mogły tego powody, przyniosły szkodę waćpanu lub komukolwiek; rzecz się ma bowiem wcale przeciwnie, waćpan skorzystałeś przez to niezmiernie wiele, waćpan z wiotkiego młodzieńca stałeś się mężem, a jak z porobionych przez siebie doświadczeń sam nie małe będziesz przez całe życie odnosić korzyści, tak odnosić je będą także i ci wszyscy, którzy z nim będą mieli jakiegokolwiek styczności. Takie jest moje zdanie. Ale trzeba wiedzieć waćpanu, że nie wszyscy zgodni jesteśmy w zdaniach, a osobliwie pan stolnik całkiem inaczej te rzeczy osądził. Przewidywałem ja to, iż waćpan prędzej czy później do nas powrócisz, przewidywałem też także i to, jak sobie za powrotem swoim postąpisz i chcąc naprzód drogę uścielić tej sprawie, która mi się zdawała być jakby przeznaczeniem samego Boga, niejednokrotnie o nim rozmawiałem ze stolnikiem. I z początku było to jeszcze jako tako, ale jak tu u nas różne wieści zaczęły dochodzić o panu, brat mój się strasznie rozsierdził, a w jednej chwili potem, jak się zaparł waćpana, tak do dziś dnia trwa w swoim uporze.

Nie wiem i nie mogłem się tego żadnym sposobem dowiedzieć, co się stało ostatnim powodem tej zawziętości, bo odtąd brat mój ani nawet chce mówić o panu; ale tak się domyślałam, że tym powodem musiała być jakaś plotka, która zapewne nie była prawdziwą, ale której on w swojej porywczowości od razu uwierzył i na której oparł postanowienie nie przypuszczania pana do siebie. Postanowienie to nawet jest w nim tak silne, że kiedy tej jesieni pisał testament, którego ja byłem świadkiem, to w testamencie położył i ten punkt także: że swojej córce pozwala wyjść za każdego, którego za przyzwoleniem matki i opiekuna wybierze, wyjąwszy jmc pana Jacka Jahołkowskiego, za którego wyjść jej pod utratą błogosławieństwa zakazuje.

— Jakto! — zawołał Jacek — i moje nazwisko jest tam wypisane?

— Wypisane jaknajwyraźniej — powtórzył spokojnie prowincyał — i to jest dowodem najlepszym jak sprawa pańska tam stoi.

— Ach! księżę prowincyale! — rzekł na to Jacek ze smutkiem — toż to jest jeszcze daleko gorzej, niżeli się spodziewałem.

— O! bardzo źle jest! — odpowiedział prowincyał — i to nawet tak źle, że ja sam, który nie lubię nigdy porzucać nadziei, tutaj wcale nie widzę, na czemby można bez złudzenia tę nadzieję budować. Mamy do czynienia z człowiekiem, który dotychczas jeszcze nigdy słowa danego nie złamał, który jest obrażony a dumny nad wszelkie pojęcie, a oprócz tego jest jeszcze uparty i tak zarozumiały, że wobec niego niemasz żadnego rozumu i żadnej powagi. Jeżeli tu czas sam w spółce z pokorą nie nie pomogą, to podobno nie będzie żadnego ratunku. Ale nie wiem, czy waćpan zechcesz się chwycić tych środków, bo cierpliwość to rzecz bardzo niesmaczna, a upokorzenie się...

— Ale ja z góry piszę się na wszystkie środki — zawołał Jacek porywczo — które tylko waćpan dobrodziej za stosowne osądzisz. Na cierpliwości mi pewnie nie braknie, bo już się jej nauczyłem i zresztą teraz nie bę-

dzie mnie ona nie zgoła kosztować; a co do upokorzenia się, ha! to cóż robić! ja rzeczywiście obraziłem tego zanego starca i winien mu jestem zadośćuczynienie. Z młodym się biję w takim wypadku, przed starym trzeba się upokorzyć...

— Ha! to kiedy waćpan nie odrzucasz tych środków — rzekł na to prowincyał z zadowoleniem — to będziemy tentować. Ja z mojej strony, proszę mi wierzyć, nie zaniedbam niczego, ażeby waćpanu dopomódz. Mam to przekonanie, że waćpan potrafisz zapewnić szczęście pocziwej Helence i jestem zdania, iż sam na tem zyskasz nie mało, kiedy dostaniesz taką żonę, jak ona. Jest to niby dziecko jeszcze, a w Warszawie nazwanoby ją może parafianką z prowincyi, ale jej serce to złota kopalnia, a rozsądku tam tyle, że gdyby jej dzisiaj włożono koronę na głowę, to ręczę za to, że naródby się nie powstydził królowej. A waćpanu właśnie takiej żony potrzeba, bo trafiwszy na takie poczwarki *generis feminini*, zapewne o całym rodzaju kobiet masz takie wyobrażenia, które nie odpowiadają prawdzie, nawet przy dzisiejszem zepsuciu. A to nie jest rzecz mała. Kobiety bowiem jeżeli nie więcej, to przynajmniej połowę tego świata stanowią, a że to jest połowa piękniejsza, szlachetniejsza i lepsza, to nie ulega wątpieniu. To też i połowa naszych dobrych i szlachetnych uczynków są owocami ich natchnień i wpływów... Ale cóż ja mnich, mam waćpanu powiadać o tem? — dodał prowincyał z uśmiechem — wiesz to sam lepiej odemnie, a jeżeli nie wiesz, życzę ażebyś się o tem jaknajprędzej sam na sobie przekonał.

W dalszym ciągu rozmowy starał się Jacek od prowincyała dowiedzieć, jak też w samej istocie Helenka jest usposobioną dla niego — prowincyał wszystkie podobne pytania okrażał albo ogólnikami pozbywał; ale tak z jego uśmiechu przy tem, jak z tego, że się z taką ochotą podjął narzuconego mu pośrednictwa, Jacek nie mógł się nie domysleć, że Helenka trwa statecznie przy swoich dawnych uczuciach i że nawet u samej stolnikowej nie musi być tak źle zapisanym. Wszakże cóż to wszystko zna-

czyło, kiedy w kąkolnickim dworze niepodzielne rządy prowadził pan stolnik, a ten był tak strasznie zawziętym, że nawet sam ksiądz prowincyał nie wiele sobie obiecywał nadziei? Tedy Jacek miał długą jeszcze z księdzem naradę, przy której nakoniec stanęło na tem, że ksiądz prowincyał miał w przyszłą środę do Kąkolnik pojechać i sprawę Jacka u pana stolnika zagaić.

Poczem Jacek powrócił do siebie, ażeby w cierpliwości tej środy fatalnej i rezultatu misyi prowincyała doczekać. Ale jak tylko w samotności dokładnie sobie tę całą sprawę rozebrał i wszystkie okoliczności bez uprzedzenia rozważył, to mu się dziwnie ekliwo zrobiło na sercu i wielki go objął niepokój. Znając bowiem stolnika, niepodobna mu było nie przewidywać, że dumny starzec nie da się tak łatwo wzruszyć w swoim postanowieniu, a kiedy zawziętość jego doszła do tego stopnia, że jej nawet i w testamencie swym nie zapomniał, toż to kto wie, czy jeszcze są jakie środki na świecie, którymiby go można zmiękczyć i skłonić ku sobie? Tak frasując się przewidywanemi trudnościami już naprzód, w wielkiej niepokojności przeżył tych dni kilka u siebie, a we czwartek raniutko z drżącym sercem pojechał znowu do Opatowa.

Wszedłszy do celi księdza prowincyała, czuł że serce mu jeszcze mocniej zadrżało i spojrzał wzrokiem tak przeżywającym w twarz księdza, jak gdyby chciał z niej od razu swój wyrok przeczytać; ale prowincyał nie dał mu się gubić w żadnych domysłach, witając go temi słowy:

— Jeszcze wczoraj w nocy powróciłem z mojego poselstwa, ale fatalne nowiny przywiozłem dla pana.

— Przez Boga żywego — zawołał na to Jacek, drżąc cały od przerażenia — cóż się stało takiego?

Co się stało — odpowiedział już nawet bez swego zwykłego uśmiechu prowincyał — to, jako moja wyłączna własność, niech przy mnie zostanie; dla pana będzie dosyć to wiedzieć, że przyszedł do kłótni ze stolnikiem o pana, która się na tem skończyła, że musiał, ażeby użyć łagodnego na fakt ten terminu, bez pożegnania z jego domu wyjechać.

— Jezus, Marya! — zawołał na to hołobucki starosta — to aż do tego przyjść musiało na koniec?

— A do tego — odpowiedział z uśmiechem przełożony konwentu — co nawet można było przewidzieć, bo wiedziałem o tem naprzód co to za człowiek i jakie jego względem pana usposobienie.

Jacek już na to nie nie odpowiedział, tylko usiadłszy w kącie bardzo się smutno zamyślił.

— Szkaradna to scena była — mówił dalej po chwili prowincyał — i nawet teraz sam dziwię się temu, jak mogłem do niej dopuścić. Bo trzeba wiedzieć waćpanu, że nawet kobiety się w to wmieszały, a więc na łzach i rzucaniach się do nóg także nie brakło; ale wszystko to żadnego nie wzięło skutku, przeciwnie nawet jeszcze tem więcej oburzyło stolnika, a to zgoła do tego stopnia, że obrzuciwszy mnie najcięższymi wyrzutami, prawie z domu wypędził.

— I Helenka się do nóg rzuciła ojcu? i to nawet jeszcze nic nie pomogło? — zapytał Jacek, zrywając się z miejsca.

Prowincyał na to nie nie odpowiedział, a natomiast rzekł z nowym żapałem:

— Ale wiesz waćpan co? jakkolwiek te rzeczy tak stoją w tej chwili, że nawet najodleglejszej nie można sobie robić nadziei, ja przez to tylko tem większą mam ochotę nie porzucać tej sprawy. Cóż waćpan na to?

— Ja nie porzucę jej nigdy! — rzekł Jacek stanowczo — a tembardziej teraz, kiedy wiem, że panna Helena jest zgodną w uczuciach ze mną. Ja nie porzucę jej nigdy i nie masz żadnej takiej ofiary, którejbym dla niej nie poniósł, a miałbym i zginąć w tej walce z ojcowskim uporem, to zginę, a od swego już nie odstąpię!

— O zginieniu tu ani mowy być nie może, bo gwałtownością, uporem nie tutaj zrobić nie można. Tutajby raczej potrzeba sprytu, tuby trzeba trafić gdzieś w słabą stronę stolnika...

— Jakże tu trafić w słabą stronę człowieka — rzekł prędko Jacek — który żadnych słabych stron nie ma?

— Jego słabą stroną jest duma... A w niąby trafić można pokorą...

Jacek chodził przez chwilę w zamyśleniu po celi i milczał. Ale nagle się zerwał i przystąpiwszy do prowincyała, rzekł prędko:

— Wiesz jegomość, co mi na myśl przychodzi? Jeżeli tak go nie zwyciężymy, to inaczej nie, niezawodnie!

To mówiąc, wziął prowincyała pod ramię i zaczął mu szeroko i długo myśl swoją wywodzić.

Prowincyał go słuchał cierpliwie, a kiedy wyrozumiał rzecz całą, odpowiedział z uśmiechem:

— Waćpan, panie starosto, miewasz oryginalne koncepty. Ale nie przeczę panu, że to jest myśl nie zła i może zaprowadzić do celu. Ale jeżeli nie zaprowadzi i potem się wyda to wszystko przed światem?

— Ha! to przepadło! to koniec będzie wszystkiemu!

— Dla waćpana koniec, ale dla mnie dopiero początek. Bo cóżby też powiedziano na to, że ja, ksiądz, mnich i jeszcze do tego przełożony tak świętobliwego konwentu, podałem się do takiego pośrednictwa w sprawie miłosnej?

— Ale coby tam powiedziano! — zawołał Jacek — nieby zgola nie powiedziano, bo my tu tak tę rzecz ułożymy, że oprócz nas dwóch, żywa dusza o tem wiedzieć nie będzie.

— Tak waćpan mówisz? — rzekł na to prowincyał z uśmiechem — tedy będziemy tentować, ale trza nam wszystko naprzód z rozwągą ułożyć i potem ściśle wykonać.

Tedy Jacek uradowany rzucił się w objęcia pocziwego bernardyna i zostawszy przez ten dzień cały u niego, strawił go na układaniu swych planów.

*

*

*

Zostawmy teraz Jacka z bernardynem tajemniczymi planami zajętych, a sami zajędźmy do kăkolnickiego dworu i przypatrzmy się naocznie osobom, dwór ten zamieszkującym. Ażebyśmy jednak ich usposobienie dzisiejsze zrozu-

mieli dokładnie, przebiegnijmy pokrótce wypadki, które lubo miały miejsce gdzieindziej, tutaj przeważnie powywie-
rały skutki.

Owóż tedy, gdy stolnik, przyjechawszy po śmierci nieboszczyka podstarosty gnieźnieńskiego w najlepszych chęciach do Jacka, tak niegrzecznie od niego został przyjęty, to już wtedy z takim gniewem do siebie powrócił, że ledwie go w nim zdołał ksiądz prowincyał ochłodzić. Pan stolnik się z tego gniewu wysapał, ale już natenczas tak się niedobrze ku Jackowi uprzedził, że wszystkie wieści, które w późniejszym czasie z Warszawy go dochodziły, nie obudzały w nim wcale żadnego zadowolenia. Już zaraz z tego, że bez pożegnania z tym domem, z którym lat kilkanaście przeżył w tak blizkich stosunkach, do Warszawy wyjechał, nie mógł go w żaden sposób usprawiedliwić. Nie podobało mu się potem jego zbliżenie się do króla, niepodobało mu się oddanie królowi uzbieranych przez ojca starożytnych skarbów i nawet samo nabycie starostwa mu się niepodobało, bo tytuł taki, z rąk jme pana stolnika litewskiego uzyskany, zdawał się zawziętemu konfederatowi prawie zakałą. Wszakże wszystko to jeszcze byłoby niczem, ale niebawem potem wieść nadeszła z Warszawy, że Jacek się tam kocha i stara. Wieść ta nadzwyczajnie boleśnie przeraziła stolnika, przez parę tygodni był jakby zwarzony i nie wiedział sam, co ma począć ze sobą. W swoim prawem sercu nie mógł on pojąć takiego odstępstwa, a w swojej dumie i miłości ojcowskiej nie mógł zgola dopuścić, ażeby jego córkę mógł ktoś dla jakiejś elegantki warszawskiej porzucić. Wszakże kiedy się po mału oswoił z tą myślą, nazwał ten wypadek poprostu omyłką w swojej rachubie, miał go sobie nawet za małe nieszczęście, ugruntował sobie jeszcze lepiej gniew na młodego przestępcę i nie myśląc więcej już o tem, chciał to spokojnie zostawić czasowi.

Ale tej rezygnacyi, jakiej był zdolnym wytrawny starzec, nie były zdolne kobiety. Jeszczeż matka jak matka, jakiegokolwiek ją z przyczyny tego zawodu dojmowały zgryzoty, umiała je nietylko przenieść na siebie spokojnie, ale

umiała się jeszcze i tak zachować, że nikt po niej nie poznał, co się działo w jej sercu. Ale młodzieńkiej Helence do takiego opanowania siebie nie wystarczały siły. Biedne to dziecko nie skarżyło się wprawdzie przed nikim, szukało pociechy i ulgi w samotnych modlitwach i utrzymywało stan swego serca w największej przed rodzicami tajemnicy; ale młodzieńka i słaba jeszcze pod każdym względem dziewczyna nie była w stanie strawić tak całkowicie swojego nieszczęścia, ażeby ta walka wewnętrzna nie wywierała śladów wyraźnych na jej powierzchowności i całym usposobieniu. Zmieniła się więc nie do poznania: wybladła i zmizerniała, ów uśmiech wesoły, który niedawno jeszcze tak wdzięcznie krasił jej lice wiosenne, zniknął wraz z rumieńcami zupełnie, — i zgoła z całej tej jeszcze półdziecinnej dziewczynki, zrobiła się teraz jakaś niby półnapowietrzna, osmucona, milcząca istota, poczynająca wiosnę swojego życia rozdzierającym serce smutkiem i głęboką żalobą.

Lubo tedy stolnik ten zawód Jacka już w sobie przetrawił i jego wspomnienia znosił mniej więcej spokojnie, toż widok tego niewinnego dziecięcia, upadającego już prawie pod ciężarem żaloby, nie dał mu przecie ugruntować w swem sercu spokoju. Ile razy spozrzał na Helenkę natenczas, to mu łzy w oczach stawały, to się w nim krew wszystka burzyła: gryzł się, stracił humor, zasępił się jak chmura gradowa, a po całych nocach tylko się z boku na bok wywracał i wzdychał.

Po kilku tygodniach takiej niespokojności zmięknął trochę starzec i mając tylko szczęście swojego dziecka na myśli, był w stanie dla niego wiele, a choćby wszystko poświęcić. Duma jego natenczas wraz z gniewem ułożyły się nawet tak bardzo, że stary stolnik sam o zbliżeniu Jacka do siebie pomyślał. Kosztowało go to niezmiernie wiele i немало czasu minęło, nim zdecydował się na to; ale się zdecydował nareszcie i napisał list do Warszawy do kogoś z prośbą, ażeby mu doniósł sumiennie, co się tam dzieje z młodym hołobuckim starostą, jak stoi jego

konkurencyja o siostrzenicę starosty Jaorlickiego i wogóle jakie jest zachowanie się w świecie?

Jaką odpowiedź stolnik na list swój odebrał, pozostało to w tajemnicy na zawsze; ale tak tonu jak treści tej odpowiedzi nie trudno się będzie domyśleć, jak tylko powiemy, że działo się to właśnie w tym czasie, kiedy Jacek Petrynę porzucił i powróciwszy z Karlsbadu, zaczął się starać o względy podkomorzyny kaliskiej, a tym, od którego stolnik odpowiedź odebrał, nie był nikt inny jak tylko — Trembecki.

Nie dziwno więc będzie nikomu, że po odebraniu tych wiadomości z Warszawy, ojciec Helenki wpadł w takie oburzenie i taki gniew srogi na Jacka, że go wobec żony i córki nazwał człowiekiem najgorszej wiary i obyczajów, przeniwiercą i zdrajcą i zakazał jak najwyraźniej, ażeby nawet nazwisko tego człowieka nie było nigdy wspomnieniem pod jego dachem.

Pani stolnikowa i jej córka nie wiedziały wcale, skąd się wziął tak niespodziewanie wyrok na Jacka, — a jak matka pragnęła z duszy, ażeby to zdanie męża okazało się z czasem fałszywem, tak Helenka odrazu uznała je z góry za fałszywe i całkiem mu wiary nie dała. Jakiegokolwiek było postępowanie z nią Jacka, kochające jej serce inaczej o nim mówiło, a ona w tej sprawie tylko swemu sercu wierzyła.

Ten wypadek wszakże, lubo jak grom spadł na biedną Helenkę, nie był bez pewnej pociechy dla niej w swych skutkach najbliższych. Kiedy bowiem stolnik tę sprawę wytoczył na tapet familijny publicznie, przestała ona być odtąd już tajemnicą, lubo tylko pozornie, jednak zawsze utrzymywaną w milczeniu. To dało powód matce rozmawiania o tem z córką otwarcie, i tak Helenka, zyskawszy powiernicę, której dotąd nie miała, doznała przez to w dalszym czasie niemało ulgi i pociechy w swojej bezustannej żalobie.

Wkrótce potem przyszła wiadomość, że Jacek poszedł bić się na kresy. Wypadek ten musiał oczywiście nadzwyczajnie przemówić za Jackiem i nietylko Helenkę utwier-

dził do reszty w jej dobrych przecuciach, nietylko matkę już całkiem na stronę Jacka przeciągnął, ale nawet sam stolnik nie mógł nie powiedzieć przeciwko temu; a kiedy wiadomość ta udzieloną została głośno wszystkim razem przy stole, i stolnikowi wypadało coś także do tego dorzucić, to rzekł te słowa: — Jeszcze to jest najlepsze, co mógł uczynić pan Jahołkowski.

Opierając się na tych kilku słowach, obydwie kobiety wpadły na domysł, że Jacek, przez porzucenie Warszawy i wyjazd na kresy, i zawzięte serce stolnika już cokolwiek przebłagał dla siebie, a ponieważ Helenka miała niezłomną w to wiarę, że Jacek prędzej czy później do niej powróci, a pani stolnikowa macierzyńskiem swem sercem wtórowała tej wierze; więc zdawało im się roztropnem z tego usposobienia stolnika korzystać i do jego zagniewanego serca choć cokolwiek drogę Jackowi uścielić. Ażeby zaś ten zamiar tem łatwiej dał się uskutecznić, wciągnęły w swą konspiracyę księdza prowincyała, który z całą gotowością podał im swoją rękę pomocną i sam pierwszy wyszedł na harc przeciwko zawziętości stolnika.

Ale hartowny starzec okazał się niewzruszonym, a kiedy prowincyał nie przestawał unosić się w pochwałach męstwa i waleczności Jacka, o czem niby miał wieści mieć z kresów, stolnik się wzburzył nanowo, w nowy gniew przeciwko Jackowi wybuchnął i wtedy, więcej może przez upór przeciwko prowincyałowi i tym, którzy nie szanowali jego postanowienia, niżeli przez zawziętość na Jacka, ów testament napisał, o którym już wiemy.

W gruncie rzeczy był to nowy cios dla Helenki, ale jak ją z jednej strony jej wiara utrzymała, tak znowu z drugiej strony niemało ją podniósł na duchu prowincyał, który, przystąpiwszy raz do konspiracyi przeciwko stolnikowi, statecznie trwał przy swych współprzysiężonych i przyrzekł im świącie wytrwać przy nich do końca. Poniesiona klęska wraz z niemi tylko tem ściślej go z powziętymi zamiarami związała, a obudziwszy w nim także cokolwiek uporu, roznieciła w nim tak gorącą dla tej sprawy żarliwość, że niczego tak żywo w tej chwili nie

pragnął, jak przełamać dumnego stolnika i postawić nareszcie na swoim.

Z początkiem zimy przeczucia Helenki się ziściły i Jacek z kresów powrócił. Wiadomość o tem rozeszła się jak wiatr po sąsiedztwie, doniosła się do Kąkolnik i doszła do uszu stolnika. Dla sprzysiężonych nadeszła pora działania, jakoż w istocie wtedy prowincyał co kilka dni się zjawiał w Kąkolnikach i długie nieraz z obydwoma kobietami odbywał narady. Nie można jeszcze było nie w owym czasie przedsiębrać, bo Jacek siedział jak gdyby zakłęty w Zarwiwodach i przez zbyteczną ostrożność nie dawał żadnego znaku swych usposobień dla swoich dawnych przyjaciół. Ale tak z darów przesyłanych do opatowskiego klasztoru, jak z różnych wieści, które przebiegały tajemnie do kąkolnickiego dworu, jak zresztą z wszystkich okoliczności i powyciąganych z nich wniosków nie trudno się było prawdy domysleć, — i narady pomiędzy sprzysiężonymi odbywały się tylko tem częściej i tym potajemniej.

Zachowanie się stolnika w tym czasie było jak najzupełniej obojętne; nie pytał nikogo o Jacka, ani rozmowy o nim nie wywoływał, a kiedy się tak zdarzyło, że musiał się do takiej rozmowy przy gościach odezwać, to rzucił słów kilka ni złych ni dobrych, i zwykle potem odchodził. Tę obojętność wykładali sobie sprzysiężeni na dobre, ale się srodze omylili na starcu. Kiedy bowiem stolnik dowiedział się o Jacka powrocie, przedstawił sobie nanowo to wszystko, co kiedykolwiek miał przeciw niemu; widząc zaś, że prowincyał znowu coś konspiruje z kobietami, tak się tem wzburzył, że cały się przeciwko wszystkim możliwym nagabaniom uzbroił i postanowił nie tylko się im oprzeć i nie dać się żadną siłą przełamać, ale nawet z pierwszej lepszej sposobności korzystać i przeciwko tym buntom prowincyała wstępnym bojem uderzyć. Już mu też nietylko a może i nie wcale nie chodziło o Jacka, ale prowincyał go znowu obraził i na tego był oburzony.

Prowincyał wszakże, ani śniąc o tem jaką stolnik dla niego przygotowywał konfuzyę, jak z ochotą się podjął

powierzonego mu przez Jacka pośrednika, tak z najlepszą fantazyą do stolnika przystąpił. A tu stolnik tymczasem z taką furją wjechał na niego, że jak go pamiętano od lat najdawniejszych, nikt go jeszcze w tak niepohamowanej złości nie widział. Na tę scenę niespodziewaną przypadły kobiety, Helenka się do nóg rzuciła ojcu, stolnikowa go chciała pochwycić za ręce, które w zapamiętałości nie żartem groziły księdzu, ale stolnik te wszystkie instancje, pomimo płaczu i jęków, poodtrącał od siebie, a nałajawszy prowincyałowi, że mu dom niepokoi, że żonę i dziecko buntuje, drzwi mu pokazał, wołając w gniewie:

— Precz z mego domu! i żeby mi noga twoja więcej tu nie powstała!

Była to scena rzeczywiście szkaradna i nawet bardzo gorsząca, bo cały dwór był naocznym świadkiem takiej zapamiętałości stolnika, która wcale nie przystała ani jego białym włosom, ani jego godności, i takiej zniewagi osoby duchownej, która mogła śmiało być położona na równi z śmiertelnymi grzechami. To też bardzo się wszyscy dworsey temu dziwili, a znając stolnika, że przy całej swej surowości rzadko której ze sług swych ostatnich nawet przykre słowo powiedział, już sami nie wiedzieli, co mają o tem rozumieć. Przez kilka dni następnych cały dwór był jak zwarzony, wszyscy chodzili na palcach, nikt nie śmiał słowa głośno przemówić, a każdy jak tylko mógł najdalej zagniewanego pana omijał.

Zauważył to stolnik i dziwnie koło siebie spoglądał. Musiało się też w nim i bez tego odezwać własne sumienie, bo jednak to nie żart tak znieważać osobę, mającą na sobie kapłańskie święcenie i urzędy kościelne i tak wreszcie zgorszyć tylu ludzi, powierzonych swojej opiece. Wypadek ten uczuł on bardzo głęboko i widać nie był wstanie znieść tego grzechu na sobie, bo zaraz w kilka dni potem sam żonę i córkę przeprosił, a nareszcie i do Opatowa pojechał, dał do zrozumienia księdzu prowincyałowi, że mu to cięży na sercu, i szedł do spowiedzi i do stołu Pańskiego przystąpił.

W tydzień potem, ksiądz prowincyał był znów w Ką-

kolnikach, stolnik go mimo zimna z odkrytą głową sam w ganku przyjmował, a potem długo z nim siedział za stołem, wypił z nim wina najlepszego ze swojej piwnicy całą butelkę, rozmawiał długo i bardzo uprzejmie, a kiedy prowineyał odjeżdżał, poszły za nim dwie fury pełne darów dla opatowskiego klasztoru i stolnik go bardzo zapraszał, ażeby odtąd jak najczęściej dom jego odwiedzał, a zawsze z sobą brał furę klasztorną, którą napełnić żywnością przy tym ciężkim przednowku będzie sobie miał za miłą przyjemność.

Tak tedy widzieli wszyscy, że znowu stateczna zgoda jest między panami, i o owej scenie nikt już nie wspomniał.

W parę dni potem prowineyał znowu był w Kąkolnikach; stolnik znowu z nim tak samo rozmawiał, a lubo teraz prowineyał już mógł być z daleko pewniejszą nadzieją dobrego skutku rzucić jakich słów kilka o hołobuckim staroście, jednak nie o nim nie wspomniał. Sparzywszy się raz, widać że już nie chcieli się narażać na drugie sparzenie i musieli już z Jackiem całę inny plan sobie ułożyć względem stolnika.

Jakoż rzeczywiście, w dni kilka potem stała się rzecz całkiem nowa, albowiem rozeszła się wiadomość po okolicy, że starosta hołobucki zniknął gdzieś nagle z domu; nie wiedzieć gdzie. I różni różnie o tem mówili, więc jedni, że pojechał do Wiednia, ażeby wejść w służbę cesarską, drudzy, że na jakąś wojnę aż do Turek pociągnął, a trzeci zgola, że napowrót na kresy powrócił.

W parę dni po rozejściu się tej wiadomości, prowineyał do Kąkolnik przyjechał. Ale jak zawsze był rozmowny, wesoły i pełen różnych conceptów, tak był dziś ponury, milczący i prawie wciąż zamyślony. W równie dobrym humorze był także i stolnik, i lubo się nie skarżył na nic, widać jednak było, że albo go naszło jakieś zmartwienie, albo go męczył jakiś niepokój. Wszakże widząc także zafrasowanym księdza prowineyała, z którym się teraz obchodził jak ze szkłem, raczej się nim zajął niż sobą i po kilka razy go zapytywał o powody jego dzisiejszego

humoru. Bernardyn zrazu nie odpowiadał, ale nakoniec rzekł smutnym głosem:

— Ot! wieleby to dziś mówić o tem, co człowieka dojmuje, bo fatalne czasy na nas nadeszły. Nie dosyć, że nas nawiedzają zmartwienia postronne, nie dosyć, że się tworzą w kraju różne stronnictwa, które się bodą na śmierć nawzajem, jeszcze i ludzie jednego ducha i jednej myśli tak się ze sobą obchodzą, jak z najzawziętymi wrogami. Gdzieś za dawnych czasów, za naszych ojców i dziadów, kiedy się młodemu człowiekowi zdarzyło pobłądzić, to znachodził i przebaczenie z łatwością, i opiekę nad sobą, i pomoc braterską w potrzebie; dziś rodzonemu bratu nikt nie przebaczy, a miasto pomocy stawiają mu wszyscy jeszcze przeszkody do nawrócenia się i poprawy. To też marnuje się u nas młodzież i to na służbach postronnych, to na wojnach nie obchodzących wcale rzeczpospolitą, to nakoniec w zapasach ze zgryzotami, ledwie nie codziennie jednego tracimy!

Stolnik słuchał tego z uwagą, lecz wysłuchawszy, nie odpowiedział nic na to, tylko powstawszy z miejsca, przechodził się przez długą chwilę po komnacie. Wiedział on dobrze kogo miał prowincyał na myśli, i byłby niewiedzieć wiele dał za to, gdyby bernardyn był sam się wygadał, co się stało z hołobuckim starostą; bo jak tylko z powodu owej sceny poskromił się w swej zawziętości i ochłonał w swym gniewie, to już i względem Jacka się zmiękczył cokolwiek; kiedy się zaś o jego zniknięciu dowiedział, co także nie mógł za co innego jak tylko za skutek owej sceny gwałtownej uważać, to go dziwny objął niepokój i chciałby był wiedzieć przynajmniej dokąd Jacek odjechał ale zapytać o to wprost bernardyna, było to jeszcze nad jego siły, a właściwie nad jego dumę, której opanować nie umiał.

Prowincyał także nie zapytany, nie powiedział i zostawiwszy stolnika w takiej samej niewiadomości, w jakiej był dotąd, późnym jak zwykle wieczorem do siebie odjechał.

W dalszym czasie, prowincyał się coraz więcej w swych

oracyach ośmielał, jednego dnia mówił wiele o terażniejszym obyczajów zepsuciu, o pokusach wielkiego świata, o łatwości z jaką jej zwykła ulegać niedoświadczone młodość, ale także i o obowiązkach wyrozumiałości o takie rzeczy, które raczej są winą słabej natury ludzkiej, niżeli złego serca lub charakteru. Drugim razem mówił znów o zupełnym braku tych szkół starodawnych, w których starsi obywatele kształcili młodzież sąsiedzką pod swoim okiem, ucząc ich praw i zwyczajów, które nigdzie nie były spisane, uszlachetniając ich obyczaje, podnosząc ducha i hartując ich serca w miłości ojczyzny i gotowości do ofiar, poświęceń i trudów; dziś o tem i mowy już niema, bo dzisiaj starzy usuwają się sami ze sceny świata, a młodzież, znajdując dla siebie ich domy i serca zamknięte, musi szukać takiej nauki u obcych, gdzie zamiast niej, znajduje tylko śmierć wczesną, moralną albo też fizyczną... Kiedy indziej potrafił niby przypadkiem o Jacka, i opowiedział niby z niechcenia to jakąś scenę z czasów jego pobytu w Warszawie, to o jego kłopotach z hołobuckim starostwem, to o jego praktykach rycerskich na Ukrainie; ale opowiadał to wszystko tak obojętnie, jak tysiąc innych anegdot lub wiadomości, jak gdyby Jacek go nie nie obchodził, jak gdyby zgola do żyjących już nie należał.

Stolnik słuchał tych rzeczy cierpliwie, zawsze z wielką uwagą, czasem z nieutajonem zajęciem; a kiedy prowincyał skończył, starzec wpadał prawie zawsze w zły humor, czasem zaś niby chciał go o coś zapytać, lecz nigdy nie spytał.

I tak zeszedł czas aż do wiosny.

I był już maj na niebie i maj prawdziwy na ziemi. Łąki i pola były już trawą i zbożem okryte, pozieleniły się i porozkwitały ogrody, cały świat odżył i rozbudzał pełnem przyszłości życiem.

Wieczór był wtenczas, wieczór ciepły, pogodny, oświecony srebrnymi promieniami księżyca, nasycony powietrzem pełnem świeżości i woni.

W Kąkolnickim dworze wszyscy się znajdowali na wolnem powietrzu.

Pani stolnikowa z Helenką siedziały w ganku, przed którym stał wóz parokonnny, naładowany pełnymi worami legumin i zboża. Lejce od spokojnych klasztornych koni były związane na węzeł i założone na lusznę, a bernardyn braciszek, który sam zastępował zajętego wiosennemi robotami woźnicę, stał plecyma o drabinki oparty i odpowiadał z pokorą na różne pani stolnikowej i panny Heleny o życie klasztorne pytania.

Pan stolnik zaś z prowincyałem przechadzał się jak zwyczajnie po grabowej alei i prowadził z nim stateczną rozmowę. Prowincyał dzisiaj niezmiernie wiele różnych rzeczy stolnikowi nagadał, nareszcie mówił z pół godziny lub więcej o Jacku i usprawiedliwiał go wszelkimi sposobami, jakie mu tylko na myśl przyjść mogły. Pierwszy raz do stolnika tak blisko przystąpił, a kiedy stolnik już za to nie tylko się nie oburzał, ale nawet mu nie zaprzeczał, prowincyał tem ośmielając się coraz więcej, rzekł nakoniec otwarcie:

— Ot! i powiem waćpanu dobrodziejowi, że mi szczerze żał tego chłopca, bo nie wiedzieć za co i po co, skrzywił całą karierę swojego życia, a to, co nazywamy szczęściem prawdziwem, stracił może na zawsze. I jak mi Bóg miły, nie lada co się tutaj zepsuło. Bo w gruncie rzeczy bardzo pocziwe tam serce i jeszcze wcale nie popsuty charakter, dobre imię i końcem końców, jakiegokolwiek temu towarzyszyły okoliczności, takie starostwo i takie zachowanie u ludzi w tak młodym wieku i u senatorskich synów się nie znachodzi.

Stolnik chodził przez chwilę obok bernardyna, węża pokręcał, pasa poprawiał, lecz milczał. Aż nareszcie stanął i rzekł, patrząc mu w oczy:

— Już mi ksiądz brat tyle nagadał o tym hołobuckim staroście, że pomimo mego najślusniejszego gniewu na tego zdrajcę, sam myślę o nim ledwie nie codziennie. Gdybym chciał waćpanu wypowiedzieć to wszystko, co mi się o nim przesunęło przez myśl i przez serce, tobyśmy nad tem musieli strawić noc jedną i drugą a może i trzecią. Prawdę mówiąc, nie jestem też nareszcie od tego aże-

byśmy o tem pomówili ze sobą, bo koniec końców, i ja także kiedyś miałem afekt dla tego chłopca, ba! jeszcze i coś więcej. Ale nim przyjdzie do tego, powiedzże mi waść, proszę, co się dzisiaj z nim dzieje? Zniknął gdzieś z Zarwivód, jak duch nocny bez wieści, czyż już zniknął na zawsze? I gdzież zniknął nareszcie, czy pojechał znów do Warszawy? czy poszedł doprawdy na wojnę, albo też, jak mówią, na kresy?

— Co się z nim dzieje dzisiaj — rzekł na to prowincyał, głowę opuszczając ku ziemi — Bogu to tylko jednemu wiadomo. Ale na każdy wypadek nie dobrze się z nim dzieje zapewne, boć go nie radość w świat wywołała, tylko ból i zgryzota.

— Hm! — mruknął na to ojciec Helenki — jużciż ja się domyślam, że trudno mu dzisiaj o szczęście przy takich zgryzotach sumienia, ale przecieżbym rad to wiedział, jak sobie radzi na te zgryzoty?... I waćpan nie wiesz pod słowem nie o nim?

— Nie mogę tego powiedzieć, że nie wiem, bo wiem najdokładniej, ale tajemnicę tę powierzył mi pan Jahołkowski na świętej spowiedzi...

— To się spowiadał przed waćpanem, nim z domu odjechał?

— Spowiadał się i tak się nawet spowiadał, że kaźden z nas mógłby sobie życzyć takiej skruchy przed Panem Bogiem i takiej pokory.

— Tedy waść mówisz — rzekł stolnik na to — że się upokorzył nareszcie? i pokutę uczynił?

— I pokutę uczynił — odpowiedział prowincyał — i może ją czyni jeszcze nawet do dziś dnia... Lecz dajmy pokój o tem, bo mnie brat kusz niechęcy, a język to bardzo buntownicze narzędzie. Dosyć wiedzieć waćpanu do brodziejowi tyle, że pan Jahołkowski żadną miarą nie zasłużył na takie obejście, jakiego od pana brata doświadczył. Było tam trochę złego, ale ani podobieństwa do tego, co stąd niedobre języki uplotły.

Stolnik znowu milczał przez chwilę, a potem ręką machnął i rzekł:

— Ot! wieleby to dziś gadać o tem, co się tu porobiło w tej sprawie. Jako dziś, za pomocą waćpana, trochę chłodniej się rozpatrzyłem w tem wszystkim, tożbym się wreszcie i nie sprzeczał o to, żem się może cokolwiek i zadaleko zapędził w mym gniewie. Wyrozumiałością człek nigdy nie zgrzeszy i zresztą na przewinienia młodzieży trzeba być konieczniewyrozumiałym. Wszakże pomimo to wszystko, nigdy sobie tego odebrać nie dam, żem miał słusne do gniewu powody. A cóż to wać myślisz, toż to mnie ten młokos prawie nogami podeptał? on mi córkę obalamucił i jak zdrajca ostatni porzucił! on mi zatruił dwa lata życia przed grobem!...

— Waćpan dobrodziej — rzekł na to prowincyał, nie zważając wcale na ostatnie stolnika wyrazy — miałeś słusne do gniewu powody, ale temu gniewowi niesłuszne zakreśliłeś granice. Bo dać uczuć zapomniałemu na chwilę młodzikowi i nawet dobrze mu to dać uczuć, że pana brata obraził, było rzeczą sprawiedliwą, ale jeszcze sprawiedliwszą od tego było na końcu przebaczyć.

— A czyż nie chciałem przebaczyć! — zawołał na to stolnik z westchnieniem — mimo tego wszystkiego com mówił i jakem się miotał w mym słusznym gniewie, Bóg mi jest świadkiem, jak gorąco pragnąłem tego, ażebym mógł mu przebaczyć. Ale kiedy pan starosta, zamiast udać się zaraz za swoim przyjazdem do pokory i skruchy, zaczął przez was na mnie najeżdżać zuchwale...

— Panie bracie! — rzekł na to prowincyał — przepraszam bardzo, ale co temu, to muszę się stanowczo sprzeciwić...

— Już się znowu wać bierzesz do sprzeciwiania — rzekł stolnik prędko pół żartem — a ja nie mam dziś wcale do tego ochoty. Już też dzisiaj i nie pora po temu. Ale kiedyindziej nie będę od tego. Przyjedź tedy z łaski swojej jutro, albo pojutrze, a przyjedź zawczasu, to pogadamy o tem obszernie, tak jak tego ta zawikłana materya wymaga.

— Będę służył waćpanu dobrodziejowi z największą chęcią do jak największej dysputy — odpowiedział prowinc-

cywał, i obróciwszy się ze stolnikiem, zaczął zmierzać napowrót do ganku.

— Tedy czekam waćpana z niecierpliwością i w pełnej zbroi — mówił stolnik, idąc wraz z prowincyałem — a jakżeż furka? czy masz jaką ze sobą? czy kazałeś jej zajechać przed szpichlerz? Nie rzecz to jest prowincyała wozić krupy i mąkę dla swego klasztoru, ale przy tych przednówkach...

— Czy na przednowku, czy kiedykolwiek — odpowiedział bernardyn, dochodząc właśnie do wozu, stojącego przed gankiem — nie kajam się nigdy żadnej roboty, która być może z pożytkiem dla moich braci. A owoż tedy i moja furka, jak widzę, suto wyładowana z łaski waćpana dobrodzieja.

Tymczasem stolnik sam się przybliżył do wozu, lecz obaczywszy braciszka, obrócił się do prowincyała i rzekł:

— Jakto? to waćpan masz znowu braciszka ze sobą i znowu nie powiedziałeś mi o tem? a toż godziło się, ażeby był siadł z nami do stołu, bo i głodny będzie i coś też powie o gościnności stolnika?

To mówiąc, zbliżył się do braciszka, chcąc go zapewne zapytać, ażali go czem częstowano; braciszek w tej chwili chciał się od niego odsunąć i odwrócił się na bok, ale tak nieszczęśliwie, że promienie księżyca całą mu twarz oświeciły tuż przed oczami stolnika. Obaczywszy tę twarz staruszek, cofnął się w tył jakby kulą rażony i zawołał:

— A toż co jest takiego!

Na ten wykrzyk obydwie kobiety zerwały się z miejsc swych, Helenka zrobiła ruch taki, jak gdyby się chciała rzucić pomiędzy braciszka i ojca, prowincyał jej drogę zastąpił, a braciszek tymczasem rzucił się w ten moment na kolana i pochyliwszy głowę z pokorą, klęczał tak przed zakamieniałym na chwilę ze zdziwienia starcem, nie mówiąc ani jednego słowa.

Przez pół pacierza prawie stał stolnik nad nim jak gdyby posąg z marmuru, patrząc weń jakby w trupa powstającego z grobu. Włosy mu się wtedy najeżyły na gło-

wie, zacisnęły się usta, cała twarz się zmieniła, a w oczach dziwne zagrały płomienie; widać było, że wielka walka się w nim toczyła przez chwilę.

Ale po chwili zmieknął cały, obwisłe ręce założył przed sobą i kiwając głową, zawołał z głębokim wyrazem żalu:

— O Jacku! Jacku! i trzebaż to było tego wszystkiego!

* * *

Dalszych skutków tej sceny nie potrzebujemy już opowiadać, bo samo z siebie wynika, że teraz już do dawnego oporu nie miał stolnik ni serca, ni siły.

Ugłaskany najprzód przez prowincyała, uprzedzony o Jacka pokucie i skrusze, pochwycony za serce jego suknią klasztorną i mniszą pokorą, a zmięczony do reszty wymownemi łzami Helenki, sam się nakoniec rozplakał i nie wspominając już zgoła o żadnym gniewie, jeszcze dnia tego samego na wszystko zezwolił.

Ile łez radosnych się dzisiaj wylało w kąkolnickim dworze, ile tam było prawdziwego szczęścia, ile dla wszystkich pociechy, łatwo to każdy odgadnie.

Toż i nam już nie pozostaje nic więcej, jak dodać, że we dwa miesiące potem odbył się ślub starosty hołobuckiego z Helenką. Drużbowali Jackowi dziś w jego weselu ci sami, którzy mu drużbowali na kresach, a więc Kurdwanowski i kasztelanie mściśławski; Węgierski przyjechał także i niemało się do ogólnej wesołości przyczynił. Prócz tego wszakże i wesele samo z siebie było wystawne i huczne, bo stolnik na nie szlachtę całego powiatu zaprosił, a otworzywszy im swoje od lat tak dawnych zamknięte serce i równie dawno zamkniętą piwnicę, uczynił dzień ten tak pamiętnym dla okolicy, że jego wspomnienie przez długie lata żyło w sercach sąsiadów i nawet w grobie jeszcze zachowało tyle krewkości, że dziś na nowo ze wszystkimi szczegółami, które go poprzedziły, zmartwychpowstało w powieści.

EPILOG

— Owóż tedy, takie to było — kończył swoją powieść o hołobuckim staroście pan skarbnik — takie to było pierwsze zetknięcie się tego młodzieńca z owym światem pełnym intryg i fałszu, któren naówczas zaczął brać górę nad wszystkim w Warszawie. Szczęśliwy Jacek wyszedł jeszcze z tego niebezpiecznego wiru, jak to mówią, obronną ręką; ale jak jemu niewiele brakowało do tego, ażeby w tym wirze utonąć nazawsze, tak ileżto najpiękniejszej młodzieży rzeczywiście tam potonęło, tracąc jedni szczęście swojego życia, a drudzy zgoła topiąc swą prawosć i cnotę w kale owoczesnego zepsucia! Wieleby się też dało jeszcze o owych czasach powiedzieć, wiele podobnych przytoczyć przykładów, wiele scen odmalować jeszcze daleko jaskrawszych, ale ja już temu dam pokój na dzisiaj, a natomiast, ażeby w niczem nie został dłużnym moim słuchaczom, dopowiem tutaj w krótkości, co się jeszcze w dalszym czasie stało z osobami, odgrywającymi znaczniejsze role w niniejszej powieści.

Zacznijmy naprzód od siostrzenicy Jaorlickiego starosty. Owóż tedy Petrynę, jak jej się to słusznie należało podług wszelkich praw Boskich i ludzkich, najfatalniejszy los spotkał w przyszłości. Już to samo było wielkiem dla niej nieszczęściem, że, co się może jeszcze nikomu nie zdarzyło dotychczas, oblubieniec jej trupem na wesele przyjechał, ale daleko większem jeszcze, że od dnia tego wszy-

stkie jej powodzenia, mniej więcej zręcznymi forytowane fałszami i intrygami, urwały się jej nazawsze. Starosta zmarł bez testamentu, po jego śmierci znaleźli się krewni, i bliźsi, i zamożniejsi, i daleko sprytniejsi i z jego majątku Petrynie nic się nie dostało. Uboga sierota została na lodzie i bez żadnych funduszków na to, ażeby się mogła na takiej stopie utrzymać, jak dotąd. Starala się ona wszelkimi sposobami o to, ażeby pod jakimibądź pozorami w tem samem towarzystwie pozostać, ale już jej się to nie udało. Podkomorzyna kaliska już w parę miesięcy potem grzeecznie się jej ze swego domu pozbyła, pani chorażyna była głucha na jej zgłaszanie się i przymówki, i zresztą każda z dam, której się nieboszczyka starosty kuzynka narzucić usiłowała, umiała się zręcznie od niej usunąć. I niedziw temu, do tego czasu bowiem powychodziły na jaw wszystkie jej intrygi; wiedzano o kasztelanicu mściśławskim, wiedzano o Jacku, a nakoniec dowiedziano się także o jej prawdziwym stosunku do swego wuja i o tem już publicznie gadano. Ale pomimo to wszystko Petryna nie tyle przez nadzwyczajną energię, ile wskutek zarozumiałości o sobie, a zwykłego jej lekceważenia innych, jeszcze nateczas zupełnie nie straciła nadziei. Porzuciwszy podkomorzykę, wyniosła się do Warszawy i znalazłszy tam jakąś dość przyzwoitą staruszkę wdowę, przy niej zamieszkała o reszcie swych środków. Stamtąd usiłowała ona nie tę, to ową z dawnych swych intryg zawiązać nanowo; w tym celu dała wiedzieć o sobie kasztelanicowi i nawet staroście hołobuckiemu zręcznym listem, przez kogoś trzeciego pisanym, się przypominała. Zdaje się, że wtedy byłaby już bez żadnych kaprysów i fochów poszła za tego i za tamtego.

Ale kasztelanie miał tyle siły nad sobą, że umiał się opanować, a Jacek, bez opanowywania się, nie chciał wiedzieć nic o niej. Zawiedziona na tych dawnych znajomych, próbowała jeszcze zarzucać wędkę na nieznajomych, miała jeszcze wtedy i sposobność do tego, bo, dzięki swojej śmiałości, oddawała wizyty wszystkim tym damom, u których dawniej bywała; ale już teraz znano wszędzie tego roba-

czka, każdy więc spojrział tylko, obaczył haczyk i minął. Takie różne zabiegi trwały jeszcze z pół roku, ale nakoniec fundusze się wyczerpnęły, sukienki się podstarzały i trzeba było z jasnej stolicy przenieść się do jakiegoś ciemniejszego miasteczka. Wtedy Petryna wyjechała do matki i, czego się nigdy nie spodziewała, osiadła napowrót w ubogim domku lubelskiego przedmieścia. Czem był jej ten domek teraz, czem straszliwa konieczność mieszkania pomiędzy brudnymi i pochylonemi tej chatki ubogiej ścianami, niepotrzeba nikomu powiadać. Wszakże i tutaj jeszcze nie była ona bez żadnej nadziei. Nie dopisał jej kasztelan, omylił Jacek, pominęli ją inni, — toż mógł jeszcze dopisać Łukowski. Łukowski był to człowiek ubogi, a ubodzy ludzie, nie przechowując skarbów innych, tem staranniej przechowują niepokalany skarb swego serca; ubodzy ludzie kochają się wiernie, zwykle raz tylko na całe życie; ubodzy ludzie chętnie się łączą z ubóstwem, mają wiele współczucia i nawet winy przeciwko sobie przebaczą z łatwością. To sobie wszystko rozważyła Petryna i zarzuciła swoją wędkę na niego. Zdaje się, że wtedy byłaby już poszła nawet za Łukowskiego. Ale Łukowski, lubo do dziś dnia w samej istocie nie był jeszcze bogatym, miał jednak daleko więcej uczucia osobistej godności, niż wielu bogatych, i jak tylko dostrzegł zamiary Petryny względem siebie, chociaż może jeszcze nie wygasła pamięć dawnej miłości w jego sercu zupełnie, prędko się jednak przeciwko pokusom uzbroidł. Petryna, nie wiedząc o tem i nawet nie spodziewając się tego, prowadziła swoją intrygę dalej, ale kiedy przyszła chwila stanowcza, intryga się nagle urwała; Łukowski bowiem przypomniał jej własne jej słowa, któremi mu powiedziała, że go nigdy na nie potrzebować nie będzie i wyszedł z domu jej matki, ażeby tam już nigdy nie wrócić. Tak zniknęła ostatnia nadzieja i ta dobiła Petrynę. Za jej zniknięciem bowiem pojawiły się wszystkie zgryzoty sumienia, pojawił się także i niedostatek. Za niedostatkiem nędza, a za nędzą ciężka i nakoniec śmiertelna choroba. Umarła w miesiącu lipcu,

pochowano ją na lubelskim cmentarzu, na jej grobie nie postawiono nawet i krzyża.

Węgierskiego koniec jest wszystkim wiadomy. Przez parę lat jeszcze mieszkał on ciągle w Warszawie i prowadził życie takie, jakieśmy widzieli w niniejszej powieści. Gdybym nie był przekonany najmocniej, że każdy człowiek, który odebrał dar jakiś od Boga, a z nim razem i pewne posłannictwo do spełnienia na ziemi, musi spełnić to posłannictwo pomimo woli swojej i wszystkich okoliczności, tobym z Węgierskiego uczynił wyjątek i powiedziałbym, że ten człowiek mógł monumentalne zostawić po sobie pamiątki. Nie był to wprawdzie geniusz twórczy pierwszej potęgi, ale bystrość jego dowcipu była zadziwiająca, jego przenikliwość i jasne widzenie rzeczy nie miało może równego w swym czasie, a lubo przez to byłby nie mógł społeczeństwa wyratować od zguby, mógł się stać jednak wiernem i wielkiem zwierciadłem swojego czasu i prawdziwym wieszczem przyszłości. Ale do tego, ażeby zostawił monumentalną po sobie pamiątkę, stał na przeszkodzie jego własny charakter. Ten człowiek miał wiele miłości i szlachetnego zapалу, ale przytem dziwna w nim była obojętność na wszystko, a przy obojętności niemałe sobkostwo. Dowcipniejszy i przenikliwszy od wszystkich, sam padał ofiarą intryg; wyszydzający nierozsądek drugich i przepisujący najrozumniejsze rady dla wszystkich; dla siebie samego nie miał żadnego rozsądku i zawsze mijał się z taktem, przy których to wadach, że pominę już inne, doprowadził do tego, że został znienawidzony prawie ogólnie i doczekał się tej chwili, w której nie był nikomu potrzebnym, a zbytecznym dla wszystkich. Jeden król jeszcze, najcierpliwszy człowiek z całego narodu, znosił go najdłużej ze wszystkich, ale i tą nadludzką prawie cierpliwością, której nikt nie wyczerpał, on musiał wreszcie dla siebie wyczerpać i stracić przez to ostatni punkt oparcia w Warszawie. A stało się to takim sposobem.

Pewien zamożny mieszczanin warszawski, na podziękowanie Panu Bogu za dorobienie się znacznej fortuny, odbudował swoim kosztem nie pomnę już który kościółek.

Król, który lubiał zawsze uwzględniać pobożne i cnotliwe uczynki, kiedy odebrał wiadomość, że ten kościółek już jest ukończony, po jednym z czwartkowych obiadów zabrał wszystkich swych gości ze sobą i pojechał obejrzeć budowę. Wszyscy weszli za królem do nowej świątyni i oglądali jej architekturę i różne ozdoby. Wszystko było ładne i wszystko chwalone, a król nawet sam zwrócił uwagę na napis nad drzwiami, wyryty w ścianie w tych słowach:

Ten dom Boży
Odnowił Ambroży.

Chwaląc skromność tego napisu, poszedł król wraz z wszystkimi do głównego ołtarza, ażeby i ten jeszcze obejrzeć. Powracając, jeszcze raz rzucił okiem na ów napis wyryty w murze, za panem spojrzeli tam wszyscy, — ale jakież było ich zdziwienie, kiedy pod owym napisem wyczytali naprędce dopisane obraźliwe na króla słowa. Nie było co mówić. Węgierski znajdował się w towarzystwie. Wszyscy też mimowolnie spojrzeli na niego i głowy popuszczali w milczeniu ku ziemi. Król także już nie mówił i nawet później, choć to było zwyczajem u niego, nigdy się na to przed nikim nie skarżył, ale w parę dni po tem zdarzeniu doreczono Węgierskiemu paszport, z zaleceniem od króla, ażeby zrobił kilkoletnią podróż po cudzych krajach. Położenie jego w owej chwili było dosyć fatalne, bo nie był zamożnym z domu, funduszów na taką podróż nie posiadał, a o pomocy żadnej ani śnić nie mógł. Ale poeta miał szczęście, które częstokroć bywa lepsze od naszych wiosek dziedzicznych i gotowych funduszów. Szczęściem też takim, przez dni kilka następnych, wygrał około dziesięciu tysięcy czerwonych złotych i tak frasunek jego zamienił się w radość, bo wyjechał na wygnanie w jak najlepszym humorze. Dwa lat podobno trwała ta podróż jego po południowej Francyi, Szwajcaryi i Włoszech; w tej podróży wiele skorzystał i nawet nie mało pracował, wydał natenczas listy, opisujące tę podróż, w języku francuskim, które jeszcze dziś mają zaletę do-

brege stylu, żartkiego dowcipu a nawet i głębszych myśli i uczuć, ale prowadząc zawsze życie, niemające względu na zdrowie, niedługo już potem pociągnął. Wycieńczony na siłach, umarł w Marsylii, w trzydziestym drugim roku swojego życia, dnia 7 kwietnia 1787 roku i w tamtejszym kościele katedralnym jest pochowany.

Kasztelanie mściławski, lubo mniej nieszczęśliwego, jednak także niepomyślnego doczekał się końca. Pierwszej miłości swojej nie mógł on długo jeszcze zapomnieć. Położenie jego z tego względu było dosyć fatalnem. Ubóstwiona niegdyś przez niego bogini była wolną zupełnie, nie było żadnych przeszkód zewnętrznych, mógł się każdej chwili ożenić, — a przecież nie mógł! Tam gdzie mieszkala jego miłość, zamieszkało także i obrzydzenie, głęboka pogarda i prawie nienawiść; z jednego źródła czerpał on słodki nektar i zabijającą truciznę, i ta alternata trawiła go w sobie i czyniła najnieszczęśliwszym z ludzi. Zanadto słaby, ażeby mógł zabić w sobie dawne uczucie, zanadto silny, ażeby mu się dał oslepić i opanować, kręcił się tak jeszcze przez rok jakiś po kraju, sam nie wiedząc co ma począć ze sobą. Później wyjechał za granicę i nie było go w ojczyźnie lat kilka. Wrócił nareszcie i umarł dnia 18 czerwca 1792 r.

Kurdwanowski wszakże nie dał się spożyć złym losom swojego czasu. Inny duch był w tym młodzieńcu i inna natura. Kochał on się jak inni, bił się i niebezpieczeństw sobie wcale nie szczędził; ale go ani strzały Kupidyna, ani cięcia pałaszów, ani nawet kule same nie potrafiły ranić śmiertelnie. Przez całe życie, oprócz ogólnych, ani jedna osobista nie dotknęła go klęska, a nawet wtedy, kiedy wskutek rozruchów krajowych swój podolski majątek utracił, potrafił jeszcze się wyratować i majątek stracony odzyskał. Sprzedał go wszakże niebawem i, przeniósłszy się do Małopolski w dawne województwo sandomierskie, tu się ożenił i siedząc już spokojnie na swojej roli, późnej dożył starości.

A Jacek? — Jacek był prawie najszcześliwszym ze wszystkich. Odebrawszy na swojej dwuletniej warszawskiej

ukraińskiej praktyce dobrą nauczkę, umiał z niej roztropnie korzystać przez całe życie. Stracił on trochę z swych złudzeń młodzieńczych, ale tylko o tyle, że zyskał przez to jaśniejszy i zdrowszy pogląd na świat i na ludzi. Jego zwątpienia, jego myśli czarne i rozpaczliwe uczucia, wszystko to rozpierzchnęło się z czasem bez śladu po sobie, do czego wszakże głównie się przyczyniła jego młodziutka żona. Był też to rzeczywiście i pod każdym względem skarb nieoceniony dla niego. Do niepospolitej piękności, młodości i owych nieopisanych wdzięków, które wobec salonowych mamideł wydają się prawie samą naturą, łączyła ona dziwnie zdrowy i wykształcony rozsądek i owe wieczne świeże, głębokie i naturalne uczucie serca, które tak łatwo utracić, a nigdy już potem odzyskać nie można. Pod dobroczynnym wpływem światła i ciepła takiego słońca, Jacek odżył zupełnie i dojrzał z czasem na męża pełnego rozumu, uczucia i nieposzlakowanej prawości. Z takimi przymiotami umysłu i serca, lubo najwięcej wdzięku dla niego miało życie domowe, nie zamykał się jednak na swoim zagonie. W pierwszym zaraz roku po ożenieniu przyjął urząd powiatowy i zaraz potem posłował na sejmie pod łaską Stanisława Gadomskiego, który zszedł wprawdzie na niczem, ale dla młodego posła był dobrą szkołą na przyszłość. W tymże samym roku zmarł stolnik opoczyński, teść jego, a wkrótce po nim zasnęła i stolnikowa. Cała ich fortuna w ziemi wraz z znacznemi gotowiznami przeszła na Jacka, co przy Zarwiwodach i hołobuckiem starostwie (później zakupionem na własność) postawiło go i pod względem majątkowym na takich nogach, że mógł przyjmować na siebie i najkosztowniejsze obowiązki względem swego powiatu. Czyniąc to zawsze i mając przytem otwarte serce dla biednych i uciśnionych, zdobył sobie wkrótce tak zaszczytne stanowisko w powiecie, że mu go każdy mógł pozazdrościć. Niezmordowany w poświęceniach i pracy około pospolitego dobra, posłował znowu na czteroletnim sejmie, do różnych komisji należał i niejednokrotnie do rad rozmaitych, co chwila się tworzących i upada-

jących, był wybierany. Wszakże w ostatnim roku tego sejmu papierową robotę porzucił i, lubo miał żonę i czworo dzieci już wtenczas, wstąpił do wojska. Jak wyglądał w roku 1794, wiemy już z wstępu, — tutaj dodam więc tylko, iż i w owych czasach najcięższej próby Bóg mu udzielił tej łaski, że pod ciosami przeciwnych losów nie upadł. Pole jego działania zmniejszyło się odtąd, co, jak dla wszystkich, stało się równie dotkliwem i dla niego; żałobie tej wszakże nie dopuścił się zabić zupełnie, ani nawet umartwić do tego stopnia, ażeby się stał całkiem bezczynnym. I na najmniejszym polu człowiek dobrej woli znajdzie godne zajęcie dla siebie, — a dopóki ludzkość żyć będzie, dopóty zawsze wielkiem zostanie powołanie człowieka. Jacek znał tę prawdę i w niej znalazł pociechę i za jej pomocą zajęcie dla siebie. Przez dwa lata następne panowały wielkie pomory i głody, cierpiących i biednych nie brakowało nigdzie i owoż zaraz było około tego zajęcia. Później poodrastały mu dzieci, ich wychowanie stało się dla niego celem najpilniejszej uwagi i pracy, i tak wśród zajęć rodzinnych, domowych, sąsiedzkich, ani się spostrzegł, kiedy się jego barki zgarbiły i śnieg głowę przypruszył. Helenka towarzyszyła mu wiernie we wszystkim przez całe życie, a wzrosłszy z czasem w powadze i doświadczeniu, stała się najpiękniejszą ozdobą nie tylko jego domu, ale całego powiatu, który z głęboką czcią zawsze wspominał imię zacnej, szlachetnej, niewyczerpanej w swych dobrodziejstwach, a przytem zawsze tak skromnej matrony.

Dwa lata zapomnienia się Jacka i cierpień miłosnych Helenki utonęły jak głąz w niepamięci, tylko kiedy ich równie już białowłosy i zgarbiony, ale zawsze wesoły Kurdwanowski odwiedził, to wśród różnych gawędek o dawnych czasach, przypominano sobie i owe warszawskie i ukraińskie wypadki. Wtedy Kurdwanowski na wspólną ze starościna prześladowali Jacka to Petryną, to podkomorzyną kaliską. Jacek śmiał się z początku i droczył się z żoną, ale zabawkę taką kończył zawsze westchnieniem, mówiąc ze smutkiem te słowa:

— Ot! i dajmy im pokój nareszcie, a raczej prośmy Pana Boga za nimi, ażeby im ich grzechy przebaczył. Któż wie, czyja tam była wina? Ja z mojej strony zawsze tak myśleć będę, że były to tylko smutne ofiary swego czasu.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO.





WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

68566

Biblioteka WSP Kielce



0182244